



FUNDACJA  
BATOREGO

IM. STEFANA



# PARTIE

i zmiany granic polityki



Seria:

DEBATY  
FUNDACJI  
BATOREGO



Redakcja

**Piotr Kosiewski**



FUNDACJA  
IM. STEFANA  
BATOREGO



## Partie i zmiany granic polityki



**Fundacja im. Stefana Batorego**

ul. Sapieżyńska 10a

00-215 Warszawa

tel. |48 22| 536 02 00

fax |48 22| 536 02 20

batory@batory.org.pl

www.batory.org.pl

Opracowanie redakcyjne:

Izabella **Sariusz-Skąpska**

Korekta:

Joanna **Licznier**

Opieka artystyczna nad publikacjami Fundacji im. Stefana Batorego:

Marta **Kusztra**

Projekt graficzny:

Teresa **Oleszczuk**

Skład elektroniczny:

**TYRSA Sp. z o.o.**

© **Copyright by Fundacja im. Stefana Batorego**

Warszawa 2009

Druk:

„**Efekt**”

**ISBN 978-83-89406-34-7**

Publikacja jest rozpowszechniana bezpłatnie

# Spis treści

Aleksander Smolar, <b>Kilka słów wprowadzenia</b>	<b>7</b>
<b>Jaka lewica jest Polsce potrzebna?</b>	
Jacek Żakowski, <b>Lewicowość, lewica, polityka</b>	<b>11</b>
Andrzej Celiński, <b>Demokracja, wolność, spójność społeczna</b>	<b>19</b>
Andrzej Mencwel, <b>Lewicowość jako postawa</b>	<b>33</b>
Janusz Reykowski, <b>Jaka lewica jest Polsce potrzebna? Inna niż dawniej</b>	<b>41</b>
<b>Dyskusja</b>	<b>55</b>
(Ryszard Bugaj, Andrzej Celiński, Leszek Gilejko, Ewa Kulik-Bielińska, Andrzej Mencwel, Janusz Reykowski, Nelli Rokita-Arnold, Michał Syska, Jacek Zychowicz, Jacek Żakowski)	
<b>Jaka prawica jest Polsce potrzebna?</b>	
Robert Krasowski, <b>Dwie formuły polskiej prawicowości</b>	<b>69</b>
Marek A. Cichocki, <b>Prawica, sfera polityczności i złudzenia</b>	<b>77</b>
Ludwik Dorn, <b>Rzeczy zbyt długo myślane...</b>	<b>81</b>
Zdzisław Krasnodębski, <b>Jaki model prawicowości?</b>	<b>89</b>
Rafał Matyja, <b>Spór o prawicę</b>	<b>95</b>

<b>Dyskusja</b>	<b>103</b>
(Andrzej Celiński, Marek A. Cichocki, Ludwik Dorn, Antoni Dudek, Leszek Gilejko, Lena Kolarska-Bobińska, Zdzisław Krasnodębski, Robert Krasowski, Janusz A. Majcherek, Rafał Matyja, Janusz Reykowski, Aleksander Smolar)	
<b>Jakie liberalne centrum jest Polsce potrzebne?</b>	
Paweł Śpiewak, <b>Kształty polskiego liberalizmu</b>	<b>119</b>
Lena Kolarska-Bobińska, <b>Polityczne centrum według opinii wyborców oraz wyborów partyjnych</b>	<b>129</b>
Ireneusz Krzemiński, <b>Liberalizm i polityczne centrum</b>	<b>137</b>
Janusz A. Majcherek, <b>Siła liberalnego centrum w syntezie różnych liberalizmów</b>	<b>151</b>
Jerzy Szacki, <b>Gdzie jest dziś miejsce na liberalne centrum?</b>	<b>157</b>
<b>Dyskusja</b>	<b>161</b>
(Andrzej Celiński, Zdzisław Krasnodębski, Ireneusz Krzemiński, Janusz A. Majcherek, Rafał Matyja, Zbigniew Pełczyński, Janusz Reykowski, Janusz Rolicki, Aleksander Smolar, Andrzej Wielowieyski)	
Aleksander Smolar, <b>Prawica, lewica, centrum...</b>	<b>171</b>
<b>Noty biograficzne</b>	<b>183</b>
<b>Indeks</b>	<b>193</b>

# Aleksander Smolar

## Kilka słów wprowadzenia

Granice polityki zmieniają się w czasie i w przestrzeni. Do jej sfery może należeć – w czasie formowania się wspólnoty politycznej – określanie obszaru państwa i warunków członkostwa wspólnoty. Na drugim krańcu, w czasach „normalnej polityki”, do jej domeny wchodzi decyzje dotyczące bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego, stabilności, rozwoju, alokacji i dystrybucji dóbr społecznie cenionych. W innym wymiarze zmienność sfery polityki określają procesy wykraczające poza granice wspólnoty politycznej: wzrost roli prawa i instytucji międzynarodowych, globalizacja, integracja europejska.

Pole polityki ulega modyfikacji także w wyniku zmian sił rządzących krajem. Partie liberalne zazwyczaj ograniczają to pole, poszerzając domenę regulowaną przez procesy rynkowe. Partie lewicowe zazwyczaj powiększają obszar redystrybucji w imię sprawiedliwości społecznej i zarazem ograniczają rolę państwa, poszerzając pole wolności, jeżeli chodzi o sferę obyczajów, życia prywatnego, norm moralnych. Partie konserwatywne poszerzają obszar politycznych regulacji tam, gdzie chodzi o kulturę, pamięć, edukację, normy obowiązujące w sferze obyczajowej. Partie mieniące się liberalno-konserwatywnymi propagują liberalne ograniczanie polityki w sferze gospodarki i zwiększają, zgodnie ze swoim wyborem konserwatywnym i w imię tradycyjnie pojmowanego ideału wspólnoty, rolę państwa tam, gdzie chodzi o kulturę czy moralność.

Inny wymiar zmian dotyczy roli elit i mas w polityce demokratycznej. Z różnych powodów widzimy zakwestionowanie tradycyjnego modelu polityki oraz relacji obywateli i klasy politycznej. Tradycyjne postaci polityków-obywateli są dziś często zastępowane przez postaci technokratów i populistów, którzy w imię demokracji kwestionują mechanizmy demokracji liberalnej.

Przedstawiany przez nas tom, w którym znalazły się rozszerzone teksty wystąpień wygłoszonych podczas konferencji zorganizowanej przez Fundację im. Stefana Batorego 1 lipca 2008 roku oraz fragmenty towarzyszących im dyskusji, dotyczy jedynie **stanu naszej sceny politycznej**: polskiej prawicy, lewicy i centrum. W kategoriach instytucjonalnych są to: Prawo i Sprawiedliwość, Platforma Obywatelska i Sojusz Lewicy Demokratycznej. Każda z tych formacji znajduje się w innej sytuacji. W przypadku lewicy można mówić o kryzysie, zwłaszcza jeżeli przypomni się jej położenie z początku obecnej dekady. Platforma Obywatelska od wygranych wyborów z jesieni 2007 roku zdominowała naszą politykę. Prawo i Sprawiedliwość pozostaje najpoważniejszą formacją opozycji, chociaż zostało daleko w tyle za PO. Tym niemniej, również w przypadku PiS-u i PO – nie mówiąc o innych, mniejszych partiach i środowiskach – istotną rolę odgrywa czy będzie odgrywać problem tożsamości oraz perspektywy. Dotyczy on, jak sądzę, nie tylko Polski. Można chyba sformułować tezę ogólną, iż wszędzie tożsamości tradycyjnych sił politycznych przeżywają okres niepewności, by nie powiedzieć: kryzysu. Tradycyjne partie lewicowe są coraz mniej lewicowe – na lewo od nich pojawiają się nowe formacje, bardziej radykalne; partie konserwatywne przesuwają się coraz bardziej ku środkowi; partie liberalne są coraz mniej liberalne, gdyż próbują włączyć w swój program elementy konserwatywne – z jednej strony, lewicowe zaś – z drugiej. Proponujemy więc refleksję nad stanem naszych podstawowych sił politycznych z perspektywy wykraczającej poza codzienne wyzwania, codzienne problemy i codzienne analizy, z którymi mamy do czynienia.



**Jaka lewica jest Polsce potrzebna?**



# Jacek Żakowski

## Lewicowość, lewica, polityka

Kryzys lewicy ma charakter nie tyle polityczny, ile tożsamościowy i intelektualny. W znacznej mierze jest on też wynikiem procesu, jaki miał miejsce w drugiej połowie XX wieku.

Lewicowość jako postawa została zastąpiona przez lewicę jako nurt polityczny, bardzo szczególny, bo dotknięty skłonnością do zamykania się w obrębie doktryn politycznych, co powodowało, że miał i nadal ma kłopot z utrzymaniem kontaktu z radykalnie zmieniającą się rzeczywistością.

Wymieniłbym trzy takie mało elastyczne doktryny.

Pierwsza, socjaldemokratyczna, sprowadzała lewicowość do idei państwa opiekuńczego, zapewniającego obywatelom bezpieczeństwo. Druga, może w założeniach bardziej elastyczna, ale z upływem czasu coraz wyraźniej okopująca się w swych przekonaniach, to Nowa Lewica. W latach 90. swe zainteresowania zaczęła ona ograniczać przede wszystkim do problematyki stylów życia, odchodząc od pierwotnego i zasadniczego dla lewicowości etosu równościowego, dotyczącego sfery ekonomicznej. Trzecia, najbardziej nieszczęśliwa, to demokracja ludowa. O tej ostatniej nie ma sensu zbyt wiele mówić.

Wszystkie te trzy nurty łączy nieufny stosunek do rynku. Oczywiście, demokracja ludowa z nieufnością podchodziła także do samej demokracji jako do ustroju podlegającego mechanizmom rynkowym lub nawet przez nie zdominowanego. Ten problem, dotyczący wszystkich wspomnianych tu

doktryn lewicowych, próbowali rozwiązać Tony Blair z Gerhardem Schröderem, starając się pożenić na nowo lewicowość z zaufaniem do rynku. Odnoszę jednak wrażenie, że wbrew ogromnym nadziejom i oczekiwaniom związanym z tym projektem ich zamiar się nie powiódł. Dlaczego? Ponieważ ci dwaj politycy wpisali w swój projekt specyficzne rozumienie rynku, zgodne z dominującą w ostatnich latach XX wieku ideologią, sprowadzającą całą politykę gospodarczą do podstawowych postulatów neoliberalizmu.

Kształt doktryn lewicowych w drugiej połowie XX wieku, a następnie próba pożenięcia lewicy z neoliberalizmem spowodowały fundamentalny kryzys myślenia lewicowego na Zachodzie. Proces ten zaowocował także powstawaniem niepolitycznych środowisk lewicowych (lewicowość w dużej mierze wyszła dziś poza sferę czysto polityczną). Są to bardzo różne ruchy, które można hasłowo nazwać „Porto Alegre”. Mają one polityczny wyraz, ale ich istotą nie jest walka o władzę polityczną, lecz – różnymi metodami – zabieganie o inny kształt świata. Dzieje się tak, ponieważ polityczna lewicowość w znacznej mierze skoncentrowała się na realizowaniu różnych, mniej czy bardziej trafnych, ale dość sztywno rozumianych doktrynalnych przesłanek.

Jeżeli zatem podstawowymi problemami obecnej lewicy są jej zamknięcie się w ciasnych doktrynach ideologicznych oraz odejście od pytania o istotę postawy lewicowej czy lewicowości, to odpowiedź na pytanie „jaka lewica jest Polsce potrzebna?” wydaje się dość prosta. Potrzebna jest lewica lewicowa, odwołująca się do lewicowości, a nie do zamkniętych lewicowych doktryn. Co miałyby to znaczyć? Trzeba szukać tu słowa klucza czy też formuły kluczowej. Uważam, że jest nią myśl, iż istotą lewicowych zabiegów czy zachowań politycznych jest spowodowanie, aby słabsi mieli się możliwie lepiej. Przy czym chodzi o „słabszych” w bardzo różnym znaczeniu: ekonomicznie, kulturowo, tożsamościowo. Mamy zatem szerokie spektrum problemów, które można by mierzyć przy pomocy takiego wyznacznika. Pozwala nam on odpowiedzieć na przykład na pytanie: dlaczego zawiodła koncepcja „demokracji ludowych”, w szczytkowym stanie nadal istniejących na Kubie czy w Korei Północnej? Tam lewica przestała reprezentować

interesy słabszych, a występuje w imieniu nomenklatury. Podobnie było w czasach PRL-u. Trudno przecież uznać za lewicową lewicę reprezentującą interesy ubeków...

Zastosowanie podobnego metrum pozwoli nam odpowiedzieć na pytanie, dlaczego pod ciosami populizmu załamuje się (a może nawet już się załamała) lewica na Zachodzie. Skąd się wziął ten kryzys? Tamtejsza lewica w długim okresie reprezentowała te same grupy społeczne, które z czasem przestały być słabszymi. Jednocześnie powstały nowe grupy, które nie znajdowały swojej reprezentacji. Odwołując się do analizy Thomasa Franka, dotyczącej Kansas, można pokazać cały proces zmiany statusu. Nie jest jednak problemem to, że lewica amerykańska ujmowała się, na przykład, za Żydami, a później za mniejszościami seksualnymi, lecz problematyczne jest pozostawanie przy tych wyborach w dłuższym okresie, chociaż te grupy przestają być grupami upośledzonymi społecznie. Pojawiają się natomiast nowe takie grupy, których interesów lewica już nie reprezentuje, bo zostaje przy swoich tradycyjnych reprezentacjach. Nowe grupy upośledzone lub postrzegające siebie jako upośledzone czy spychane w upośledzenie, pozostawione sobie, stały się klientami różnego rodzaju populizmów.

Podobną sytuację mieliśmy w Polsce. Zmiana podziału na słabszych i silniejszych, pokrzywdzonych i uprzywilejowanych nie znajdowała swojej odpowiedzi w polityce partii lewicowej. Pokomunistyczna lewica w pierwszym okresie transformacji nie podjęła się reprezentacji środowiska najbardziej upośledzonego, czyli na przykład pracowników byłych PGR-ów i ich rodzin albo – szerzej – wsi, ponieważ broniła swojego tradycyjnego klienta, czyli aparatu byłej peerelowskiej władzy.

Dodatkowym problemem jest to, że lewica związana z tradycją post-PZPR-owską była główną siłą integrującą tę część sceny politycznej. Dobrze widać to na przykładzie losów środowiska Tadeusza Fiszbacha, które próbowało zbudować partię nieodwołującą się do post-PZPR-owskiego dziedzictwa, czy PPS-u, który skoncentrował się na wąsko rozumianej reprezentacji klasowej. Wszystkie te ugrupowania zostały szybko zmarginalizowane. Podobny los spotkał zresztą środowisko Jacka Kuronia, ponieważ złożyło

ono ofiarę z reprezentacji na rzecz „reformacji”, czyli planu Balcerowicza (inna sprawa, czy był to słuszny wybór).

Ostatecznie jedynym politycznym wyrazicielem lewicowości w Polsce okazało się środowisko post-PZPR-owskie, chociaż jego lewicowa tożsamość była i jest niezwykle wątpliwa. To była partia aparatu i jako taka weszła do nowego systemu. Ponieważ istotą formacji tej grupy był udział we władzy, także podstawą jej funkcjonowania na demokratycznej scenie politycznej stała się walka o władzę, a nie zmienianie rzeczywistości i działanie na rzecz słabszych społecznie.

Można to zauważyć na przykładzie treści politycznych, wybieranych przez to środowisko od początku transformacji aż do rządów Leszka Millera. Poparcie podatku liniowego to symbol koniunkturalizmu tej formacji. Niby-lewicowej partii w istocie chodziło tylko o utrzymanie władzy, a do tego potrzebna była akceptacja wielkiego biznesu i środowisk dysponujących pieniędzmi, pozwalającymi na uprawianie polityki. Wybór zatem był dość oczywisty.

Dziś rzeczą oczywistą jest klęska niby-lewicowej polityki uprawianej przez środowiska postkomunistyczne. Można nawet mówić o opcji zerowej. SLD jest partią poszukującą tożsamości. Być może wybierze tożsamość lewicową, ale nie mamy takiej pewności. Mechanizmy integrujące to środowisko nie były bowiem związane z wyborami ideowymi.

Partią lewicową nie jest też w żadnym sensie Prawo i Sprawiedliwość, chociaż stale epatuje nas troską o upośledzone środowiska społeczne. Do poprzednich wyborów PiS szedł z typowym programem populistycznym. W sferze symbolicznej był to populizm prawicowo-tradycjonalistyczny, a w sferze ekonomicznej etatystyczno-lewicowy. Sprawując władzę, partia ta dokonała jednak radykalnie prawicowego, ultraliberalnego wyboru, jeżeli chodzi o program ekonomiczny (co być może zaskoczyło nawet niektórych polityków PiS-u). Radykalne obniżenie podatku dla najbogatszych przy pozostawieniu praktycznie bez zmian podatku dla najuboższych i likwidacja podatku spadkowego sprawiły, że w polityce gospodarczej PiS stał

się nieporównanie bardziej neoliberalny niż jakakolwiek partia w Polsce i jakakolwiek partia rządząca w krajach OECD.

Wróć zatem do pytania: jakiej lewicy Polsce potrzeba? Jeżeli przyjmiemy się głównym wyzwaniom politycznym, przed którymi stoimy, oraz jeśli weźmiemy pod uwagę wspomnianą przeze mnie opcję na rzecz grup słabszych społecznie, to odpowiedź przychodzi sama. Pozostaje jedynie ułożenie hierarchii zadań w różnych możliwych politykach. Jak taka hierarchia mogłaby wyglądać?

Jedno z podstawowych wyzwań stojących przed nami dotyczy reformy systemu podatkowego. Doktrynalnie lewica powinna upierać się przy podatku progresywnym i odrzucać podatek liniowy, jeżeli jednak wrócimy do pytania dotyczącego wartości, to ta odpowiedź nie będzie już taka oczywista. Trzeba bowiem zapytać, co miałby podatek liniowy oznaczać? Czy na przykład osoby słabsze ekonomicznie będą zwolnione z płacenia podatku (czy w projekcie przewidziana jest wystarczająco wysoka kwota wolna od podatku)? Może nie jest to złe rozwiązanie, a z punktu widzenia środowisk upośledzonych społecznie może ono być zdecydowanie lepsze od podatku progresywnego w jego przewidzianym na rok 2009 kształcie. Specjalnie wybieram właśnie ten problem, jeden z najbardziej drażliwych, ponieważ na tym przykładzie można spróbować dokonać swoistego testu tożsamościowo-ideowego i – używając języka z doby PRL-u – zapytać: komu to służy? Można przecież wskazać przykłady podatku progresywnego, bardzo szkodzącego środowiskom niezamożnym, oraz taki wariant podatku liniowego, który da wiele korzyści słabszym.

Podobnym przykładem jest problem odpłatności za edukację. Lewica reaguje w tej sprawie bardzo doktrynalnie. Powtarza: żadnej odpłatności. Nie wiem, czy taka postawa służy grupom słabszym społecznie. Być może dla nich lepszy jest system, w którym zostaje wprowadzona wysoka odpłatność za studia, ale jednocześnie istnieje realny program stypendialny, umożliwiający osobom słabszym społecznie uczenie się *de facto* za darmo.

Wreszcie, być może lewicowe spojrzenie na reformę służby zdrowia pokaże, że współpłacenie za usługi medyczne jest do przyjęcia, a nawet

może działać na korzyść najuboższych. I mam tu na myśli wydatek w wysokości 50, a nie 5 złotych za wizytę! Zawsze najważniejsze jest pytanie: kto płaci? Jeżeli z opłat zwolnione byłyby osoby o niskich dochodach, a musiałyby je wносить osoby zamożne, to system dopłat mógłby mieć treść w istocie lewicową.

Lewica nie będzie w stanie zmienić swojego trudnego położenia, jeżeli o wyzwaniach współczesności nie zacznie myśleć twórczo i elastycznie. Polska lewica ma problem nie tylko ze sprawami ekonomicznymi, lecz w ogóle z większością wyzwań, przed którymi stoi obecnie Polska. Jednym z podstawowych jest stosunek do Unii Europejskiej. Jeżeli popatrzymy na sposób myślenia, a także na retorykę, to nie ma wielkiej różnicy między Leszkiem Millerem a Lechem Kaczyńskim. Dla obu Unia to nasz przeciwnik. Czy nasza lewica ma jakiś inny stosunek do Europy niż konserwatywna prawica lub neoliberalowie?

A powinna mieć. Lewica powinna być entuzjastyczna wobec Europy, bo Unia Europejska to jedyny istniejący dziś w świecie projekt polityczny o lewicowych korzeniach. Jedyny, którego istotnym elementem jest spójność społeczna. Tego elementu nie ma ani w projekcie amerykańskim, ani w systemie tak zwanych wartości azjatyckich, ani w systemie rynkowych autorytaryzmów. Co więcej, spójność jest konstytutywnym elementem Unii Europejskiej. Jest to też jedyny istniejący dziś lewicowy projekt polityczny.

Są oczywiście także inne istotne problemy, na przykład stosunek do Kościoła. Podkreślam: ani antyklerykalizm, ani walka z Kościołem nie są elementami tożsamości lewicowej. Natomiast w społeczeństwie o zdecydowanej większości katolickiej jest dla lewicy rzeczą oczywistą obrona mniejszości niekatolickiej, dziś poddanej presji państwa wyznaniowego. Lewica w Polsce, tu częściowo zgadzam się z Grzegorzem Napieralskim, jest skazana na konflikt z Kościołem. Klerykalizacja państwa poszła bardzo daleko. Obrona państwa świeckiego jest konieczna i będzie to obrona siłą rzeczy konfliktowa wobec środowisk klerykalnych, okupujących większość sceny politycznej.



Ostatnia kwestia: lustracja i pamięć historyczna. Z punktu widzenia wartości lewicowych było rzeczą oczywistą ujmowanie się za prześladowanymi przez system komunistyczny z bardzo różnych powodów: religijnych, przekonań politycznych czy przynależności etnicznej. Jednak obecnie równie oczywiste jest ujmowanie się za prześladowanymi przez państwo w imię różnie rozumianej pamięci historycznej, prowadzącej w Polsce zazwyczaj do polityki „rozliczeń”, wymierzania „sprawiedliwości”, historycznej zemsty. To bardzo trudny problem, bo mierzymy się z pojęciem sprawiedliwości oraz odpłaty za poniesione krzywdy. Jednak dla spokoju lewicowego sumienia konieczne jest upominanie się o sprawiedliwe i humanitarne traktowanie tych, którzy przed chwilą byli prześladowcami i przed którymi trzeba było bronić uczciwych Polaków w PRL-u.

Lewicowość to nie jest doktryna, ideologia ani przynależność partyjna. Lewicowość to tożsamość, wrażliwość, styl myślenia, system wartości, czyli rodzaj kultury obywatelskiej. W tym sensie lewicowości chyba nie można się nauczyć. W każdym razie nie można się jej nauczyć, kiedy jest się człowiekiem dorosłym. To się wynosi z domu, z młodzieńczych lektur i sporów, z pierwszych obserwacji świata społecznego, których człowiek dokonuje, kiedy chodzi do szkoły. W tym sensie nie tylko Leszek Miller, ale też zdecydowana większość polityków SLD nigdy się na lewicowość do końca nie przechrzci. Dlatego polska lewicowość funkcjonuje dziś poza strukturami partii nominalnie lewicowych. Ale tak być nie musi.



# Andrzej Celiński

## Demokracja, wolność, spójność społeczna

### O partiach politycznych ogólnie

Partie polityczne nie spełniają dziś w Polsce podstawowej funkcji – prezentacji programowej i osobowej alternatywy. System partyjny jest dysfunkcyjny dla demokracji. Powszechne przeświadczenie, że partie służą przede wszystkim swoim uczestnikom, jest już smutną rzeczywistością. Nie zmienia tego fakt, że niektóre partie mają wyrazistą, a czasem nawet nadwyrazistą ideową orientację.

Co więcej, od czasu ukształtowania się fundamentów nowego systemu, od lat 1992–1993, sukcesy w wyborach były udziałem partii rewindykacji – materialnych, jak w przypadku Samoobrony, bądź ideowych, jak w przypadku Ligi Polskich Rodzin oraz Prawa i Sprawiedliwości. Mniejsza o to, co w tych rewindykacjach było pozorem, narzędziem, maską, a co celem. Nie ma już w Polsce ludzi podejmujących wysiłek przedstawienia projektów odnoszących się do wyzwań przyszłości.

Nie istnieje też debata o szansach i pojawiających się zagrożeniach. Ani w prasie, ani w parlamencie, ani w partyjnych *think-tankach*. Nie ma zresztą w ogóle tych ostatnich – pracujących dla partii politycznych i przez nie finansowanych. Są natomiast: wzajemne przekrzykiwanie się i gonitwa sensoryjek.

Medializacja polityki (w warunkach ekstremalnej komercjalizacji mediów i przy ich specyficznym formatowaniu), nieomijająca mediów elektronicznych, także tych, które nazywają się mediami publicznymi, w połączeniu ze specyficznym w naszym kraju sposobem finansowania polityki oraz uwiązaniem ledwo powstającej w latach 90. służby cywilnej, wreszcie nieprzystające do potrzeb demokracji obywatelskiej ordynacje wyborcze – to wszystko sprawia, że demokracja staje się fasadowa, a polityka ulega głębokiej alienacji. Demokracja jest pozorna, ograniczona do wolności wyboru marketingowo sformatowanych partii.

Partie zajmują się przeszłością, wyszukiwaniem haków na przeciwników, głośliwymi oskarżeniami i pseudoideowymi zakłęciami. Marketing polityczny wyparł to, co miałby promować. Przywódcy nie prezentują swoich wizji przyszłości, bo ich nie mają. Polityka jest, w wyniku deformacji systemu partyjnego, reaktywna. Pseudonacjonalistyczna lub pseudosocjalistyczna retoryka, lęk przed opinią publiczną, infantylizowanie wyborców – wszystko to sprawia, że Polska płynie jak korek na fali. Nie wie, dokąd, nie wie, z kim, nie wie, po co.

Zamiast czytać wyzwania, przed którymi stają świat, Europa i Polska, zamiast proponować sposoby rozwijania szans i neutralizowania zagrożeń, partie walczą ze sobą na śmierć i życie o łupy, jakie daje władza. Eliminacja przeciwnika zastępuje rywalizację z konkurentem, jeżeli idzie o podstawowe cele partii.

Polityka nieoparta na wartościach, nieświadoma europejskich i narodowych celów, stała się nieczytelna. Jej alienację poświadczają kolejne wybory.

### Jakich partii potrzebujemy?

Przywrócenie celowości funkcjonowania systemu zależy dziś w Polsce od tego, czy potrafimy – poprzez zmiany systemowe, czyli przez zmiany: prawa o partiach politycznych, sposobu i struktury ich finansowania, ordynacji wyborczych, oraz poprzez reanimację niepartyjnej służby cywilnej, a w głębi-

szej perspektywie zbudowanie gęstego systemu instytucji społeczeństwa obywatelskiego – zmusić partie *mainstreamowe* do zajmowania się w swej programowej działalności takimi kwestiami, jak:

- Preferowany przez nie **model porządku społecznego** (na przykład wspólnotowy *versus* korporacyjny charakter dominujących więzi społecznych, instytucjonalne granice i sposoby artykulacji interesów, zagadnienie spójności społecznej, kwestia głębokości redystrybucji dochodu narodowego i związana z nią sprawa kryteriów jego podziału oraz celowości wydatków publicznych, słowem – określenie relacji tego, co wspólnotowe, do tego, co indywidualne, jeśli chodzi o granice odpowiedzialności państwa).
- **Organizacja władzy publicznej** (zagadnienie dystrybucji zadań i środków w domenie administracji państwowej, sposoby stanowienia prawa).
- **Sposoby realizacji zadań państwa** (m.in. kwestia stosowalności zasady pomocniczości, zagadnienie centralizacji/decentralizacji władzy publicznej). Sprawa organizacji pozarządowych i ich roli (oraz źródeł finansowania) w zaspokajaniu potrzeb społecznych – publiczny wymiar organizacji pozarządowych. Sposoby realizacji zobowiązań państwa w zakresie masowych usług publicznych. Dotyczy to zwłaszcza: zdrowia, edukacji (w tym szkolnictwa wyższego) i kultury, dostępu do informacji oraz regulacji rynku informacji.
- **Zakres regulacji w zakresie kształtowania ładu przestrzennego i jakości przestrzeni publicznej.**
- **Infrastruktura**, w szczególności finansowanie inwestycji oraz kwestia relacji interesu publicznego i interesu prywatnego w wielkich zamierzeniach inwestycyjnych.
- **Stosunki międzynarodowe**, w tym: instytucjonalizacja Unii Europejskiej, kwestia bezpieczeństwa światowego, globalne problemy gospodarcze, środowiskowe, w dziedzinie zasobów naturalnych.
- **Demokracja.** Jej wymiar krajowy, europejski i globalny.

Jedną z ważnych przyczyn alienacji polityki jest brak wyraźnego ideowego zobowiązania partii wobec swoich wyborców. Kiedy „wszystko jest

możliwe”, a po kolejnych wyborach następują „cudowne” zamiany miejsc rządzących i pozostających w opozycji, polityka odstręcza ludzi nieżyjących na co dzień z urzędowych pensji od jakiegokolwiek głębszego zainteresowania państwem. Jest to, z jednej strony, kwestia odpowiedzialności za kampanijne obietnice, z drugiej zaś – traktowanie władzy jako instrumentu realizacji określonej wizji polityki, a nie jakiegokolwiek, czasem i byle jakiej polityki.

Marzy się nam co innego. Mianowicie:

- Polityka świadoma swoich celów zasadniczych.
- Polityka czyniąca z polityk szczegółowych funkcje celów nadrzędnych.
- Polityka zdolna weryfikować się z punktu widzenia przestania ideologicznego.

Ideowa orientacja polityki wiąże się z trudnościami i niedookreśleniem. Państwo i władza powinny ogarniać swoją polityką i jednakowo traktować możliwie wszystkich obywateli, jest jakaś miara ideologicznej orientacji władzy publicznej. Można nawet powiedzieć, że im mniejsze są różnice określone fundamentalnymi – tym lepsze będą warunki rozwoju, ale różnice między partiami, zakotwiczone w odmiennych przestaniach ideowych, w kolejnych sekwencjach wyborów, powinny być dla obywateli czytelne. Granicą bezwzględną ideowo zorientowanej polityki są prawa i wolności ludzi.

Jeśli jednak wartości w polityce stają się nieczytelne – pozostaje nieprzebierająca w środkach walka o władzę dla przyjemności rządzących. Realizacja wizji społecznego dobrostanu nie znajduje odniesienia ani w świecie wartości, ani w programie zwycięskich partii.

## Polska potrzebuje lewicy

Polska potrzebuje lewicy tak, jak potrzebuje jej każdy kraj. Alternatywa programowa jest oczywiście istotnym krajobrazem demokracji. Dlaczego Polacy mieliby się różnić od innych? Dlaczego mamy być odmienni niż Duńczycy, Niemcy, Francuzi czy Hiszpanie?

Polska potrzebuje lewicy także w niezwykłym sensie. Tu, nad Wisłą – dzisiaj i może przez kilkanaście następnych lat – potrzebujemy lewicy jakoś szczególnie, ze względu na ważne okoliczności historyczne i społeczne.

Od roku 1989 zmieniła się zasadniczo struktura polskiego społeczeństwa. Zmieniły się kryteria awansu i dystrybucja realnych możliwości awansu. Wykształcenie, oczywista przepustka do wyższych pozycji społecznych, ma dzisiaj nowy wymiar dla znakomitej części Polaków: wymiar realnej ceny. Wielki wzrost liczby ludzi kształcących się, jakiego doświadczamy w minionych dwóch dekadach, dokonuje się prawie wyłącznie kosztem prywatnej kieszeni.

Zmieniły się możliwości i warunki pozycjonowania w społeczeństwie wielkich rzesz ludzi.

Zmiany te miały charakter żywiołowy. Dokonywały się jakby poza systemem decyzyjnym państwa. Poza demokratycznie określaną wolą społeczeństwa. Bez debaty, bez kontroli, często – bez świadomości skutków zachodzących zmian. Najbardziej jaskrawym przykładem jest atrofia wielkoprzemysłowej klasy robotniczej. Z równoczesnym wywyższeniem ludzi kapitału i specjalistów specjalności rzadkich.

O ile kapitał umiejętności, jako kryterium awansu materialnego, napotyka, zdaje się, dość silną legitymizację społeczną, o tyle kapitał finansowy w kraju bez kapitału na starcie tych procesów, jako wyróżnik oszałamiających karier, musi rodzić wątpliwości i podważa legitymizację systemu politycznego.

Wszystko to stało się w czasie świadomego, dorosłego życia jednego pokolenia. Rodzą się wielkie napięcia. Rosną one w wyniku zasklepiania się ścieżek awansu. Społeczna struktura wchodzi znów w etap petryfikacji tego, co jest. Kto awansował – zapewnia dzieciom większe możliwości. Kto nie awansował, napotyka szereg nowych barier, z których najtwardszą i najbardziej bezwzględnie selekcyjną jest bariera dobrej szkoły.

Polska potrzebuje więc polityki zapobiegającej rozerwaniu się społeczeństwa. Zwłaszcza wobec kryterium wiedzy. Niektórzy marudzą, że Polacy stają się społeczeństwem konsumentów, a obywatelskość znajduje się

w odwrocie. To, jak się zdaje, prawda, a także specjalne wyzwanie dla partii lewicy społecznej. Gdzie one są? Gdzie są te partie, dla których wyróżnikiem powinno być, i w prawdziwie socjalistycznej tradycji zawsze było, fundamentalne zainteresowanie człowiekiem w jego cudownej niepowtarzalności i zainteresowanie wspólnotą jako środowiskiem, a jednocześnie warunkiem samorealizacji?

Tymczasem współcześnie to partie prawicy – anachronicznej zresztą, prostackiej i obskuranckiej – zaferowały Polsce i Polakom jakąś pozytywną odpowiedź w tej kwestii. Odpowiedź fatalną, płasko nacjonalistyczną, wyznaniową, ale przecież nikt nie bronił lewicy, aby przedstawiła konkurencyjną koncepcję spójności społecznej.

Lewica nie przedstawiła jej, jak dotychczas, bo te **partie, które odwołują się dziś w Polsce do lewicowości, są raczej eklektycznymi partiami władzy** niż partiami odwołującymi się do wartości określających w świecie normalności lewicowość.

Jest w Polsce, idący w miliony, zasób wyborców oczekujących lewicowej interpretacji zmian zachodzących w świecie i w kraju oraz politycznej propozycji ustosunkowania się do nowej sytuacji. Ta grupa rośnie. Jednocześnie notowania partii odwołujących się do haseł lewicowych – maleją.

### Polska potrzebuje lewicy, która ma szansę rządzić

**W** okresie wielkich zmian, w czasie tworzenia czegoś najzupetniej dla Polaków nowego, specjalnie w domenie postaw społecznych, a także w sferze regulacji stosunków międzyludzkich, nie wspominając o kwestii nowego ładu międzynarodowego (toż to przecież prawdziwa międzyepoka!), Polska potrzebuje przywództwa.

Czas każdej wielkiej zmiany kiedyś się zaczyna i kiedyś się kończy. Także wówczas, kiedy mówimy o wielkiej zmianie historycznej, kiedy mówimy o wielkich procesach historii. Polska znalazła się w swoistym okienku transferowym. Albo wykorzysta szansę i oddali się (mentalnie, społecznie, ekonomicznie, politycznie) od „poleskich bagien i moczarów”, albo po kil-



kunastu, kilkudziesięciu latach przygody, karnawału, zawirowania – wróci w stare koleiny.

My wciąż jesteśmy tu w czasie głębokiej transformacji. Zburzyliśmy co nieco. Postawiliśmy nową konstrukcję. Ale ona nie jest ani wypełniona dostatecznie gęsto, ani oczywista dla większości obywateli. Potrzeba wciąż jeszcze wielkich zmian w wielu przestrzeniach. Jeśli chcemy skutecznie konkurować z innymi, pragniemy być potrzebni, mamy stanowić podmiot stosunków europejskich oraz dawać równe możliwości awansu w polskiej i europejskiej przestrzeni gospodarczej młodym obywatelom współczesnej Polski, to musimy wzmocnić, przyspieszyć, pogłębić procesy modernizacyjne.

Dla zmian trzeba rządu.

Możemy zbudować społeczeństwo na wzór brazylijski. Albo jednak bystrzej patrzeć na Północ, na Skandynawię, albo na Zachód, na Francję.

Możemy albo oddać wszystko w niewidzialne ręce rynku, albo możemy swoją przyszłością zarządzać.

Możemy, w kwestiach międzynarodowych, prowadzić politykę reaktywną. Choć i wtedy trzeba wiedzieć, za kim podążać. Ale możemy też wziąć sobie więcej swobody i realizować politykę przyjaźniejszą celom przez nas określanym.

Na tle polityki neoliberalnej albo konserwatywno-nacjonalistycznej – obie te polityki z wielką trudnością czytają znaki nadchodzącego czasu – perspektywa dla polityki lewicy, dla polityki otwartej demokracji, zdaje się ogromna.

Jeśli poważnie, z jakąś misją, myśli się o partii lewicowej, to nie można poprzestać na partii niszowej, cyzelującej, dzielącej albo na partii budowanej na uwarunkowaniach biograficznych.

Polsce potrzebna jest partia odwołująca się do wielkich i różnych grup wyborców. Partia misyjna, skoncentrowana na efektach swojej misji, a nie na społecznej dydaktyce. Polsce potrzebna jest partia nowoczesna, otwarta na nowe odkrycia, odważna, komunikująca się z innymi, łącząca, kreatywna.

**Kanon wartości takiej partii, partii nowej lewicy, partii otwartej demokracji jest oczywisty.** Dla jego opisanie można postąpić się przywołaniem

konkretnych ludzi – ich imion i nazwisk. Z pamięcią epok, w jakich żyli, z pamięcią wyzwań, jakim czoła stawiali, dla postaw, jakie prezentowali. Będą to, dla partii lewicy, na przykład: Maria Skłodowska-Curie, Edward Abramowski, Ignacy Daszyński, Stefan Żeromski, Ludwik Krzywicki, Irena Krzywicka, Helena i Szymon Syrkusowie, Lidia i Adam Ciołkoszowie, Jan Strzelecki, Aniela Steinsbergowa, Jacek Kuroń, Jan Józef Lipski, Lechośław Goździk.

Będą to takie wartości i dyspozycje dla własnego zachowania, jak: otwartość na innego człowieka, poczucie własnej i respekt dla cudzej wolności, racjonalizm, wrażliwość, miękkość w relacjach międzyludzkich, potrzeba czynienia sprawiedliwości, tolerancja wobec odmienności, liberalizm kulturowy. Przeświadczenie o sensowności republikańskiego charakteru państwa i źródeł władzy. Docenianie kompromisu jako wartości.

Każda z tych wartości jest składową kapitału społecznego. Budują zaufanie do siebie i do drugiego człowieka. Jeśli państwo przez swoją politykę wzmacnia te wartości i postawy, poszerza granice ich stosowalności w relacjach międzyludzkich – to znaczy, że buduje zaufanie do swoich instytucji.

Każda z tych wartości da się uszczegółowić, przełożyć na język konkretnych polityk.

W kulturze wymagającej w Europie mecenatu państwa będzie to baczenie, by mecenat nie ograniczał wolności twórczych. Będzie to odróżnienie tego, co ma charakter publiczny, od tego, co jest tylko władcze. Będą to także specyficzne instytucje, bo tam, gdzie w grę wchodzi pieniądze podatników, potrzebne są audyt, akredytacja, konkurs. Konieczne jest zrozumienie dla różnorodności i dla tego, że nie ma innowacyjności bez dopuszczalności błędu. Pluralizm. Dostrzeganie wartości w różnorodności i w różności.

W edukacji – ważne jest wprowadzanie rozwiązań poszerzających możliwości awansu, ograniczających wpływ materialnej pozycji rodziców na dostępność najwyższych jakościowo serwisów edukacyjnych, objęcie opieką przedszkolną dzieci, zwłaszcza z rodzin o słabszym wyposażeniu kulturowym.

W transporcie – liczy się rozwijanie transportu zbiorowego. Nie tylko przyspiesza rozwój, ale też czyni go bardziej demokratycznym. To jest kwestia polityki budżetowej i, szerzej, redystrybucji dochodu narodowego.

W polityce międzynarodowej – istotę stanowi przyjęcie i stosowanie zasady multilateralizmu w rozwiązywaniu konfliktów, traktowanie wojny jako ostateczności.

Słowa muszą coś znaczyć. Kiedy słowa przestają znaczyć, kiedy nie idzie za nimi zobowiązanie – świat polityki alienuje się, otwierając wrota dla populizmów i tyranii.

### Jaka lewica jest Polsce potrzebna?

Ano taka właśnie. Opierająca swój program na wartościach nieprzemijających. Łącząca świadomość cudowności człowieczej indywidualności, niepowtarzalności każdej jednostki ludzkiej z pamięcią, że człowiek jest, o ile ma relacje z innymi ludźmi. A więc potrzebna jest Polsce lewica, która dba o rozwój wolności człowieka, o jego prawa do poszukiwania własnej drogi, taka, która pamięta, że człowiek nie ma z racji urodzenia ani specjalnej zasługi, ani winy. Pamiętająca, że to państwo, w którego formy organizacyjne ubiera się wspólnota ludzi, ma, jeśli zechce, instrumenty prawne, organizacyjne i pieniężne, potrzebne do tego, aby ta ideologiczna teza znalazła swoje społeczne i polityczne konsekwencje. Równość możliwości jest zobowiązaniem lewicy.

Te wartości mają fundamentalne znaczenie dla rozwoju. Społeczeństwa biedne albo stojące na początku swej drogi rozwoju opierają swój marsz ku lepszemu na kapitale indywidualnych zdolności i wiedzy ludzi. Społeczeństwa postindustrialne – na kapitale społecznym. Polska lewica odnajdzie swoje miejsce, ale jedynie wówczas, kiedy świadomość tego wszystkiego będzie dla jej polityków równie oczywista jak to, że w dzień świeci słońce. I kiedy zaprezentuje wolę pracy dla wartości, które budują wspólnotowy charakter społeczeństwa, uczą komunikacji, tolerancji, otwartości. Wielkość Ameryki zbudowana została na łatwości asymilacji. Jej warunkiem

było zainteresowanie odmiennością, wiara, że z różnorodności rodzi się rozwój. Zaściankowość, zamknięcie się w sobie, odwrócenie od innych są kontraproduktywne dla rozwoju. Polacy, w znakomitej większości, rozumieją tę kwestię. Było to jedną z przyczyn odebrania zaufania nacjonalistom.

**Idzie wszak o to, żeby to wszystko nie pozostało li tylko partyjnym sztandarem wyniesionym ponad głowy odległego tłumu wyborców.**

Polska potrzebuje rządów partii demokratycznej, socjalizującej czy lewicującej dla polityki, która spójność społeczną, w warunkach różnorodności i wolności, uważa za wartość.

Polska potrzebuje partii lewicy respektującej rynek. Akceptującej własność.

Partia socjalistyczna, demokratyczna, lewicowa czy centrolewicowa – dzisiaj mamy trudności nazewnicze, ze względu na historię, na rok 1948 w Polsce, ze względu na pamięć Związku Radzieckiego z jego łże-socjalizmem – taka partia uznaje za słuszne ingerowanie w procesy rynkowe. Dla bezpieczeństwa obrotu gospodarczego, dla stabilizowania gospodarki, ale i ze względów społecznych.

Ważne, aby robić to z najwyższą ostrożnością i zawsze z przeświadczeniem o konieczności maksymalnie możliwego rynkowego charakteru wywoływanych procesów gospodarczych. I bez dogmatyzmu. Celowość nade wszystko!

### Kwestia etatyizmu

Wyodrębniam ją, bo zdaje mi się, że dzisiaj jest ona trudna dla lewicy w Polsce. Etatyizm, pojmowany jako wyższość państwowego, w znaczeniu organizacyjnym i własnościowym, nad prywatnym – gdy idzie o jakość i realizowaną dostępność usług – jest ugruntowanym w Polsce poglądem, określającym, wśród najszerszych kręgów wyborców lewicy, lewicową poprawność polityki.

Jest też etatyizm lewicy źródłem niepowodzeń w zdobywaniu poparcia wielkich nowych grup społecznych, ludzi żyjących, niekiedy skromnie,

z ciężkiej pracy własnych głów i rąk, podejmujących ryzyko własnej działalności gospodarczej, wystawionych na konkurencję, także ze strony państwowych usługodawców. Są to często ludzie pozbawieni jakiegokolwiek ochrony ze strony państwa. Także w dziedzinach i sprawach, w których państwo jest niezastępowalne.

Prezentuję pogląd, że odpowiedzialnością państwa jest zapewnienie dostępności określonych usług, uznawanych za usługi publiczne, odpowiedniego rodzaju i jakości w wyznaczonym zakresie. Pogląd ten nie jest tożsamy z poglądem takim oto, że państwo samo te usługi powinno świadczyć. Stwarza to bowiem silną groźbę korporacjonizmu, przyczynia się do obniżenia jakości usług i ich konkurencyjności, zwiększa koszty, a więc, paradoksalnie, zmniejsza dostępność.

Optymalna opieka zdrowotna, równy dostęp do publicznie płatnych serwisów zdrowotnych, tak samo jak publiczna edukacja na wszystkich jej poziomach, wreszcie sprawna i właściwie adresowana opieka społeczna – są, w doktrynie socjalistycznej, lewicowej, w centrum odpowiedzialności państwa. I tak powinno pozostać. Inną sprawą jest sposób organizacji tych usług. One muszą być najbardziej efektywne. I tak szeroko dostępne, jak to możliwe.

Jeśli prywatne (fundacyjne, stowarzyszeniowe) podmioty lepiej, łatwiej, pełniej i taniej wypełnią obowiązek, to niech go wypełnią. Ważne są dla nas – ludzi i partii lewicy – płatnik, usługa, cel, a nie to, jaki charakter własnościowy ma placówka zapewniająca usługę. Państwo, władza publiczna, powinno dysponować: budżetem, regulacją prawną, audytem wykorzystanych środków publicznych, akredytacją placówek, oceną jakości świadczonych usług.

Etatyzm pogrąża lewicę. Jest kosztowny i korupcyjny. Jedynym usprawnieniem własności państwowej (w rzeczywistości Polski współczesnej – własności pozostającej w partyjnej dyspozycji) jest czas konieczny dla przygotowania regulacji prawnych (na przykład na rynkach naturalnie zmonopolizowanych), umożliwiających prywatyzację bezpieczną dla państwa i, w stosownych obszarach, dla obywateli.

Celowość jest jednak zaprzeczeniem dogmatyzmu. Tam, gdzie tradycja własności państwowej i współcześnie dokonana ocena efektywności usług czyni własność państwową bardziej efektywną, prywatyzacja nie jest celem. Przykładem, jak dotychczas niepodważalnym, jest szkolnictwo. Na wszystkich właściwie poziomach jego organizacji.

### Jak dojść do odzyskania przez lewicę blasku?

**D**roga jest prosta. Najpierw „książka”. Deklaracja wartości. I program. Na tyle ogólny, by łączyć. Na tyle szczegółowy – by mógł być poddany rzeczowej weryfikacji. Merytorycznie obejmujący te wszystkie sprawy, o których powyżej. Może kilka innych jeszcze.

„Książka” – w cudzysłowie. Idzie o to, by partia rzeczywiście, a nie wyłącznie marketingowo, przedstawiła swój pomysł na Polskę. I żeby była gotowa go realizować. Książka ta, wypracowana przez polityków i ekspertów, musi być poddana szerokiej debacie publicznej. Nikogo niewykluczającej. Obrazowo mówiąc – z Leszkiem Millerem i Włodzimierzem Cimoszewiczem, Tomaszem Nałęczem i Markiem Borowskim, Sławomirem Sierakowskim i Jerzym Szmajdzińskim. Kto się zmieści – ten pozostanie, komu nie po drodze – trudno.

**O losach wielkiego projektu modernizacji Polski zadecyduje szerokość rozpowszechnienia najwyższej jakości wiedzy.** I nie chodzi jedynie o to, że na następcę Romana Giertycha raczej nie zagłosują ludzie wykształceni, otwarci, dobrze komunikujący się ze swoim otoczeniem, odważni w myśleniu i dzieleniu się z innymi owocami tego myślenia, ale o to, że bez spełnienia elementarnych potrzeb materialnych nie może być mowy o pełnej realizacji innych wolności i praw.

Nie dziwimy się, że Donald Tusk nie ratyfikuje karty praw podstawowych. Podobnie jak nie dziwimy się, choć ubolewamy nad tym, że nie reformuje systemu edukacji narodowej, od przedszkola po studia III stopnia. Dla neoliberalnej polityki kanonem jest to, że z ogólnego wzrostu wynika po-

prawa losu każdego, kto tego szczerze pragnie. My wiemy, że to, niestety, nie jest prawda.

**Wielka debata o Polsce przyszłości, o Unii Europejskiej, o świecie i wyzwaniach przyszłości** przetoczyć się musi przez polskie uniwersytety. Jest coś nienaturalnego w milczących uczelniach. Ta debata powinna wejść w sieć. Zadaniem jej organizatorów, i sprawdzianem intencji, jest to, czy ze zbioru, jakoś kwalifikowanego, uczestników tej wielkiej sieciowej debaty uczynią oni zbiór uczestników prawyborów w pierwszych nadarzających się wyborach.

**Sanacja systemu partyjnego wyszłaby wówczas w Polsce od lewicy!** Lewica przewietrzyłaby zgnuśnią, przasną, „paździerzową”, ersatzową, interesowną ponad wszelkie miary współczesną polską partyjność. I tak się stanie. Pytaniem pozostaje to, czy stanie się tak już niedługo, za sprawą ludzi dzisiaj aktywnych na lewicy, czy trochę później, kiedy przyjdą nowi, o jeszcze nieznanym nazwiskach.





## Andrzej Mencwel

# Lewicowość jako postawa

Nie jestem człowiekiem polityki, nie biorę udziału w żadnych negocjacjach ani kombinacjach parlamentarnych i pozaparlamentarnych, jestem natomiast historykiem idei, zainteresowanym nie tylko przeszłością, ale także przyszłością, więc nie tylko badaniem, lecz także tworzeniem idei, dlatego pozwolę sobie zacząć od kwestii bardziej osobistej.

W 1990 roku wydałem książkę *Etos lewicy*, rzecz z dziedziny historii idei, poświęconą jednak refleksji nad istotą lewicowości, przynajmniej polskiej. Zacząłem o niej myśleć gdzieś na przełomie lat 1984/1985, a pisać na poważnie od roku 1985. Dlaczego wtedy? Szok stanu wojennego, który polegał między innymi na tym, że odwołujące się do lewicy władze demonstrowały już tylko nagą, militarną przemoc, spowodował, jak wolno sądzić, masowy odpływ na prawo i powszechne odrzucanie tej tradycji, do jakiej władze się odwoływały. Byłem i ja w szoku i musiało upłynąć trochę czasu, abym oprzytomniał i zadał sobie pytanie: czy to jest jedyna tradycja lewicowa w Polsce? Czy nie ma innej? Czy może ta lepsza, autentyczna tradycja została wyeliminowana albo sfalszowana i trzeba ją teraz przypomnieć oraz przywrócić? Masowy odpływ na prawo – nie tylko szeregowych członków „Solidarności”, ale także pisarzy, artystów, intelektualistów, młodzieży studenckiej – prowokował też pytanie: czy możliwe jest nowoczesne społeczeństwo, pozbawione idei, tradycji, postaw lewicowych? Z takich mniej więc powodów, wskazywanych przez te pytania, podjąłem pisanie tej

książki, samorzutnie i pod prąd. Mogę więc powiedzieć, że kwestia istoty lewicowości jest moją kwestią macierzystą.

Było dla mnie wówczas rzeczą jasną, że ta tradycja lewicowa, w znacznej mierze narzucona, którą można nazwać komunistyczną lub bolszewicką, definitywnie została zakończona stanem wojennym, że niczego się tutaj już nie da ani zrewidować, ani naprawić, a już zwłaszcza ożywić. Lewica, jeśli ma istnieć, a istnienia i rozwoju nowoczesnych społeczeństw bez żywej lewicy nie sposób sobie wyobrazić, musi wrócić do korzeni i całą swoją historię napisać na nowo, bo bez odnowienia przeszłości nie może być nowej przyszłości. O tych korzeniach pisałem w swojej książce, odtwarzałem całą formację lewicową – nie wymyślałem jej, ona naprawdę istniała – która na przełomie XIX i XX wieku stworzyła w Polsce coś ważniejszego niż partie polityczne, mianowicie postawę lewicową, swoistą esencję lewicowości oraz ucieleśniającą ją rzeczywistość społeczną. Postawa, jak ją rozumiem, może wyrażać się i wyraża się politycznie, ale jest ona głębsza i bogatsza, bardziej wieloczynnikowa niż to, co zwykle partie polityczne wpisują w swoje programy.

Czytając pisarzy i myślicieli tamtego czasu, odtwarzając ich działania i spełnienia – a ich paleta jest olbrzymia: od Ludwika Krzywickiego i Wacława Nałkowskiego do Heleny Radlińskiej i Janusza Korczaka, od „Głosu” do „Poradnika dla Samouków”, od Uniwersytetu Latającego do Domu Sie-rot – uświadamiałem sobie, że lewicowość jest tutaj całościową postawą kulturalną i obejmuje podstawowe kwestie ludzkiego istnienia: stosunek do dzieci i kobiet, do innych i upośledzonych, do wychowania i kształcenia, twórczości i upowszechnienia, niepodległości i uspołecznienia. I tak dalej, i tym podobne – aż do polityki gospodarczej i politycznej, krajowej i światowej. Było na przykład wiadomo, że jesteśmy za edukacją emancypującą i wyzwalającą, a nie za standaryzującą i represjonującą; podobnie we wszystkich innych kwestiach, które wówczas, zwłaszcza w okresie rewolucji 1905–1907, były przedmiotem debat. Rzecz jasna, dotyczyło to również podstawowych problemów społeczno-ekonomicznych i historycznych; postawa lewicowa, skryształowana w swej istocie, pozwalała należycie

dookreślać także problemy szczegółowe – spójnie, zgodnie z podstawowymi przesłankami, a nie okazjonalnie i „taktycznie”. Nie mówiono po tej stronie, że trzeba „zająć się słabszymi” i „ulżyć ich doli”, bo to był język, którym przemawiała konserwatywna prawica. Różnica między programem emancypacyjnym a działalnością charytatywną była jasna, równie jasna jak różnica między solidarnością a litością. Istniał zatem język lewicy, którym można było wyrażać rozumienie świata i rozumienie to należycie kategoryzować. Restauracji tego języka także była poświęcona moja książka, choć pozostała głosem odosobnionym, bo naszą „scenę polityczną” po roku 1989 zdominowała lewica, która nie potrzebowała ani postawy lewicowej, ani języka lewicy, ani spójności ideowej.

*Etos lewicy* ukazał się w roku 1990 i nie wzbudził większego zainteresowania, poza kilkoma życzliwymi recenzjami w różnych pismach; żadne ogniwo instytucjonalnej lewicy nie zaprosiło mnie na jakąkolwiek dyskusję, przestałem na kilku, inspirujących zresztą, prawie prywatnych, spotkaniach ze studentami. Epizod ten charakteryzuje, moim zdaniem, tę dominację bezideowości i bezrefleksyjności, redukcji wszystkiego do praktyk politycznych i kalkulacji taktycznych, jaka doprowadziła do obecnego stanu nominalnej lewicy. I rozważania, co tu zrobić, aby w następnych wyborach przekroczyć barierę 5 procent, nie interesują mnie wcale, ponieważ odbudowa lewicy w Polsce musi się wreszcie rozstrzygać na poziomie idei, języka, postaw, a nie na poziomie doraźnych kalkulacji i manipulacji.

Jestem głęboko przekonany, że podstawowym warunkiem rekonstrukcji lewicy jest rekonstrukcja takiego jej języka, który był właściwy wskazywanej przeze mnie tradycji i który pozwalał wyrażać właściwe lewicy wyobrażenia o świecie i ludziach. Rzecz jasna, język ten powinien podlegać modernizacji, bo nie da się go po prostu przenieść z przeszłości, ale to musi być modernizacja języka lewicy i tradycji lewicy, a nie, na przykład, pospieszna adaptacja do rad nadzorczych albo programów podatku liniowego. Współczesna lewica instytucjonalna takiego języka nie ma, używa strzępów języków zapożyczonych, pozornie chwytliwych, naprawdę jednak niespójnych i rozproszonych. Problemem lewicy nie może być również abstrakcyjna dys-

kusja o wartościach, choć obecny eklektyzm refleksję teoretyczną niejako wymusza, winno nim być praktyczne przyświadczenie tym wartościom. Z góry powinno być wiadomo, jak ludzie lewicy zachowają się w obliczu takich problemów, jak interwencja w Iraku czy prywatyzacja szkolnictwa wyższego. Za litościwą „opiekę nad słabszymi” również dziękujemy – potrzebny nam jest solidarny program emancypacyjny. Ale trzeba umieć nie tylko wskazać te miejsca społeczne, którym emancypacja jest niezbędna, trzeba także umieć miejsca te poruszyć.

Krótko mówiąc, nie ma lewicy – bez ideowej tożsamości, spajającej wewnętrznie i rozpoznawalnej na zewnątrz. Sądzę, że tożsamości tej nie da się osiągnąć bez przywrócenia pozytywnego znaczenia słowu we współczesnej Polsce wyklętemu, mianowicie słowu „socjalizm”. Na klątwę tę złożyło się wiele czynników – powojenne zawłaszczanie terminu połączone z eliminacją jego rdzennej treści, potem utożsamienie socjalizmu ze stalinizmem, na koniec z tak zwanym realnym socjalizmem. Cały ten fałsz został przejęty, tym razem negatywnie, w III RP i wszystkie ugrupowania polityczne od prawicy do lewicy były nadzwyczaj zgodne w jego utrwalaniu: socjalizm stał się swego rodzaju wyzwiskiem! Zwalczano stalinizm, etatyzm, socrealizm, totalitaryzm jako socjalizm, prześcigano się w wykrywaniu residuów tak pojmowanego socjalizmu, gdziekolwiek się dało. Narastająca w ostatnich latach mania lustracyjna jest nieuchronną konsekwencją tamtego fałszerstwa i tamtej obsesji. Z tym trzeba skończyć, położyć temu kres – trzeba przywrócić słowu „socjalizm” jego społeczny sens, odtworzyć jego historyczną genealogię ideową, nadać mu współczesny wyraz.

Jest pewną prawdą, że lewica przeżywa trudności w całym współczesnym świecie, ale nie da się zaprzeczyć, że Ségolène Royal występowała jako socjalistka i jako socjalista identyfikowany jest José Luis Rodríguez Zapatero. Nie zachęcam do naśladowania kogokolwiek z nich, zachęcam do wypracowania polskiej treści takiej odnowy, jaka wiąże się z tymi politykami w ich krajach. Nie zgadzam się natomiast z twierdzeniem, że nasze problemy z lewicą są bezpośrednią pochodną trudności europejskich czy globalnych. Lewica francuska czy brytyjska znajdują się zapewne w trudnej

sytuacji i muszą przetwarzać swoje programy na użytek społeczeństwa postindustrialnego, ale mają równocześnie ponad stuletnie, niezerwane, a zwłaszcza niezrywane przymusowo, tradycje postaw, idei oraz organizacji politycznych i społecznych. Tymczasem w naszym kraju doszło do kilku radykalnych, gruntownych zerwań, których skutków nawet dotąd nie rozpoznało. Wystarczy przypomnieć, że tak zwane zjednoczenie ruchu robotniczego oznacza likwidację nie tylko PPS-u, ale też wszystkich stowarzyszonych z tą partią ogniw życia społecznego – od zawodowych, poprzez kulturalne, do sportowych. Ta tkanka nigdy potem nie została ożywiona, a współczesna socjaldemokracja zadowolili się „Stowarzyszeniem Ordynacka”.

Trzeba tkankę taką odradzać, trzeba ożywić podstawowe ogniwa myślenia lewicowego, kojarzenia słów kluczowych i właściwych im pól aksjologicznych. Rzecz jasna, nie zrobi się tego bez rzetelnej, wnikliwej i krytycznej interpretacji społeczeństwa współczesnego i jego swoistych problemów. To musi być interpretacja formacyjna, a nie sytuacyjna, odślanająca trwale właściwości tego społeczeństwa, które właśnie się tworzy, a nie jego okazjonalne słabości, to musi być interpretacja perspektywiczna, a nie doraźna, przekładalna na doświadczenia przynajmniej jednego pokolenia, a nie przedwyborcze slogany. Nie mogą pojąć, dlaczego lewica instytucjonalna w III RP, mając w ręku wiele środków i wiele mediów, niczego takiego nie stworzyła. Ale może właśnie na tym polegały jej przejściowe sukcesy – że była zawsze gotowa do kampanii, a nigdy nieprzygotowana do historii. Karol Marks, przypomnę, był mistrzem takich konkretnych, a zarazem perspektywicznych interpretacji historycznych. Może więc nie należałoby się go tak wyrzekać, jak się czyni współcześnie. Jeszcze można pójść do niego po naukę.

Nie można także odrodzić lewicy bez odpowiedzialnego podjęcia i uprawiania tak zwanej polityki historycznej. Nie jest ona i nie powinna być monopolem prawicy politycznej, nawet tej jasnej, nie mówiąc już o ciemnej. Odbudowa tradycji lewicowej w Polsce – niezbędna, bo kto nie ma przeszłości, ten nie będzie mieć przyszłości, jak uparcie powtarzam – jest już wkroczeniem w obszar polityki historycznej. Odbudowie tej tra-

dycji musi towarzyszyć rekonstrukcja lewicowego myślenia o historii Polski – tworzyli je Ludwik Krzywicki, Wacław Nałkowski, Stanisław Brzozowski, Bolesław Limanowski, Mieczysław Niedziałkowski, Lidia i Adam Ciołkoszowie i wielu innych. Istnieje tysiąc powodów, aby myślenie to przywracać, ale najważniejsze są dwa. Pierwszy taki – że wszystkie inne, uprawiane obecnie, popularyzowane w szkole i w mediach koncepcje historii Polski są wyzbyte problematyki społecznej, wyprane z tej problematyki, a nawet – powiedziałbym – wykastrowane. Nie tylko historia Polski pozbawiona problematyki społecznej, ale również historia jakiegokolwiek ludzkiej zbiorowości wyzbyta problematyki społecznej musi być historią fałszywą. Miejscem wspólnym takiego fałszowania historii polskiej było, na przykład, doszczętne przemilczenie stulecia rewolucji 1905–1907, od której przecież rozpoczyna się nasza nowoczesna historia – także w nurcie niepodległościowym. W przemilczaniu tym przodowały, jeśli tak można rzec, tak zwane partie lewicy, co je właściwie obnaża. Otóż z tym również trzeba skończyć – po to, abyśmy lepiej rozumieli się nawzajem, bo nie rozumiejąc swojej przeszłości, rozumieć się nie możemy. Jakieś 90 procent współczesnych klas politycznych wywodzi się z klas pracujących, a wszystkie one zachowują się tak, jakby miały szlachecką, jeśli nie arystokratyczną genealogię. Muzeum Historii Polski niewątpliwie powstanie, zresztą powstać powinno. Nie wiadomo dlaczego Niemcy mają mieć takie muzeum w samym sercu Berlina, a my nie powinniśmy go mieć w centrum Warszawy. Na Muzeum tym edukowane będą przyszłe pokolenia, zatem jeśli zostanie ono wyprane z tradycji lewicy i ze społecznego widzenia historii Polski – to będzie Muzeum fałszywym. Ale to będzie wina lewicy, która się wycofała, a nie prawicy, która jako jedyna gospodaruje na tym polu. Nawet ludowcy już zapomnieli, kto i jak zdobywał armaty pod Stoczkiem.

Na koniec – pewne *ceterum censeo*. Lewicowość to postawa, a nie legitymacja partyjna. Przenika ona wszystkie stoje życia zbiorowego i winna w nich być czynnie obecna, winna przyświadczać swoim wartościom na wszystkich poziomach życia społecznego i we wszystkich jego ogniwach. Przypomnę, bo to dobry przykład historyczny, że w roku 1905 chodziło

o tworzenie przedszkoli, o szkołę polską, ale też o systemy oceny w niej, o emancypację kobiet i ich wyższe kształcenie, o organizację stowarzyszeń, spółdzielni, związków... i tak dalej, i tym podobne. Wszystko to na dodatek działo się w państwie obcym i represyjnym. Instytucjonalna socjaldemokracja w III RP, która przez sporo lat Rzeczpospolitą władała, nie stworzyła niczego porównywalnego. Nie zbudowała ani jednego przedszkola, ani jednej wzorowej szkoły, nie ożywiła żadnego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci (TPD), nie stworzyła ani jednego systemu stypendialnego. Zachowywała się tak, jakby w Polsce nie było już żadnych problemów społecznych i wszyscy zostali wyemancypowani. Dlatego, nawiasem mówiąc, wyhodowała na swoich barkach takiego pasożyta problematyki społecznej, jakim była Samoobrona. Bez zdefiniowania tego, czym jest dzisiaj demokracja społeczna, oraz bez silnego, zdeterminowanego przyświadczenia społecznemu demokratyzmowi we wszystkich jego możliwych postaciach i przekrojach żadna lewica nie zostanie zbudowana i żadna spójność społeczna nie zostanie osiągnięta.





# Janusz Reykowski

## Jaka lewica jest Polsce potrzebna? Inna niż dawniej

### Kryzys lewicy

Trudno się nie zgodzić z głosami wskazującymi na to, że lewica w Polsce znajduje się w stanie poważnego kryzysu. Można wskazać, jak sądzę, trzy główne źródła tego kryzysu.

Pierwsze to historyczna klęska projektu lewicowego w tym jego wcieleniu, które zwolennicy określali jako „realny socjalizm”, a przeciwnicy – jako „komunizm”. Projekt ten przegrał w dwóch fundamentalnych dla lewicy sferach. W sferze ekonomicznej nie zdał „egzaminu z Karola Marksa”. Jak wiadomo, Marks twierdził, że w historycznej rywalizacji wygrywają te systemy społeczno-ekonomiczne, które lepiej służą rozwojowi sił wytwórczych – realny socjalizm dużo gorzej służył temu rozwojowi niż nowoczesny kapitalizm. Projekt ten przegrał też w sferze moralno-politycznej – nie poszerzył obszarów wolności, przeciwnie, w stosunku do rozwiniętych krajów Zachodu znacznie je zawęził, sprzeniewierzając się w ten sposób podstawowym wartościom lewicy. Trzeba powiedzieć, że upadający socjalizm powinien zawołać, parafrazując słowa Pankracego z *Nie-Boskiej komedii* – *Capitalismae, vicisti!*<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> Choć nie musi to znaczyć, że kapitalizm zwyciężył „po wszystkie czasy”. Jeśli teraz nie potrafimy przedstawić żadnej lepszej realistycznej alternatywy, to nie znaczy to, że jej nie ma. Może to raczej znaczyć, że na obecnym etapie historii nikomu nie starcza wyobraźni, aby taką alternatywę sformułować.

Drugim źródłem kryzysu jest „wyczerpanie programowe” lewicy w skali europejskiej. Niemalą część jej wiodących haseł programowych (na przykład ośmiogodzinny dzień pracy, antymilitaryzm, wyzwolenie kobiet, państwo opiekuńcze, nacjonalizacja jako środek walki z kapitalistycznym wyzyskiem itp.) albo została zrealizowana, albo została przejęta przez inne ruchy, albo wreszcie w większym lub mniejszym stopniu nie sprawdziła się. Ponadto zmiany społeczne spowodowały zmianę sytuacji lub rozproszenie tych grup społecznych, które stanowiły tradycyjny elektorat lewicy. Pojawił się, związany z tym, proces przesuwania się partii lewicowych ku centrum.

Trzecie źródło kryzysu lewicy ma charakter lokalny – wiąże się z sytuacją jej politycznej reprezentacji w Polsce. Sytuację tę determinuje kilka różnych czynników. Zwrócę tu uwagę na następujące:

- Rozbicie lewicy na taką, która ma słuszne pochodzenie (od ruchu „Solidarności”) i niesłuszne pochodzenie (od PZPR).

- Fakt, że w najsilniejszej partii lewicy – Sojuszu Lewicy Demokratycznej – postępował zanik pryncypiów ideowych. Wiązało się to ze wspomnianą wcześniej historyczną klęską obozu lewicy i dominacją w polskim publicznym dyskursie paradygmatu neoliberalnego. Lewica ulegała temu paradygmatowi. Mając świadomość owej klęski, ulegała także zwycięskiemu obozowi prawicowemu w takich sferach, jak interpretacja historii i wyobrażenia o pożądanym formach ładu społeczno-politycznego.

- Przekształcanie się partii lewicy w partię władzy, która w swej praktycznej polityce realizuje wprawdzie określone ogólnopaństwowe zadania, ale mało się troszczy o tych, których partie lewicowe powinny być głównymi obrońcami – o wykluczonych. Troszczy się natomiast, i to w nadmiarze, o własne interesy.

Wszystkie powyższe okoliczności spowodowały, że lewica w Polsce znalazła się w bardzo trudnej sytuacji. Sytuacja byłaby jeszcze trudniejsza, gdyby nie to, że i prawica, jeśli spojrzeć na nią w nieco dłuższej perspektywie – tak w Polsce, jak i na świecie – ma na swym koncie nie tylko błędy i poważne klęski, ale także występki i zbrodnie. A ponadto, w ostatnich

kilku latach, polska prawica ujawniła skłonność do nadawania demokracji charakteru autorytarnego.

Wszakże, jeśli przyjrzeć się różnym, przedstawianym tu, źródłom kryzysu lewicy, to nasuwa się myśl, że ich wspólnym przejawem jest stan, który można określić jako ideologiczne zagubienie. Wygląda na to, że lewica, przynajmniej ta w Polsce, przestała dobrze rozumieć, czym naprawdę jest i o co jej chodzi. Z różnych stron dochodzą wprawdzie stanowcze wezwania do odrodzenia etosu lewicowego, ale treść tego etosu jest przedstawiana dosyć powierzchownie. Co więcej, można odnieść wrażenie, że gdy mówi się o etosie lewicowym, nawiązuje się do tradycyjnych wyobrażeń o lewicy. Nie uwzględnia się tego, że w dzisiejszym świecie, wobec stuletniego doświadczenia działania partii lewicowych, po doświadczeniach ostatnich 50 lat, treść tych pojęć wymaga ponownego przemyślenia. Tym bardziej, że dzisiejszy świat bardzo się różni od tego, w jakim żyli i działali nasi poprzednicy.

### Lewica – sens pojęcia

Punktem wyjścia debaty nad współczesną lewicą musi być określone stanowisko co do tego, czym w istocie odróżniają się lewicowy i prawicowy sposób ujmowania życia społecznego.

Otóż sądzę, że niezależnie od wszystkich zmian, jakie dokonały się w świecie w ciągu ponad 200 lat od czasu, gdy kategorie lewica–prawica znalazły się w obiegu publicznym, podstawowe założenia tego podziału zostają w mocy. Podział ten wynika z faktu, że zawsze istniały i nadal istnieją głębokie różnice między ludźmi w zakresie dostępu do zasobów materialnych, do władzy i do środków społecznego komunikowania się. Różnice te dają jednym przewagę nad innymi. Przewaga ta jest wykorzystywana w różny sposób, wskutek czego liczne grupy i odłamy społeczeństwa żyją w warunkach ograniczających ich możliwości rozwojowe, a nieraz pozostają w sytuacji głębokiej deprivacji i opresji.

Ideologia prawicowa różnice te legitymizuje, a polityka prawicowa (jeśli występuje w czystej postaci) zmierza do ich podtrzymania i powiększania; dąży do zachowania stosunków społecznych na tych różnicach opartych. Wymaga to ograniczania różnych wolności, z wyjątkiem wolności ekonomicznych.

Ideologia lewicowa uznaje te różnice za wytworzone społecznie i głosi potrzebę rozwijania polityki, która ma zmierzać do ich przewycięzania. Polityka ta jest (czy też ma być) nastawiona na likwidowanie opresywnych stosunków, na stwarzanie szans rozwojowych jak najszerszym kręgom ludzi.

Polityka prawicowa wynika nie tylko z „egoizmu uprzywilejowanych”, ale także z przekonania, że nierówności między ludźmi są stanem pożądanym – stanowią niezbędną przesłankę indywidualnego i społecznego rozwoju. Z kolei polityka lewicowa jest nie tylko wyrazem potrzeb i interesów grup upośledzonych, ale wynika także z przekonania, że świat będzie lepiej urządzony, jeśli uda się w nim znieść nędzę i upośledzenie.

Tak więc nasuwa się zasadnicze pytanie: na czym, we współczesnym świecie, taka polityka ma polegać? Odpowiedź na to pytanie może przybierać różną treść w różnych społecznych okolicznościach. W moim wystąpieniu, zgodnie z założeniami tej konferencji, zamierzam rozważać ją z nader ograniczonej perspektywy – z perspektywy współczesnej Polski.

Przyjmując, że podstawowym celem polityki lewicowej jest zwalczanie społecznego upośledzenia, a więc dążenie do przewycięzania nierówności, trzeba mieć na względzie dwa ich rodzaje: nierówności w sferze społeczno-ekonomicznej (czyli problem, jak się go niekiedy określa, społecznej sprawiedliwości) oraz nierówności w sferze społeczno-politycznej (czyli problem politycznej podmiotowości i wyzwolenia od wszelkich form ucisku). Wszakże oba te problemy rysują się dzisiaj zupełnie inaczej niż jeszcze kilkanaście lat temu.

## Kwestia nierówności społeczno-ekonomicznych

Programy lewicowe od zawsze zawierały postulat znoszenia nierówności ekonomicznych. Jednak, jak pokazuje doświadczenie poprzedniego stulecia, próby konsekwentnej realizacji równości ekonomicznej nie sprawdziły się – przynosiły drastyczny spadek ekonomicznej produktywności. Co więcej, z reguły doprowadzały one do nasilenia politycznego ucisku i drastycznych ograniczeń wolności. Działo się tak nie tylko w tak zwanych krajach komunistycznych<sup>2</sup>. Tak więc wyobrażenia dawnej lewicy, że walkę z upośledzeniem społecznym można wygrać, usuwając wszelkie źródła ekonomicznych nierówności (w tym, przede wszystkim, drastycznie ograniczając czy znosząc własność prywatną i stosunki kapitalistyczne), okazały się historycznym nieporozumieniem. Przynajmniej na tym etapie społecznego rozwoju ludzkości.

Innym sposobem walki ze społecznym upośledzeniem było stosowanie urzędzeń państwa opiekuńczego. Urządzenia te, wprowadzane przez lewicowe rządy w różnych krajach Europy, zapewniły zasadnicze polepszenie warunków życiowych szerokich warstw społeczeństwa. Jednakże ujawniły też różne słabości.

Jedną z nich jest wytwarzanie asymetrycznej relacji między państwem a obywatelem: potężne, zamożne państwo ustawia się w pozycji tego, kto rozdziela wśród obywateli różne uprawnienia i przywileje. W tej sytuacji duża część wysiłku obywateli zaczyna się skupiać na tym, jak zdobyć najwięcej przywilejów, jak ominąć przeszkody i ograniczenia stojące na drodze do ich uzyskania. Co więcej, sytuacja taka ma pewne negatywne konsekwencje psychologiczne: wytwarza, na masową skalę, postawy roszczeniowe – eskalację żądań, domaganie się coraz to nowych uprawnień i nowych przywilejów. Jednocześnie słabnie motywacja do podejmowania własnej produktywnej, przedsiębiorczej działalności.

---

<sup>2</sup> Przykładem trudności, na jakie natrafia konsekwentna realizacja ideału równości, są izraelskie kibuce.

Doświadczenie krajów skandynawskich wskazuje, że nie zawsze tak musi się dziać (choć i tam zdarzają się narzekania na występowanie postaw roszczeniowych). Być może w danych kulturowych kontekstach niebezpieczeństwo to jest słabsze niż w innych. W polskim wydaje się nader poważne.

Przytoczone wyżej powody skłaniają do przekonania, że nierówności ekonomiczne są obecnie nieuniknione, bo stanowią konieczny warunek ekonomicznej produktywności, a zarazem jej nieuchronną konsekwencję. Wszakże lewica nie widzi powodu, aby uznawać, że uzasadniona jest skala tych nierówności i że powinny się one dalej powiększać (tak jak to się dotychczas działo w Polsce i w wielu innych krajach – choćby w USA). Lewica przeciwstawia się sytuacji, w której, mimo stałego postępu technicznego i rozwoju ekonomicznego, rzesze ludzi znajdują się w warunkach skrajnego ubóstwa, nie mając żadnych realnych szans rozwojowych. Uważa, że dzieje się tak wskutek politycznej przewagi i egoizmu klasowego warstw uprzywilejowanych, które są w stanie narzucać reszcie społeczeństwa rozwiązania dla siebie korzystne. Dlatego lewica uważa za konieczne prowadzenie polityki, która korygowałaby ów stan rzeczy.

Jednym z głównych kierunków takiej polityki jest tworzenie warunków ułatwiających awans społeczny grup upośledzonych. Na czoło wśród tych warunków wysuwa się polityka edukacyjna – odpowiednio prowadzona otwiera ona przed ludźmi nowe perspektywy życiowe. Chodzi tu o różne jej aspekty, między innymi o jak najwcześniejszy kontakt z instytucjami oświatowymi – według danych współczesnej psychologii odpowiednio ustawione, wczesne doświadczenie edukacyjne przyczynia się do rozwoju inteligencji, czyli jednego z najważniejszych czynników powodzenia życiowego. Chodzi także o jakość wykształcenia, o dostęp do uczelni wyższych, o możliwości podwyższania kwalifikacji w ciągu całego okresu kariery zawodowej.

Rządy prawicowe, jeśli nie są w sposób fanatyczny owładnięte prawicową ideologią (jak to demonstrowała rządząca w Polsce edukacją Liga Polskich Rodzin<sup>3</sup>), także zwracają uwagę na rolę edukacji – gospodarka potrzebuje

---

<sup>3</sup> Troszcząc się głównie o tzw. wychowanie patriotyczne, o dyscyplinę w szkole, o propagowanie tradycyjnej moralności.

wykształconych kadr. Ale to dla lewicy właśnie edukacja ma szczególne znaczenie, jako sposób przezwyciężania nierówności społecznych.

Ważnym warunkiem awansu szerokich rzesz społeczeństwa jest odpowiednio ukierunkowana polityka modernizacji kraju. Lewicowe rozumienie modernizacji różni się od prawicowej idei rozwoju ekonomicznego pod kilkoma ważnymi względami.

Po pierwsze, różnica ta dotyczy kryteriów modernizacji. Dla lewicy modernizacja nie sprowadza się do przyrostu dochodu narodowego i wprowadzania nowych technologii, zapewniających większą wydajność pracy. Dla niej miarą postępu są nie tylko imponujące gmachy, nowoczesne technologie, coraz doskonalsze gadżety – to zarazem zmiana jakości życia społeczeństwa jako całości. Lewicy chodzi o to, aby z owoców postępu technicznego korzystały nie tylko elity żyjące w mniej lub bardziej zamkniętych gettach, ale aby produkty te docierały do „zwykłych ludzi”. Chodzi jej także o to, aby modernizacja zakładała tworzenie warunków, dzięki którym horyzonty ludzi mogą się poszerzać, a więc aby człowiek osiągał coraz większą swobodę kształtowania form swego życia.

Po drugie, lewicę obchodzą sposoby modernizacji – ważne jest dla niej to, jak się taka modernizacja dokonuje. Na przykład lewica przeciwstawia się „modernizacji za wszelką cenę”, takiej, która rujnuje środowisko i grozi pogarszaniem się jakości życia przyszłych pokoleń.

Po trzecie, podejście lewicowe różni się od prawicowego, jeśli idzie o pojmowanie roli państwa w tym procesie. Podejście prawicowe zakłada, że rozwój ekonomiczny, jakoby automatycznie, przynosi korzyści wszystkim członkom społeczeństwa. W pewnym okresie historycznym, w wielu krajach, tak rzeczywiście się działo, ale jak pokazuje doświadczenie ostatnich dekad, tak wcale dziać się nie musi. Lewica uznaje, że w osiągnięciu celów, które uważa za ważne, państwo odgrywa rolę podmiotową. Znaczy to, że nie ogranicza się ono do roli gwaranta praw (czy jak to kiedyś określano – stróża nocnego). Nie ogranicza się też do roli pomocniczej (choć z pewnością taką funkcję powinno pełnić).

Ale nie znaczy to, że państwo ma przejmować rolę demiurga zmian, który sam określa, co dla obywateli jest ważne, i sam rozwiązuje ich problemy. Jego zadaniem nie jest kierowanie procesem modernizacji czy wskazywanie, jak ma ten proces przebiegać. Państwo ma stwarzać warunki sprzyjające temu procesowi i regulować jego przebieg tak, by wartości, które lewica uważa za podstawowe, były zabezpieczone.

Stanowisko, według którego realizacja celów lewicy wymaga tworzenia warunków sprzyjających samorozwojowi członków społeczeństwa, nie znaczy, że odstępuje ona od zasady solidarności; znaczy, że uważa ona, iż idea ta powinna być inaczej niż dawniej rozumiana i inaczej realizowana. Tak więc solidarność z pokrzywdzonymi i upośledzonymi nie ma się wyrażać w „rozdawaniu” czegokolwiek, ale w tworzeniu warunków umożliwiających jak najszerszym kręgom ludzi rozwijanie swego życia. Równocześnie trzeba liczyć się z tym, że ograniczenia możliwości rozwojowych mają różne powody, takie jak brak wykształcenia, nędza, brak wsparcia społecznego, inwalidztwo, psychologiczne niedostosowanie, dyskryminacja, ciężka choroba, starość, nieszczęśliwy wypadek, szczególny układ losów życiowych itp. Każda z tych okoliczności wymaga odmiennego podejścia, ale wszystkie one wiążą się z aktywnym wsparciem ze strony państwa.

W tym zakresie stanowisko lewicowe różni się od prawicowego dwojako. Różni się ono od tej wersji prawicy, która głosi, że każdy sam jest odpowiedzialny za swój los, a w życiu każdego spotyka to, na co zasłużył. Różni się również i od tej wersji, która, dostrzegając słabość i nieszczęście, uznaje za potrzebne udzielanie pomocy na zasadzie charytatywnej. Solidarność w rozumieniu lewicy jest poczuciem odpowiedzialności za to, aby członkowie społeczeństwa mogli stawać się aktywnymi podmiotami, zdolnymi do przyjmowania odpowiedzialności za siebie i współodpowiedzialności za innych. Chyba że z racji wieku lub stanu zdrowia są do tego niezdolni.

Lewica zakłada, że świat taki jest możliwy, a powstać może dzięki promowaniu postępu cywilizacyjnego i racjonalnych sposobów organizacji życia społecznego. Dlatego lewica traktuje naukę jako głównego sojusznika.



## Kwestia nierówności w sferze społeczno-politycznej

Idea równości jest podstawą etosu demokratycznego, który dominuje w większości krajów świata; jest ona rozumiana jako równość praw i równość szans. Wszakże niezależnie od oficjalnych deklaracji stosunki między różnymi grupami społecznymi (wyodrębnionymi na podstawie ich sytuacji ekonomicznej, przynależności etnicznej czy narodowej, wyznania, płci, orientacji seksualnej, światopoglądu politycznego) opierają się w wielu krajach (a chyba w większości) na zasadzie społecznej dominacji – ideologie, które mają tę dominację legitymizować, są szeroko rozpowszechnione. Lewica przeciwstawia się tym ideologiom i tego typu stosunkom. Uważa za konieczne budowanie i umacnianie praw oraz instytucji, które zapewniałyby równość rzeczywistą, a więc poszerzanie obszaru spraw poddanych pod bezpośrednią kontrolę obywateli, przede wszystkim przez rozwijanie instytucji samorządowych, a także zwiększanie ochrony obywateli przed naruszaniem ich praw, w tym także przed naruszaniem ich przez arbitralność władzy.

Wszystkie te wymagania dobrze mieszczą się w kanonie liberalnej demokracji. Wszakże ich realizacja natrafia na przeszkody dwóch rodzajów. Jeden rodzaj przeszkód wiąże się z obiektywnym zróżnicowaniem ludzi pod względem ich mocy i kompetencji społecznych. Wskutek tego ci, którzy posiadają większą moc i większe kompetencje, są w stanie uzyskać dużo lepsze zabezpieczenie swych praw niż słabsi. Celem lewicy jest zatem tworzenie takich warunków, które tę nierówność będą przewyżężyły.

Drugi rodzaj przeszkód wiąże się z istnieniem grup i instytucji, które dążą do ograniczenia praw pewnych grup obywateli lub też są w ogóle przeciwne zasadom liberalnej demokracji. Są to na przykład organizacje polityczne dążące do utworzenia scentralizowanego, autorytarnego państwa (próby takie niedawno podejmowano w naszym kraju). Są to także instytucje religijne, które domagają się dominującej pozycji w życiu państwowym. Lewica przeciwstawia się tego rodzaju dążeniom – walczy przeciw autorytarnym formom władzy politycznej i dąży do neutralności światopoglądowej państwa.

Lewica stoi na stanowisku, że realnie istniejące urządzenia społeczne nie gwarantują równych praw i równych szans, dlatego chce je poprawiać. Prawica, w szczególności w jej bardziej konserwatywnych odmianach, nie widzi takiej potrzeby (niezależnie od retoryki, którą się postuguje).

Jedną z ważnych implikacji tego stanowiska jest stosunek lewicy do demokracji. Lewicowa krytyka demokracji często zwracała uwagę na znaczną rozbieżność między teoretycznymi założeniami systemu a ich realizacją w konkretnych warunkach społecznych. W szczególności chodzi o to, że mechanizm demokratyczny dość łatwo może stać się „tupem” uprzywilejowanych warstw społeczeństwa. Wybrane w powszechnych wyborach władze dość często prowadzą politykę dopasowaną do interesów najsilniejszych, najbardziej wpływowych grup. Wywołuje to wśród wielu obywateli zniechęcenie do polityki, przyczynia się do rozpowszechnienia zjawisk politycznej alienacji, a w niektórych przypadkach wiedzie do działań antysystemowych.

Demokracja w swych obecnych najpowszechniej praktykowanych formach jest swoistym sposobem kontroli nad istniejącymi w społeczeństwie antagonizmami. Dzięki demokratycznym instytucjom walka, jaka bywa nieuchronną konsekwencją takich antagonizmów, przybiera polityczny, a więc w zasadzie pokojowy charakter. Chyba że nasilenie antagonizmów osiąga poziom, z którym demokratyczne instytucje nie umiują sobie poradzić. Tak więc, jak to wyraziła, powołując się na Eliasa Canettiego, Chantal Mouffe: „głosowanie jest pozostałością krwawego starcia odgrywanego teraz na wiele sposobów za pomocą gróźb, obelg... Ale podliczenie głosów jest końcem bitwy”. I dalej: „Uroczysty charakter tych działań bierze się z rezygnacji ze śmierci, jako narzędzia rozstrzygnięcia sporów”<sup>4</sup>.

Lewica nie godzi się z poglądem, że najlepszym sposobem realizacji interesów obywateli jest walka wyborcza między partiami politycznymi. Trudno bowiem uznać, że cała ta, tocząca się w demokracji, gra o miejsca w organach przedstawicielskich, o stanowiska związane z władzą,

---

<sup>4</sup> Chantal Mouffe, *Polityka i polityczność*, przełożyła Joanna Erbel i Adrian Wójcik, „Krytyka Polityczna” 2007, nr 11–12, s. 157.

o narzuceniu społeczeństwu programów preferowanych przez politycznych zwycięzców dobrze służy sprawie ludzkich praw i wolności. Z pewnością w jakimś stopniu służy. W bardziej dojrzałych demokracjach służy lepiej niż w mniej dojrzałych. Ale służy nader niedoskonale.

Tak zbudowany polityczny mechanizm zapewnia przewagę silniejszym grupom społecznym. Dlatego lewica dąży do jego modyfikacji. W szczególności nie uważa ona, że rozwiązywanie istniejących w społeczeństwie sprzeczności i antagonizmów zawsze musi dokonywać się w toku walki – albo fizycznej, albo politycznej. Sprzeczności i konflikty mogą być również rozwiązywane w drodze porozumień osiągniętych w toku debaty. Demokracja, w której działają efektywne instytucje debaty i rozwijana jest kultura debaty, a więc demokracja typu deliberytywnego, może stwarzać znacznie lepsze możliwości zaspokajania potrzeb społecznych i realizacji zasady równości niż forma obecna, czyli demokracja typu adwersaryjnego. Lewica powinna dążyć do tego, aby polepszać jakość demokracji poprzez rozbudowywanie instytucji debaty.

Cel taki nie jest wcale tak utopijny, jak się to niektórym może wydawać. Praktyka rozwiązywania nawet najtrudniejszych konfliktów w drodze debaty sprawdziła się już w naszej historii – doświadczenia „okrągłego stołu” są tego najlepszym przykładem.

Także i w tej sprawie ujawnia się wyraźna różnica między orientacją lewicową i prawicową. Niemala część prawicy jest, jak się zdaje, przekonana, że problemy społeczne najskuteczniej rozwiązuje się przy pomocy instrumentów siły. W polityce wewnętrznej wyraża się to w ideologii „zwalczania wrogów”, w preferowaniu strategii agresywnych i punitarywnych. W polityce zagranicznej jest to skłonność do posługiwania się retoryką rywalizacji i walki, a wśród bardziej radykalnych kręgów prawicy są to tendencje militarystyczne.

Nie znaczy to, że lewica jest zupełnie wolna od tego rodzaju postaw i nastawień. Jeśli jednak ma być wierna własnej aksjologii, to postaw takich musi się wyzbywać. Wprawdzie z życia społecznego nie da się zupełnie wyeliminować elementów walki i mniej lub bardziej ostrych konfliktów, co

zresztą nie jest ani konieczne, ani pożądane. Ale pożądane jest tworzenie takich form ładu społecznego, które chronią słabszych przed dominacją silniejszych i ograniczają zakres sytuacji, kiedy to użycie przemocy (fizycznej czy politycznej) staje się rzeczywiście niezbędne.

### Kogo lewica reprezentuje

Program partii politycznej opiera się (czy ma się opierać) na przyjętych założeniach aksjologicznych i odnosi się, z reguły, do jakiejś kategorii interesów – zyskują lub mają na nim zyskać pewne grupy społeczne. Inne mogą stracić<sup>5</sup>.

W imię jakich interesów występuje lewica? Dawniej odpowiedź na to pytanie wydawała się prosta. Zgodnie z jej deklaracjami, a w dużym stopniu też i z jej praktyką, występowała ona w obronie interesów upośledzonych warstw społeczeństwa – robotników i chłopów. Ale także innych grup, które czuły się upośledzone czy wykluczone – mniejszości narodowych, kobiet, mniejszości seksualnych itp. Dziś takie ujęcie wydaje się w jakimś stopniu anachroniczne: bardzo skurczyła się warstwa chłopska, zmieniła się klasa robotnicza, natomiast w Polsce, i w innych krajach regionu, jednym z ważnych źródeł upośledzenia stało się niepowodzenie w przystosowaniu do wymogów kapitalistycznej transformacji.

Czy można więc powiedzieć po prostu, że w naszym kraju powołaniem współczesnej lewicy jest reprezentowanie tych grup społecznych, które czują się pokrzywdzone przez transformację lub też są upośledzone z innych powodów? Rzecz wydaje się bardziej skomplikowana.

Po pierwsze dlatego, że wśród grup upośledzonych panują poważne antagonizmy – na przykład między środowiskami miejskimi i wiejskimi, między środowiskami tradycyjnymi a grupami różniącymi się od nich pod względem stylu życia (na przykład gejami), między imigrantami a stałymi mieszkańcami

---

<sup>5</sup> Nie zawsze deklarowane interesy odpowiadają realizowanym. Tak na przykład jednym z głównych powodów krytyki pod adresem SLD była „zdrada” interesów własnego elektoratu.

itp. Koncentrując się na interesach jakiejś jednej z tych grup, lewica może zrażać do siebie inne. Czy znaczy to, że w trosce o interes polityczny partia lewicowa powinna brać pod uwagę przede wszystkim grupy najliczniejsze? Byłoby to bardzo złe rozwiązanie wyłaniających się tu dylematów.

Po drugie dlatego, że współczesna lewica, w odróżnieniu od dawnej, dostrzega, że podział ideologiczny jest podziałem w ramach jednej społecznej całości – w ramach państwa narodowego, którego dobro stanowi interes wspólny wszystkich obywateli. Dostrzega także, iż pomyślność tej całości związana jest jakoś z pomyślnością różnych jej segmentów. Tak więc celem lewicy, zgodnym z jej systemem wartości, jest rozwój społeczeństwa jako całości. Chodzi o takie zmiany, które przyczyniają się do polepszania jakości życia ludzi, w szczególności jednak tych, którzy ze względu na swe społeczne położenie mają ograniczone możliwości korzystania z owoców tych zmian. Dlatego cele polityki lewicowej nie sprowadzają się do walki o podział zasobów – w żywotnym interesie wszystkich jest pomnażanie zasobów.

Takie ujęcie celów lewicy musi nasuwać różne problemy: czy strategia lewicy, nastawiona na obronę interesów słabszych grup społecznych, może polegać na przyjęciu zasady, że należy automatycznie popierać wszystkie roszczenia pracownicze? Czy zawsze trzeba przeszkadzać prawnicowemu rządowi? Czy trzeba kwestionować wszelkie postulaty środowisk biznesu? Czy tych, którzy osiągnęli wysoką pozycję materialną („oligarchów”), należy automatycznie traktować jako przeciwników? W rzeczy samej, przeciwnikami lewicy są głównie ci, którzy w obronie swych egoistycznie rozumianych przywilejów tworzą lub wspierają politykę, której rezultatem jest wykluczenie innych grup.

### Uwaga końcowa

Szkic niniejszy, co oczywiste, nie może pretendować do pełnego przedstawienia problemu. To zaledwie zarys sposobu myślenia o lewicy współczesnej. Nie zawiera natomiast żadnych stwierdzeń dotyczących politycznych

implikacji takiego sposobu myślenia – nie odpowiada na pytanie, jak w konkretnej sytuacji społeczno-politycznej idee lewicowe miałyby być realizowane.

Jest to osobna, bardzo trudna problematyka. Partie polityczne działające w określonych realiach muszą radzić sobie z różnymi dylematami, takimi jak: sprzeczne oczekiwania własnego elektoratu, konieczność zawierania politycznych porozumień z formacjami odległymi pod względem profilu ideowego, konieczność koordynacji interesów własnego elektoratu i interesów państwa jako całości. Wszystko to bardzo utrudnia prowadzenie polityki, która w sposób konsekwentny realizowałaby spójny projekt ideowy. Być może to właśnie sprawia, że wiele partii, i to zarówno lewicowych, jak i prawicowych, w praktyce nie realizuje w sposób „czysty” swego ideowego programu – znaczna bowiem część europejskich partii politycznych utrzymuje mniej lub bardziej „centrowy” kurs. Oczywiście, łączy się z tym niebezpieczeństwo utraty tożsamości ideowej.

W Polsce, jeśli chodzi o partie lewicowe, ta utrata tożsamości zaszła bardzo daleko. Dlatego lewica musi dążyć do lepszego określenia, czym naprawdę jest, do czego dąży i jak te dążenia będzie starała się realizować w polskich warunkach społecznych i politycznych.

# Dyskusja

## Leszek Gilejko:

Zgadam się z opinią, że podstawowym wyzwaniem, ale także znakiem tożsamościowym lewicowości, jest nadal sprawiedliwość społeczna, rozumiana zgodnie z zasadami egalitaryzmu jako synteza równości warunków i szans. Nic nie wskazuje na to, że ten problem przestał być aktualny. Było to zresztą centralne zagadnienie dla każdej prawdziwej lewicy – w okresie międzywojennym, zaraz po drugiej wojnie światowej, w 1980 czy po 1989 roku.

Jeżeli jednak mówimy o problemie sprawiedliwości społecznej, to rozmawiamy o ludziach znajdujących się w gorszej sytuacji: biednych, upośledzonych czy zagrożonych wykluczeniem. Nie są to jacyś Polacy w ogóle czy bliżej niezdefiniowana grupa społeczna. W przypadku naszego kraju tymi upośledzonymi są robotnicy. Obecnie jest to grupa nie tylko odrzucona, ale także porzucona – z punktu widzenia reprezentowania jej interesów – zarówno przez partie, jak i przez inne formacje działające w Polsce. Dotyczy to również związków zawodowych.

Kolejna sprawa to spis podstawowych kwestii społecznych w Polsce. Jest on wszystkim dobrze znany i wokół niego powinny się dokonywać działalność i budowanie programów lewicowych.

I jeszcze dwie kwestie.

Po pierwsze, istotnym zagadnieniem, które powinno znaleźć się w obszarze zainteresowania dzisiejszej lewicy, jest praca lub – mówiąc inaczej – środowisko pracownicze czy (jak kiedyś mówiono) „świat pracy”. Nasze społeczeństwo, mimo niskiego poziomu aktywizacji zawodowej, pozostaje społeczeństwem pracującym. Tak będzie też w przyszłości. Nie można zatem pozostawić środowiska pracy, czy ogólniej: stosunków pracy, jako obszaru, który ma być regulowany wyłącznie przez prawa rynku. Tymczasem dość powszechnie lansowane jest przekonanie, że tak właśnie powinno być. Więcej, przestraszono się, że w ogóle można wkraczać w sferę podlegającą rynkowym regułom. Lewica nie może uciekać od tego tematu.

Druga kwestia to szeroko rozumiany problem partycypacji, zarówno w obszarze ekonomicznym, jak i społecznym. W wyborach parlamentarnych w 2007 roku pojawiła się nowa istotna grupa społeczna: osoby młode, o wyższych kwalifikacjach, poszukujące swojej perspektywy. Tej grupie trzeba dać dobrą propozycję partycypacyjną. Bez tego trudno będzie mówić o stworzeniu nowego systemu demokratycznego w Polsce czy też o poradzeniu sobie z problemem deficytu demokracji. Współczesna wersja demokracji to demokracja partycypacyjna i obok sprawiedliwości społecznej stanowi ona największe wyzwanie, ale też szansę dla lewicy.

### Ryszard Bugaj:

Pozwolę sobie na powtórzenie retorycznego pytania: czy może istnieć lewica bez lewicowości? Ma ono zasadnicze znaczenie. W dyskusjach o lewicowości w Polsce dominuje brak rozróżnienia na to, czy mówi się o zespole idei, czy też o reprezentantach lewicy: podmiotach, instytucjach, aktorach sceny politycznej. Co więcej, nawet jeżeli ktoś zajmuje się przede wszystkim ideami – jak zrobił to Janusz Reykowski – to słabość lewicy wiąże z kryzysem Sojuszu Lewicy Demokratycznej. To dość konfundująca sytuacja. Nie możemy bowiem poważnie rozmawiać o lewicy w Polsce po 1989 roku bez przyjęcia na wstępie rozróżnienia, czy mówimy o ideach, czy o organizacjach lewicowych. Nie możemy także uciec od pytania, czy istnieje



– przy wszystkich niewątpliwie ważnych sporach o treść idei lewicowych – minimalna odpowiedniość między tymi dwiema sferami? Moim zdaniem tej odpowiedniości nie ma. Odwołam się do dość obrazowego porównania z czasów późnego PRL-u: związek między lewicą jako zespołem idei a lewicą jako zespołem organizacji jest podobny jak między czekoladą a wyrobami czekoladopodobnymi. Co gorsza, od 20 lat rozdział między obydwoma sferami raczej się pogłębia.

Wymienić można wiele zachowań organizacji deklaratywnie lewicowych, których – przy wszystkich sporach o to, czym jest dziś lewica – nie można za takowe uznać. Podam tylko jeden, skrajny przypadek: podatek liniowy ustanowiony przez rząd Leszka Millera dla grupy najbogatszych obywateli. Wcześniej Leszek Balcerowicz – *nota bene* byłem temu także przeciwny – chciał wprowadzić taki podatek dla wszystkich obywateli. Tymczasem rząd SLD wprowadził go jedynie dla wybrańców!

Dlatego też, kiedy słucham tych wszystkich wezwań o potrzebie lewicy – szczególnie w wydaniu Andrzeja Celińskiego – to zastanawiam się, czy w Polsce jesteśmy skazani jedynie na różne wersje wyrobów czekoladopodobnych, które dodatkowo – moim zdaniem – zawierają silną domieszkę składników toksycznych. W perspektywie najbliższych lat nie ma zatem żadnej znaczącej perspektywy na stworzenie wyrobu czekoladowego, tylko na rozmaite podróbki, obojętnie, czy ich produkcją będzie zajmował się Wojciech Olejniczak, Grzegorz Napieralski czy Andrzej Celiński (nie wspomnę już o pomysłach budowania lewicy z udziałem Bronisława Geremka czy Janusza Onyszkiewicza). Chociaż uważam, że jest potrzebna organizacja spełniająca funkcje lewicy, o których mówił Andrzej Mencwel, to uwarunkowania realnej sceny politycznej na najbliższy czas przekreślają nadzieję na powstanie takiej organizacji.

### Jacek Zychowicz:

Szczególnie trafne wydaje mi się sformułowanie Ryszarda Bugaja, że być może w Polsce mamy do czynienia z wyrobami czekoladopodobnymi,

czyli pewnymi symulakrami lewicy. Nie sposób, oczywiście, w kilku zdaniach powiedzieć, dlaczego w Polsce nie mogła powstać lewica, która nie reprezentowałaby jedynie warstw uprzywilejowanych, lecz na odwrót, która umieszczalaby nasz kraj w Europie, ale nie próbowałaby występować wobec niego z pozycji ambasadorów Europy i definiować Polski jako zaścianka. Lewica, która opowiadałaby się za wolnością, ale nie popadałaby w naiwne kopiowanie zdyskredytowanych czy przynajmniej zużytych koncepcji Nowej Lewicy na Zachodzie. Może nie było po temu warunków organizacyjnych czy medialnych. Może zabrakło ludzi – poza nielicznymi wyjątkami, jak Ryszard Bugaj – którzy mogli taką lewicę stworzyć. Warto się jednak zastanowić, czy wszystkie możliwości zostały już stracone. Czy może istnieć w Polsce lewica socjalna, patriotyczna (co nie znaczy nacjonalistyczna), opowiadająca się za ideami i wartościami?

#### **Nelli Rokita-Arnold:**

Czy w przypadku Polski po drugiej wojnie światowej w ogóle można mówić o istnieniu lewicy? I jeżeli Andrzej Celiński mówi o potrzebie zbudowania dziś lewicowej tożsamości, to do kogo ma się ona odwoływać? Ja nie widzę żadnej współczesnej lewicy w Polsce! Bo kogo można wymienić? Dla mnie reprezentantem lewicy jest Ryszard Bugaj, ale on nigdy nie doszedł do władzy. Był jeszcze Jacek Kuroń, ale on nigdy nie odniósł sukcesu. Kto zatem? I czym ten brak reprezentantów współczesnej lewicy można wytłumaczyć?

#### **Ewa Kulik-Bielińska:**

Andrzej Mencwel powiedział, że przede wszystkim potrzebny jest język lewicy. Wydaje mi się, że najpierw trzeba móc coś tym językiem powiedzieć. Niestety, mam poważne obawy, że nie ma pomysłu na system wartości lewicy, a co za tym idzie, na program i ofertę dla wyborców. Oczywiście, różne propozycje pojawiają się w publicystyce, chociażby propozycje Jacka

Żakowskiego, jednak nie stoi za tym żadna formacja. Na koniec, wracając do problemu języka, chciałabym się dowiedzieć, jak Pan Profesor rozumie dziś słowo „socjalizm”?

### Michał Syska:

Sądzę, że rozmawiając o obecnym kryzysie lewicy, powinniśmy się cofnąć do czasu formowania się sceny politycznej po 1989 roku. Zgadzam się z tezą Mirosławy Grabowskiej, postawioną w jej pracy *Podział postkomunistyczny*<sup>1</sup>, że ta scena została ukształtowana według podziału postkomunistycznego. W tym podziale Sojusz Lewicy Demokratycznej nie był lewicą, lecz nie-prawicą, a po drugiej stronie znalazła się nie-lewica. Dlatego też, dyskutując o kryzysie lewicy instytucjonalnej w Polsce, czyli w praktyce o SLD, mówimy o tym, że owa nie-prawica nie potrafi odnaleźć się w nowej sytuacji politycznej, kiedy to podział postkomunistyczny nie jest już najważniejszym z kształtujących naszą scenę polityczną. Sojusz Lewicy Demokratycznej nie umie przekształcić się z nie-prawicy, czyli naturalnego stanu w podziale postkomunistycznym, w lewicę odpowiednią do nowych warunków.

Kolejną przyczyną obecnego kryzysu jest to, że nie-prawica, czyli SLD, nie potrafi mobilizować grup społecznych, które nie są beneficjentami transformacji ustrojowej. Jednocześnie partie prawicowe zbudowały swój kapitał polityczny na retoryce antyelitarnej, dotąd właściwej lewicy. Prawo i Sprawiedliwość oparło swoją retorykę na walce z elitami. Natomiast Platforma Obywatelska powstawała pod hasłami antyestablishmentowymi.

Jaka zatem powinna być dziś lewica? Lewicą, a nie jedynie nie-prawicą. To podstawowa sprawa. Kolejną jest zdolność do mobilizacji elektoratu nieczującego się beneficjentem transformacji ustrojowej w Polsce. To dziś nie jest elektorat lewicy. Czy obecna lewica instytucjonalna, Sojusz Lewicy Demokratycznej oraz inne partie parlamentarnej lewicy, może przestać być nie-prawicą, a stać się lewicą, oraz czy zdoła zmobilizować wspomniani

---

<sup>1</sup> Mirosława Grabowska, *Podział postkomunistyczny. Społeczne podstawy polityki w Polsce po 1989 roku*, Warszawa 2004.

przed chwilą elektorat? Mam wątpliwości. Dla twórców lewicy postkomunistycznej w Polsce nazwanie siebie „lewicą” było w znacznej mierze kwestią przypadku. Interesująca jest lektura wywiadów z historycznymi przywódcami SLD. Oni mają problemy z umiejscowieniem swoich poglądów w tradycji lewicowej. Aleksander Kwaśniewski na pytanie o swój polityczny wzór wymieniał... Charles’a de Gaulle’a! Miał natomiast trudności z przywołaniem jakiegokolwiek przedstawiciela z nurtu socjaldemokratycznego. Z kolei członekowie rządu Leszka Millera w odpowiedzi na zadane przez socjologów z Uniwersytetu Warszawskiego pytanie: „dlaczego wstępowali do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej?” wskazywali raczej karierę, a nie kwestie aksjologiczne. W książce *Elity rządowe III RP 1997–2004*<sup>2</sup> autorzy publikowanych tam badań wnioskują, że założyciele postkomunistycznej socjaldemokracji byli raczej cynicznymi technokratami niż ideowymi ludźmi lewicy. Wątpię więc, aby ktoś pozbawiony poglądów z dnia na dzień stał się osobą o ugruntowanych przekonaniach lewicowych, które dodatkowo byłyby zakotwiczone w ponad stuletniej tradycji polskiego ruchu robotniczego.

Nie sądzę też, by lewica instytucjonalna mogła zmobilizować ludzi niebędących beneficjentami przemian. Dlaczego? Dlatego że jej reprezentanci z góry zakładają, że nie chcą walczyć o ten elektorat. Tak przynajmniej można sądzić na podstawie przedstawianych przez nich diagnoz sytuacji społeczno-ekonomicznej w Polsce. Dariusz Rosati czy Włodzimierz Cimoszewicz powtarzają jedynie opinię o wielkim wzroście ekonomicznym w kraju. Co więcej, Dariusz Rosati podczas jednej z rad krajowych Socjaldemokracji Polskiej stwierdził, że w Polsce nie ma tradycyjnego elektoratu lewicowego, ponieważ zostały rozwiązane wszystkie palące problemy społeczne. Z kolei Władysław Frasyniuk, pytany po wyborach parlamentarnych w 2007 roku na łamach „Gazety Wyborczej”<sup>3</sup> o to, czy Lewica i Demokraci będą próbowali stworzyć lewicową tożsamość, odpowiedział, że nie ma potrzeby tym się

<sup>2</sup> *Elity rządowe III RP 1997–2004. Portret socjologiczny*, red. Jacek Raciborski, Warszawa 2006.

<sup>3</sup> *PiS zabrał miejsce lewicy* [z Władysławem Frasyniukiem rozmawia Adam Leszczyński], „Gazeta Wyborcza”, 03–04.11.2007.

zajmować. Dlaczego? Gdyż – według Frasyniuka – nie ma szans na odebranie elektoratu socjalnego partii Jarostawa i Lecha Kaczyńskich. Mówił: nie wierzę, by ludzie z małych miasteczek i wsi oddali na nas swoje głosy. W tej sytuacji trudno liczyć na to, by lewica instytucjonalna mogła zakotwiczyć się w tradycji lewicowej oraz zaważczyć o elektorat, który powinien być naturalnym zapleczem dla takiej partii.

### Janusz Reykowski:

W naszej dyskusji padło wiele pesymistycznych uwag na temat perspektywy funkcjonowania instytucjonalnej lewicy. Wszakże dyskusja o politycznej reprezentacji lewicy nie może nie uwzględniać jej moralnej i ideologicznej kondycji. Otóż powinniśmy wziąć pod uwagę fakt, że historyczna klęska projektu lewicowego w tej formie, jaką był PRL, doprowadziła do hegemonii formacji prawicowej. To ona zapanowała nad dyskursem publicznym po 1989 roku, narzucała język i sposób opisu rzeczywistości. Przejęły go także osoby, które nominalnie w większości określały się jako lewica. Nie można również zapominać o zmianach w świecie, które sprawiły, że lewica straciła swoją busolę. Trudno dziś odpowiedzieć na pytanie, czym jest lewica w XXI wieku. Przecież nie może ona postępować tak samo, jak postępowała lewica na początku XX wieku. W naszym przypadku znaczy to, że nie da się po prostu wrócić do tradycji PPS-u. Tak więc obecnie dla lewicy fundamentalne jest pytanie o jej tożsamość, o to, czym ona jest dzisiaj. Wtórą kwestią są struktury organizacyjne.

Michał Syska martwi się, że lewica nie jest zdolna do zmobilizowania elektoratu wykluczonych czy upośledzonych w trakcie transformacji. Powstaje jednak zasadne pytanie: po co ta formacja miałaby taki elektorat mobilizować? Niemała część tego elektoratu została już zmobilizowana przez Prawo i Sprawiedliwość do celów innych niż lewicowe. Wszakże pytanie o sposób mobilizacji elektoratu jest wtórne w stosunku do innego: jaki ma być cel takiego działania, a więc jaka ma być lewicowa polityka i w jaki sposób ma być realizowana? Dlatego odłożyłbym na bok spór o to,

czy obecna instytucjonalna reprezentacja lewicy jest w stanie mobilizować konkretny elektorat. Za fundamentalne uważałbym raczej pytanie: jeśli lewica miałaby walczyć o władzę, a potem ją zdobyć, to co miałaby z nią zrobić, jak inaczej miałaby rządzić społeczeństwo? W tym kontekście pojawia się problem języka lewicy.

Zgadzam się z Andrzejem Mencwelem, że bardzo ważne jest odtworzenie tego języka, bo przez ostatnie dwie dekady był on prawie nieobecny. Dzisiaj elementy języka lewicowego pojawiają w nielicznych tekstach, na przykład Jacka Żakowskiego. Jednak mam wątpliwości, czy odtwarzanie tego języka ma polegać na przywoływaniu pojęć, których treść stała się bardzo nieokreślona. Jednym z nich jest pojęcie „sprawiedliwości społecznej”. Ono dobrze brzmi, ma za sobą wielką tradycję oraz określone funkcje mobilizacyjne. Ale jak można je dzisiaj zdefiniować? Nim zaczniemy używać tego pojęcia (i podobnych), musimy jasno powiedzieć, co może ono teraz znaczyć. Unikajmy słów, które mają wprawdzie lewicową proveniencję, ale nie zawierają wyraźnych, odpowiednich do współczesnych czasów, lewicowych treści.

### Andrzej Mencwel:

Inaczej niż Janusz Reykowski nie boję się problemu sprawiedliwości społecznej. Więcej, nie można wyobrazić sobie lewicowego myślenia, które porzuciłoby ten problem. Oczywiście, nie można po prostu przywrócić haseł sprzed 100, 80 czy 50 lat. Trzeba je na nowo zdefiniować, a nie jestem w stanie *ad hoc* tego zrobić. Ale zapytałbym, co profesor Reykowski i inni reprezentanci instytucjonalnej lewicy robiliście przez ostatnie 20 lat? Gdzie są Wasze redefinicje? Problem sprawiedliwości społecznej musi pozostawać w centrum lewicowego myślenia, przy zachowaniu świadomości całego historycznego bagażu, jakim to pojęcie jest obciążone. Przy czym należy pamiętać, że niczego tak zwyczajnie nie przejmujemy się z przeszłości, ale też nie ma przyszłości ten, kto odcina się od własnej tradycji. W przeciwnym

przypadku pozostaje jedynie pustka. Ona właśnie zagraża lewicowej formacji, jeżeli już w tej pustce się nie pogrążyła.

Ewa Kulik-Bielińska poprosiła, żebym powiedział, co rozumiem dziś pod hasłem „socjalizm”. To wymagałoby wielogodzinnej dyskusji. Oczywiście – ma Pani rację – nie chodzi o sam język czy rodzaj retoryki. Powtórzę jednak, że nie wyobrażam sobie lewicy, która nie używa słowa „socjalizm”. A gdyby taka lewica powstała, to bez tego hasła nie byłaby w stanie zogniskować emocji i postaw społecznych. Oczywiście, to hasło trzeba na nowo określić.

Na koniec powiem jeszcze jedno. Nie podzielam pesymizmu Ryszarda Bugaja. Nie sądzę, aby najbliższe wybory parlamentarne przyniosły jakąś zmianę dla lewicy. Zapewne będziemy musieli czekać o wiele dłużej. To nie oznacza, że nie ma żadnych szans na budowę autentycznej formacji lewicowej w Polsce.

### Andrzej Celiński:

Mnie także zastanawia pesymizm dominujący w naszej dyskusji. Jeżeli Polska chce stać się normalnym krajem, to muszą istnieć alternatywy polityczne. Oczywiście, grubo ciosany podział: lewica *versus* prawica utrudnia rozmowę. Należałoby mówić raczej: neoliberalizm – socjaldemokratyzm. Jednak to również zbyt szerokie zakresy pojęciowe. Można przecież wskazać wiele linii podziału także po prawej stronie.

Uważam ponadto za sztuczny podział: reprezentacja interesów czy idee lewicowe. Zasadniczym problemem ostatnich 4–5 lat – pokazują to kolejne badania opinii publicznej – jest istnienie grupy 20–25 procent wyborców, którzy nie chcą oddać swoich głosów na partie istniejące po prawej stronie naszej sceny politycznej, ale też nie popierają partii określających się jako lewicowe. Brakuje bowiem wiarygodnej propozycji dla lewicowego – cokolwiek by to słowo oznaczało – wyborcy, a jest to przecież znaczny elektorat.

A co robią dziś politycy? Używają jedynie rozmaitych wytrychów do prowadzenia bieżącej polityki – wdepują na przykład w ziemię ideę „okrągłego stołu”, a wynoszą pod niebiosa powstanie warszawskie, lub pragną wsadzać do więzienia Wojciecha Jaruzelskiego, czcząc jednocześnie Józefa Piłsudskiego i zapominając o 400 osobach, które zginęły podczas zamachu majowego w 1926 roku – zamiast starać się wyposażać jak najliczniejszych obywateli w intelektualne instrumentarium radzenia sobie z przyszłością.

Co więcej, nawet wśród osób o przekonaniach liberalnych czy lewicowych dostrzegam satysfakcję, że w wymiarze politycznym nie ma dziś w Polsce lewicy. To nieważne, że za chwilę Polacy będą szorowali zębami po bruku. Nie jest bowiem normalny układ społeczny, w którym znaczna część osób nie znajduje politycznej reprezentacji. Można oczywiście cieszyć się, jak robi to Ryszard Bugaj, że nie powiodły się dotychczasowe próby zbudowania lewicowej alternatywy. Ale jej stworzenie, cokolwiek myślelibyśmy o sobie i o naszych biografiiach – to nasz wspólny problem.

Ostatnia kwestia. Sojusz Lewicy Demokratycznej, wygrywając wybory w 2001 roku, był partią najlepiej po 1989 roku przygotowaną do sprawowania władzy: zarówno jeżeli chodzi o tożsamość ideową, jak i o papiery programowe. Jednak szybko okazało się, że czym innym są programy, a czym innym realne interesy aparatu partyjnego. Ten problem dotyczy jednak nie tylko lewicy, ale wszystkich partii w Polsce. Dlatego też niezbędna jest skuteczna sanacja państwa, w tym pełna prywatyzacja – co mówię jako człowiek lewicy. W inny sposób nie uda się oddzielić partii od państwa i pozbawić partii okazji do realizowania partykularnych interesów kosztem społeczeństwa.

### Jacek Żakowski:

Jeżeli patrzy się jedynie na scenę polityczną, to sytuacja sprawia wrażenie beznadziejnej. Nie zapominajmy jednak, że następuje wymiana generacyjna. W miejsce grupy dominującej dziś na scenie politycznej, wychowanej w PRL-u i obciążonej wszystkimi wynikającymi z tego obciążeniami, za-



czyna wchodzić nowa, która dorastała w Europie (w perspektywie dekady powinna zająć znaczące miejsce). Dla tej nowej generacji myślenie w kategoriach lewicowych jest czymś naturalnym. Oni uczyli się lewicowości nie z krótkiego kursu towarzysza Edwarda Gierka, lecz ze światowego obiegu myśli. To jest generacja, która zasypuje podziały, nie tylko na post- i antykomunistów, ale też na świat postkomunistyczny i ten normalny. Nie mamy zatem nadziei, że zawodowym aparaczkom uda się wszczepić ideowość. Selekcja do tej grupy odbywała się na innych zasadach. Owszem, ci starzy działacze mogą próbować uczyć się lewicowości i jej wartości, ale nie będzie to łatwy proces.

Kolejny problem to język lewicy. Powtarza się postulat, by się go nauczyć. To prawda. Potrzebujemy lewicowego języka, bo bez niego trudno – jak bez każdego języka – myśleć. Jednak nie można zapominać, że język wyraża świadomość, a ona – zwłaszcza w przypadku języka politycznego – musi być wobec niego pierwotna. Trzeba sobie zdać sprawę, jak świat wygląda, a potem zacząć go nazywać.

Dlatego bałbym się proponowanego przez Andrzeja Mencwela powrotu do kategorii starej lewicy, na przykład do przywoływanej tu kategorii „sprawiedliwość społeczna”, bo została ona przejęta przez inny obóz polityczny. Dziś to kategoria liberalna. Zwróćmy uwagę chociażby na sposób krytyki podatku progresywnego. Okazuje się, że według liberałów jest on... niesprawiedliwy społecznie. Istnieją bardziej użyteczne operacyjnie nowoczesne terminy, którymi możemy się posługiwać, chociażby „spójność społeczna”. Nie odwołują się one do abstrakcyjnych założeń, tylko pokazują stan społeczeństwa, to, jak niszczycielskie bywają jedne modele społeczne czy polityczne, a jak inne są pożyteczne. Sądzę, że podstawowym wyzwaniem jest właśnie szukanie nowych narzędzi. Nowa lewica, młode pokolenie, w znacznej mierze otrzymuje te narzędzia od wolnego świata.



**Jaka prawica jest Polsce potrzebna?**



# Robert Krasowski

## Dwie formuły polskiej prawicowości

Ruchem, który nadałby właściwą dynamikę i kształt prawicowej polityce, byłby powrót do korzeni. Mam na myśli dwie istotne formuły prawicowości z początku naszych przemian, które nazwałbym roboczo „żoliborskim konserwatyzmem” i „gdańskim liberalizmem”. Pierwszy był podstawą tożsamości Jarosława Kaczyńskiego oraz środowiska, które później tworzyło Prawo i Sprawiedliwość. Drugi ukształtował Donalda Tuska.

Obie te tożsamości zostały zepchnięte – wskutek niepowodzeń poniesionych w latach 90. – na daleki margines, a przyczyną klęsk poniesionych w tamtych latach był przede wszystkim brak „popytu” społecznego. Program – zarówno żoliborskiego konserwatyzmu, jak i gdańskiego liberalizmu – nie znajdował poparcia wśród Polaków.

Prawo i Sprawiedliwość bywa dziś opisywane jako formacja radykalna. Jeżeli jednak cofniemy się do przełomu lat 80. i 90., to poprzednia partia Jarosława Kaczyńskiego, czyli Porozumienie Centrum, reprezentowała bardzo umiarkowaną prawicę. Był oczywiście jeden wyjątek w jej programie: antykomunizm. Więcej, PC, w swej istocie konserwatywne, budowało prawicowość w kontrze wobec prawicy narodowej, klerykalnej i antyinteligentycznej. Przypomnę, że Jarosław Kaczyński potrafił wtedy powiedzieć, że Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe jest najkrótszą drogą do dechrystianizacji Polski!

W tym czasie politycy PC bardzo wyraźnie odcinali się od skrajnego nurtu prawicy, od haseł antysemitycznych i przesadnie narodowych. Jarosław Kaczyński myślał nawet o tym, aby budować swoją partię w oparciu o inteligencję – nielewicowy nurt liderów opinii w opozycji demokratycznej. To się nie udało, gdyż podczas tak zwanej „wojny na górze” inteligencja wybrała obóz Tadeusza Mazowieckiego. Warto jednak pamiętać o ówczesnym sposobie myślenia Jarosława Kaczyńskiego.

Dlaczego zatem on i cała jego formacja ewoluują? Nie mogli znaleźć wyznawców dla formuły dosyć „miękkiej” prawicowości, w tej sytuacji Porozumienie Centrum próbowało ratować się – ze zmiennym powodzeniem – innymi hasłami, na przykład twardszej polityki karnej. Jednak generalnie dla tej formacji lata 90. były bardzo nieudane.

W połowie lat 90. przeprowadzono na zlecenie Porozumienia Centrum badanie opinii publicznej. Wynikało z niego, że zbiór poglądów, który można nazwać „żoliborskim konserwatyzmem”, nie jest podzielany przez ewentualnych wyborców, dlatego ich obóz okazał się zbiorem pustym. Jarosław Kaczyński mawiał nawet, że są w Polsce dwie osoby podzielające taki program: on i Ludwik Dorn. Doszło zatem do politycznej konwersji Jarosława Kaczyńskiego i jego otoczenia, powstała idea skonstruowania formacji, która szeroko zbierałaby całą prawicę. Zmieścić w niej miało się wszystko, co mieściło się „na prawo” od dawnej tożsamości PC. Taką partią jest Prawo i Sprawiedliwość.

Dokonany wówczas wybór tłumaczy późniejsze decyzje: budowanie koalicji z Ligą Polskich Rodzin Romana Giertycha i sojusz z ks. Tadeuszem Rydzykiem. Jednak nie oznaczało to zmiany wewnętrznej tożsamości liderów PiS-u, lecz przede wszystkim łapanie koniunktury, przy czym podążanie za kolejnymi nadarzającymi się okazjami w pewnym momencie okazało się błędem.

Trudno dokładnie określić ten czas, ale dwa–trzy lata temu w polskim społeczeństwie doszło do gwałtownej rewolucji. Jego centrum stało się konserwatywne, nie zaś lewicowe czy liberalne. Jarosław Kaczyński ten moment przegapił i tym samym chyba stracił szansę, aby, zachowując swą

pierwotną, bardziej miękką formę prawicowości, utrzymać się na scenie politycznej.

Jeżeli zastanawiać się nad obecnymi wyzwaniami, przed którymi stoi prawica, to bardzo ważne jest odbudowanie formuły „miękkiej” prawicowości, ale też powrót do odwagi, którą posiadali dawniej liderzy Prawa i Sprawiedliwości: nazywania granic po prawej stronie sceny politycznej. Taką odwagę miał Jarosław Kaczyński podczas sporu o aborcję wiosną 2007 roku, kiedy powiedział stanowcze „nie” Markowi Jurkowi.

Później tej odwagi już mu zabrakło. Jego stanowisko było niejednoznaczne, kluczył, ostatecznie zaś ponownie związał się z formacją ks. Tadeusza Rydzyka. Większą stanowczość w wyznaczaniu granic po prawej stronie zachowali jedynie Lech Kaczyński i jego żona. Kilka razy wyraźnie zabrali głos w sporach obyczajowych. To jednak za mało. Sądzę, że polską prawicę uzdrowiłoby odcięcie się od Romana Giertycha i od ks. Rydzyka oraz wyznaczenie wyraźnej granicy na prawej stronie sceny politycznej.

Kolejną sprawą ważną dla polskiej prawicy jest skupienie się na sposobie myślenia, który dziś zdaje się ideą naczelną Prawa i Sprawiedliwości. Mam na myśli realizm polityczny, opierający się na pojęciu lokalności. Według tego poglądu jedyną sensowną i skuteczną polityką może być polityka polska, czyli bardzo silnie odwołująca się do lokalnego kontekstu. Wiąże się z tym głęboka, wręcz ontologiczna nieufność liderów PiS-u do możliwości motywowania całych społeczeństw ideami uniwersalnymi. Wedle tego przekonania stabilną demokrację, a co za tym idzie – także stabilną politykę można budować jedynie wtedy, gdy pokazuje się obywatelom lokalny konkret. Sądzę zresztą, że wrażliwość PiS-u nie jest tak bardzo tradycyjna, jak to się wielu osobom wydaje. Lub, mówiąc inaczej, jest to tradycjonalizm sztuczny, trochę wyuczony. Wszystkie działania Jarosława i Lecha Kaczyńskich – sięganie po symbolikę państwową, nawiązywanie do przeszłości, przemyślana polityka rozdawania orderów – to definiowanie polityki realnej jako polityki skupionej na lokalności.

Nie chcę oczywiście twierdzić, że ten sposób patrzenia na politykę jest jedynym sensownym. Jednak dla prawicy dzisiaj ta formuła myślenia jest

wartością. Gdyby jeszcze została ona zdefiniowana w bardziej „salonowy”, a nie „wiewcowy” sposób, to udałoby się nadać bardzo pożądany kształt prawej flance prawicy.

Oczywiście, przyjęcie modelu polityki lokalnej niesie ze sobą różne konsekwencje. Wiąże się z tym pojmowanie polityki zagranicznej jako obszaru starcia egoizmów narodowych. Prawo i Sprawiedliwość wykazało się bardzo racjonalną intuicją. Dziś w Unii Europejskiej mamy do czynienia raczej z dominacją lokalnych interesów narodowych, z dosyć twardą dyplomacją takich państw, jak Francja czy Niemcy, niż z przejściem do myślenia wspólnotowego.

Sposób myślenia o polskiej polityce zagranicznej jako grze interesów narodowych pojawiał się wcześniej i wśród przedstawicieli różnych opcji politycznych. Był on obecny w polityce prowadzonej przez Włodzimierza Cimoszewicza jako ministra spraw zagranicznych. Można go było odnaleźć w niektórych działaniach Leszka Millera jako premiera. Ten sposób myślenia wyrażały hasła Jana Rokity, a chyba najinteligentniej został sformułowany w praktyce, ale też i w ideach przez Jacka Saryusz-Wolskiego.

Jeśli Prawo i Sprawiedliwość zdołałoby przekonująco sformułować swój program polityki zagranicznej, opartej na sceptycznym podejściu do tezy o śmierci narodowych egoizmów i umiejętnym nazywaniu naszego narodowego interesu oraz demaskowaniu gry narodowych interesów w przypadku naszych europejskich sąsiadów, to nadałoby polskiej prawicy bardzo ciekawy kształt. Konieczne byłoby wprowadzenie jeszcze jednej korekty: PiS musiałby zająć pozycję proeuropejską. Wróć raz jeszcze do czasów istnienia Porozumienia Centrum. Było to ugrupowanie zdecydowanie opowiadające się za Europą. Wraz z niebezpiecznymi „romansami” jego przywódców z Romanem Giertychem i ks. Tadeuszem Rydzykiem ta proeuropejskość zaczęła ginąć, podobnie jak intelektualna szlachetność tej formacji. PiS przestał realizować chłodną koncepcję polityczną. Jej miejsce zajęła strategia nieustannego rzucania „kietbasy” wyborczej. Głównym celem tej partii stało się zdobywanie poklasku.



Druga formuła prawicowości wiąże się z Platformą Obywatelską. Jarosław Kaczyński, chcąc odnieść sukces polityczny, coraz dalej odchodził od swojego żoliborskiego konserwatyizmu, porzucał swoją tożsamość. Podobnie Donald Tusk coraz bardziej odrywał się od gdańskiego liberalizmu, musiał bowiem reagować na rzeczywistość. Pamiętajmy, że liberalizm zostaje bardzo szybko przez społeczeństwo potępiony. Kongres Liberalno-Demokratyczny w roku 1993 roku nie wchodzi do parlamentu. W następnym roku łączy się z Unią Demokratyczną, dawni członkowie KLD ponownie trafiają do Sejmu, jednak przez cały czas Donald Tusk ma poczucie, że przegrywa. W Unii Wolności osoby wyznające idee liberalne są w mniejszości, zostają przesunięte na margines.

W 2001 roku powstaje Platforma Obywatelska. Ale zmienia się sam Donald Tusk. Wycofuje się z dwóch ważnych elementów gdańskiego liberalizmu: swobody obyczajowej i wolności w sferze ekonomicznej. W pierwszym przypadku przechodzi konwersję, podobnie jak wielu innych liberałów, staje się bardziej konserwatywny, jednak jest to konserwatyizm w znacznej części wyuczony, ale też wymuszony ciosami, jakie otrzymywał ze strony Kościoła katolickiego.

W przypadku idei wolności gospodarczej rezygnacja została jeszcze brutalniej wymuszona. Liberałowie autentycznie byli zafascynowani Zachodem: nie szukali tam sposobu na uleczenie wad polskiej duszy, dla nich Zachód był sferą dobrobytu, wartością samą w sobie.

Dziesięć lat obecności w polityce uczy Donalda Tuska, że miłość do Zachodu jest zawsze w Polsce czymś podejrzanym. Więcej, jest nawet tępiona. Popatrzmy na figurę Leszka Balcerowicza, najbardziej ikoniczną dla idei wolności gospodarczej w Polsce. On przegrywa ze wszystkimi: z SLD, z prawicą, w zmaganiach z falami populizmu. Przegrywa w sporach z inteligencją, obojętnie, czy lewicową, czy prawicową.

Wszystkie te doświadczenia są bardzo ważne dla Tuska. Platforma Obywatelska z czasem coraz wyraźniej odcina się od źródeł liberalnych, a nawet przekracza linię wyznaczaną przez słynny esej Leszka Kołakowskiego. Dziś jest już partią liberalno-konserwatywnego socjalizmu, lecz liberalno-

-konserwatywnego populizmu. Donald Tusk prywatnie powiedział nawet o swojej formacji, że ma ona w sobie coś z ducha gazet bulwarowych: poważne gazety czytelnika do czegoś wciąż namawiają, bulwarowe czytelnikowi służą. Na liderach Platformy gigantyczne wrażenie zrobił sukces gazety „Fakt”. Uznali, że formuła „do usług” jest najlepszą ofertą dla społeczeństwa, zatem Platforma Obywatelska stała się partią „miękkiego populizmu”, ale jest to populizm szczególny.

Moim zdaniem, dużym sukcesem naszej prawicy było wypracowanie takiej formuły populizmu. Podstawowy spór, jaki wiodły ze sobą środowiska „solidarnościowej” lewicy i prawicy w latach 90., dotyczył kwestii zaufania do społeczeństwa. Osiągnięciem naszej prawicy jest pokazanie, że rządzący mogą być biernymi reprezentantami woli większości, a jednocześnie dowiedzenie, iż ta wola nie jest groźna i nie musi być powodem lęków (nie ma zatem przesłanki, by moderować czy przekształcać wolę większości).

Kształt ideowy, jaki nadała Platforma, okazał się bardzo dobry dla lewej flanki polskiej prawicy. Można go nazwać „konserwatyzmem dyskretnym”, bardzo irytującym lewicę, bo jest to próba funkcjonowania według konserwatywnych wskazań, bez określania siebie mianem „konserwatystów”. Jest to także próba wyciszenia sporów ideowych, by móc konserwować to, co zostało osiągnięte. Platforma Obywatelska jest świadoma, że w Polsce zaszła rewolucja konserwatywna i dlatego konserwatyści powinni bronić obecnego stanu rzeczy. Niepotrzebne są bójki z przeciwnikami, trzeba natomiast podjąć próbę pogłębienia poziomu konserwatyzmu. Pozycja przyjęta przez Platformę jest dobra dla polskiej prawicy, ale też mordercza dla polskiej lewicy, która nie ma punktu zaczepienia.

Pozostaje jednak jeden problem. Realnym defektem Platformy jest zarzucenie impetu modernizacyjnego. Dla Prawa i Sprawiedliwości podstawowe stało się przekonanie o konieczności osadzenia polityki w lokalności. Dawni liberatowie mieli poczucie, że gospodarka nie rozwija się sama. Politycy muszą zapanować nad jej rozwojem, ponieważ sukces w tej sferze jest warunkiem jakiegokolwiek udanej polityki. Osiągnięcie stabilności społecznej staje się możliwe jedynie dzięki dobrobytowi, a warunkiem

udanej polityki państwowej, także w wymiarze międzynarodowym, jest silna gospodarka.

Jednak obie partie popełniły duży błąd: Prawo i Sprawiedliwość przeczyło rewolucję konserwatywną, natomiast Platforma Obywatelska przeczyła rewolucję liberalną. Dziś budzimy się w społeczeństwie, które ma duże aspiracje cywilizacyjne i silny głód dobrobytu, jest społeczeństwem gotowym pójść za prawicą, która wskaże cele materialne.

Jaka jest zatem sytuacja prawicy w Polsce? Znajdujemy się w bardzo dobrej sytuacji, konieczne są jednak pewne korekty. Prawo i Sprawiedliwość pilnuje, aby polityka nie wybiegła za bardzo do przodu i nie zostawiła za sobą społeczeństwa, natomiast Platforma Obywatelska pamięta, że celem polityki jest popychanie społeczeństwa ku czemuś i nadawanie impetu państwu.



## Marek A. Cichocki

# Prawica, sfera polityczności i złudzenia

Dzisiaj największym niebezpieczeństwem dla polskiej prawicy jest jej samozadowolenie. Wynika ono zapewne z poczucia bezpieczeństwa, jakie zapewnia obecny system partyjno-finansowy. Jednak to tylko złudne wyobrażenie.

Można bez wątplenia powiedzieć, że dzisiaj w Polsce znajdujemy się w fazie „prawicowej dominacji” w życiu publicznym. Czas ten zbiegł się z dwoma ważnymi wydarzeniami. Pierwsze to koniec zjawiska, które można określić mianem „kwaśniewszczyzny”, czyli systemu polityczno-kulturalno-obyczajowego uosabianego przez byłego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Drugie to wejście Polski do Unii Europejskiej. Punktem kulminacyjnym tego czasu zmiany okazał się rok 2005. Wtedy to nie udało się połączenie dwóch ważnych tradycji polskiej prawicy: żoliborskiego konserwatyzmu i gdańskiego liberalizmu, czyli nie doszło do zawiązania koalicji Prawa i Sprawiedliwości oraz Platformy Obywatelskiej.

Obecnie znajdujemy się w odmiennej sytuacji. Największym zagrożeniem dla polskiej prawicowości – o czym już wspomniałem – jest poczucie samozadowolenia, osiągniętego dzięki bezpieczeństwu systemu partyjnego. Towarzyszy mu przekonanie, że ten system można „domknąć” w sposób trwały i ostateczny, co przez następne kilkanaście lat pozwoli na trwanie obecnych partii utożsamianych z prawicą, bez konieczności czynienia jakichś politycznych wysiłków. Temu samozadowoleniu sprzyjają także rozsyпка

lewej strony polskiej sceny politycznej oraz niezdolność do sformułowania alternatywy ze strony dawnych liberatów.

Co więcej, moim zdaniem najpoważniejszym problemem obecnego systemu jest jego dysfunkcjonalność. Jeżeli bowiem zestawimy realne wyzwania i decyzje konieczne do podjęcia w polityce wewnętrznej oraz zagranicznej z możliwościami stwarzanymi przez obecny układ partyjny, to pozycja zatytułowana „niewykorzystane szanse, zmarnowane możliwości” będzie dominująca. Znaleźliśmy się w trudnej sytuacji. Układ prawicowy jest stabilny, ale jednocześnie dysfunkcjonalny z punktu widzenia politycznych potrzeb kraju. Stąd możliwe są dwa scenariusze: albo układ ten zdoła się zreformować, przekształcić wewnętrznie, co wymagałoby przekroczenia barier psychologicznych liderów obu ugrupowań, albo sam system rozsypie się pod wpływem jakiegoś poważnego kryzysu politycznego, chociażby spadku koniunktury gospodarczej.

W dzisiejszej Polsce lewica, szczególnie młoda, wierzy, że zakładane cele można osiągnąć poprzez dokonanie rewolucji w kulturze (moim zdaniem w polskich warunkach to się nie uda). Liberatowie wierni założeniom gdańskiego liberalizmu (w odróżnieniu od ekipy obecnie rządzącej) nie potrafią wyzwolić się od ekonomicznego opisywania rzeczywistości. Zatem dla prawicy naturalnym obszarem działalności powinna być sfera polityczna, nie zaś inne, jak na przykład obyczajowa. Z tego punktu widzenia rozejście się Jarosława Kaczyńskiego i Marka Jurka było koniecznością. O słuszności tego wyboru może przekonywać los, który stał się udziałem tego drugiego polityka, jak i innych jemu bliskich, na przykład Artura Zawiszy.

Polska prawica musi obszarem swojego zasadniczego działania uczynić polityczność, czyli sferę, która według nowej lewicy i liberatów nie istnieje (zakładają oni, że żyjemy w czasach postpolitycznych, trudno więc mówić o polityce). Działanie w tym obszarze oznacza podjęcie wysiłku zrekonstruowania państwa jako struktury politycznej, zdolnej do funkcjonowania w systemie europejskim, potrafiącej uniknąć przyjmowania roli usługowo-peryferijnej, lecz jednocześnie umiejącej programować własną drogę

modernizacji lub przynajmniej korygować procesy modernizacyjne, przychodzące do nas z zewnątrz. Zakłada także zbudowanie struktury politycznej, umożliwiającej twórcze wykorzystanie indywidualnej energii i przedsiębiorczości ludzi oraz ułatwiającej przewidywanie zagrożeń, mogących mieć charakter egzystencjalny w sensie politycznym lub gospodarczym, jak problem demograficzny czy kwestia źródeł energii. Zatem dla prawicy podstawowym punktem odniesienia powinna być wolność polityczna jako źródło modernizacji oraz moc samostanowienia siebie w nowoczesnym świecie.

Zarysowany przeze mnie program może realizować jedynie prawica przekształcona wewnętrznie i potrafiąca zerwać z obecnym, dysfunkcyjnym systemem partyjnym. Platforma Obywatelska musi wyzbyć się negatywnej strony swojego minimalistycznego konserwatyzmu, czyli odmowy podejmowania decyzji w kluczowych sprawach. Natomiast Prawo i Sprawiedliwość musi zrezygnować z destrukcyjnej strategii, stosowanej, niestety, przez obu liderów tej partii – Jarosława Kaczyńskiego i Lecha Kaczyńskiego – czyli używania bardzo silnej retoryki, wywołującej różnego rodzaju reakcje zewnętrzne i koncentrującej uwagę, także niezycliwych Polsce podmiotów politycznych, na naszym kraju, przy jednoczesnym braku konkretnych działań politycznych. Takie zachowanie można porównać do walenia w bęben przed czarnym, straszliwym lasem, by wyzwąć wszystkie najgorsze duchy zamieszkujące jego odmęty, przy braku przygotowania na moment, kiedy te duchy wreszcie na nasze wezwanie odpowiedzą i wyjdą z lasu.

Czas „cywilizowania” polskiej prawicy się skończył. Do odległej przeszłości należą lata 90., kiedy to główną troską wszystkich było nadanie naszej prawicy europejskiej, przyjaznej i przyjemnej twarzy oraz uniknięcie niebezpieczeństw, wynikających z „potwornej, endeckiej natury Polaka–katolika”. Ta postać prawicy nie potrzebuje żadnych „brygad Marriotta”, przyjaciół z Zachodu, którzy powiedzą jej, jak się powinna zachowywać, przypominających, że musi zatroskać się o los traktatu lizbońskiego, myśleć o segregacji śmieci oraz poważnie debatować

o efekcie cieplarnianym. Tych wszystkich „dobrych rad” polska prawica nie potrzebuje. Musi natomiast politycznie skonsumować wyjątkową dla siebie sytuację zdobycia realnej przewagi w świecie polityki oraz skorzystać z instrumentów, które leżą na ziemi. Wystarczy się schylić i je podnieść. To niewiele. Trzeba tylko na chwilę otrząsnąć się ze stanu błęgiego samozadowolenia.



## Ludwik Dorn

# Rzeczy zbyt długo myślane...

*Things thought too long can be no longer thought.*  
William Butler Yeats

**W** połowie lat 90. odbywały się liczne narady, konferencje, seminaria poświęcone prawicy, która w tym czasie znajdowała się w stanie całkowitego rozpadu. Dzisiaj ponownie zaczynamy na ten temat rozmawiać. Przypominają mi się słowa irlandzkiego poety: „Rzeczy zbyt długo myślane myśleć się dłużej nie dadzą”.

Ponownie wracamy do debaty o modelu prawicy potrzebnej Polsce. Jednak mam poczucie, że trudno udzielić odpowiedzi na tak postawione pytanie (podobnie jak na inne: jaka lewica czy jakie liberalne centrum są Polsce potrzebne?). Przecież mamy już jakąś określoną prawicę, jakąś określoną lewicę i – tu można mieć wątpliwości, czy rzeczywiście je mamy – jakieś określone liberalne centrum.

Refleksja polityczna musi odnosić się do rzeczywistości, czyli musi obejmować takie formacje, w tym prawicowe, jakie istnieją, z takimi członkami partii i ich kierownictw, jacy są, zaś pierwotnymi i najważniejszymi (choć nie wyłącznymi) przestankami decyzji podejmowanych przez polityków są determinanty i konieczności, a nie projekty polityczne. Zawsze należy mieć w pamięci trafną uwagę kardynała Retza (najwybitniejszego przywódcy „starej Frondy”), że trudniej jest być dobrym szefem stronnictwa politycznego niż

dobrym cesarzem wszechświata, a to z tego względu, że najgroźniejszymi przeciwnikami celów politycznych, jakie stawia przed sobą stronnictwo, nie są jego przeciwnicy, ale zwolennicy. W połowie lat 90. na podstawie wyników różnych badań przygotowałem analizę dotyczącą liczby osób, które zgadzają się z poglądami tak ideowymi, jak i politycznymi prezentowanymi przez kierownictwo partii Porozumienie Centrum. Okazało się, że jest to zbiór pusty. Przedstawiłem to opracowanie Jarosławowi Kaczyńskiemu. Stanęliśmy przed bardzo realnym wyborem, czy chcemy pozostać w gronie stu kilkudziesięciu osób, czyli pozostać partią, którą można pomylić z większym seminarium, i zajmować się kreowaniem kolejnych projektów politycznych, czy też walczyć o powrót do realnej polityki. Wybraliśmy drugą opcję. Musieliśmy poczekać na swoją szansę, a kiedy się pojawiła, to ją wykorzystaliśmy.

Posiadając to doświadczenie, z nieufnością podchodzę do różnego rodzaju dobrych rad kierowanych do polityków. Nie twierdzą, że zawsze są one pozbawione jakichkolwiek realnych podstaw. Odnoszą się jednak tylko do fragmentu obszaru czy zbioru przesłanek, na podstawie których podejmuje się decyzje.

Polska lewica dziś znajduje się w kryzysie. Uważam, że kryzys – może nie aż tak dotkliwy – czeka w perspektywie trzech–pięciu lat także polską prawicę. Powód jest jeden: żadna z naszych partii, z wyjątkiem Polskiego Stronnictwa Ludowego (ten wzór trudno powielić), nie rozwiązała problemu kryzysu sukcesyjnego. Przyczyny, dla których PSL-owi udało się rozwiązać – wszystko wskazuje na to, że w sposób trwały – problem kryzysu sukcesyjnego i rotacji ekip kierowniczych, warte są odrębnego studium politycznego. Oprócz przyczyn historycznych i wewnętrznych istotny wydaje się także racjonalny realizm tej partii w formułowaniu celów politycznych: nigdy na poważnie nie formułowała ona ogólnonarodowego projektu rządzenia i zmian, natomiast stale proponuje minimalistyczny projekt utrzymania znaczenia i wpływów, zwłaszcza w szczególnie interesujących dla tej partii sektorach gospodarki i segmentach struktury społecznej. Dlatego analiza

względnych sukcesów PSL-u ma dla innych partii ograniczoną użyteczność, gdyż i prawica, i lewica czuły się zobowiązane do formułowania projektu o charakterze ogólnonarodowym i z tego zadania lepiej lub gorzej się wywiązywały.

Kłopoty lewicy i prawicy (a także nieistniejącego dziś jako podmiot polityczny liberalnego centrum) miały różne przyczyny, ale dwie wydają mi się wspólne: przeciążenie problemem sformułowania i realizacji ogólnonarodowego projektu politycznego oraz kwestia sukcesji władzy i rotacji ekip kierowniczych.

Kłopoty lewicy zaczęły się wraz z objęciem stanowiska prezydenta przez Aleksandra Kwaśniewskiego. Wtedy bowiem pojawił się problem: kto rządzi? Kto jest ważniejszy? Kto dobiera sprzymierzeńców, a także ich wynagradza (i czym kosztem)? Proces polityczny w skrócie określany mianem „afery Rywina” nigdy nie nabrałby dynamiki, która doprowadziła do zakwestionowania formuły politycznej III Rzeczypospolitej, zniszczyła postkomunistyczną lewicę i dobiła liberalne centrum (nie tyle likwidując Unię Wolności, ile osłabiając uprzywilejowaną pozycję „Gazety Wyborczej” na rynku opinii), gdyby nie konflikty w trójce: Leszek Miller – Aleksander Kwaśniewski – Adam Michnik. Kłopoty Unii Demokratycznej zaczęły się wraz z ustąpieniem Tadeusza Mazowieckiego. Problem był nierozwiązalny, doszło zatem do politycznej rutenizacji UD/UW i importu Warega, czyli Leszka Balcerowicza. Wiemy, jak ta historia się zakończyła.

Niezależnie od wyników kolejnych wyborów parlamentarnych oraz prezydenckich, przed widmem kryzysu sukcesyjnego staną zarówno Platforma Obywatelska, jak i Prawo i Sprawiedliwość.

Kryzys zagraża PO. Donald Tusk może przegrać wybory prezydenckie, a PO w następstwie wybory parlamentarne, co spowoduje kryzys przywództwa, bowiem dla Donalda Tuska nie ma obecnie w Platformie alternatywy (lub zbioru alternatyw personalnych), a co więcej, trudno nawet taką alternatywę teoretycznie zarysować, zakładając, że sukcesor będzie musiał realizować podobne zadania i funkcje co obecny przewodniczący. Jeśli zaś Donald Tusk wygra wybory prezydenckie, a PO parlamentarne, to oczywi-

ście pojawi się element olbrzymiego sukcesu, który ma siłę spajającą, ale problemem pozostanie brak alternatywy personalnej dla szefa partii (chyba że Donald Tusk jako prezydent zatrzyma funkcje przewodniczącego PO), a ponadto pojawi się nowy kłopot w postaci znanej z czasów władzy SLD: prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego i premierostwa Leszka Millera.

Nieco inaczej sprawa przedstawia się w przypadku Prawa i Sprawiedliwości. Biorąc pod uwagę obszar zainteresowań jedyne podmiotu politycznego w tej partii (jej prezesa Jarosława Kaczyńskiego), wynikający z powiązań rodzinnych, już sama wygrana Lecha Kaczyńskiego zostanie uznana za olbrzymi sukces, a przetoży się ona zapewne na wzmocnienie pozycji PiS-u w wyborach parlamentarnych. To zakonserwuje na długie lata obecną strukturę polityczną partii. Bardziej prawdopodobny rozwój wydarzeń w postaci przegranej Lecha Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich i przegranej PiS-u w wyborach parlamentarnych musi doprowadzić do poważnych perturbacji, a nawet kolapsu PiS-u, gdyż polityczna pozycja obecnego prezesa stanie się trudna do obrony, a brak alternatywy dla niego stał się czynnikiem konstytutywnym tej partii.

Istnieje wyraźne podobieństwo wewnętrznej struktury politycznej Prawa i Sprawiedliwości oraz Platformy Obywatelskiej. W publicystyce używa się określenia: „partie wodzowskie”. Uważam je za nietrafne. Polityczne pojęcie „wodza” zakłada pojęcie „drużyny”, której wódz przewodzi, stałe zagrożenie wodza przez konkurentów w ramach drużyny. Trafniejsze wydaje się pojęcie „partii sultańskich”, przez analogię do pojęcia „sultanizmu” wprowadzonego do europejskiej myśli politycznej bodaj przez Jeana Bodina. Z tym, że są to w obu przypadkach sultani bez następcy po mieczu lub kądzieli, a w przypadku PO obok sultana istnieje też dowódca janczarów. Postaci takiej brak obecnie w PiS-ie. To sprawia, że obu partiom brak stabilizatora w postaci wewnętrznie trwale zhierarchizowanej grupy kierowniczej. W dojrzałych partiach właśnie uznawana przez ogół partii hierarchia partyjna (i ustrukturalizowana grupa kierownicza) łagodzi kryzysy sukcesyjne i minimalizuje napięcia związane z wymianą przywódcy.

Dodajmy do tego, że obie partie – główni gracze na obecnej scenie politycznej – to formacje młode, bardzo podatne na napięcia, które rodzą nie tylko porażki, ale i sukcesy.

Oczywiście, kryzys sukcesyjny nie jest wyłączną przyczyną kłopotów naszych partii. Działa jednak jak wzmacniacz, innymi słowy: wzmacnia napięcia, z którymi dana formacja może by sobie poradziła, gdyby nie doszło do tego przesilenia. Nasz system polityczno-partyjny nadal jest w stanie tworzenia się. Dopiero za trzy do pięciu lat będziemy mogli stwierdzić, jak będzie on wyglądał w dłuższej perspektywie czasowej.

Podkreślałem znaczenie w dokonywanych wyborach politycznych takich czynników, jak przestanki, determinacje, konieczności. Jednak żadna formacja polityczna, w tym partyjna, nie może przez dłuższy czas funkcjonować bez projektu politycznego (tu PSL ponownie jest wyjątkiem od reguły). Część kłopotów polskiej lewicy bierze się z braku takiego projektu, choć oczywiście istnieją inne, bardziej polityczne przyczyny jej obecnego upadku. Przy czym mówiąc o projektach politycznych, nie mam na myśli zbioru postulatów, lecz przesłedzenie realnej polityki i możliwego zespołu wyborów, przed jakimi partia stanie w przyszłości.

Jednym z podstawowych wyzwań stojących przed polskimi partiami, zwłaszcza prawicowymi, jest spór, a nawet realny konflikt, o rolę państwa narodowego w globalizującej się – czy może raczej z naszego punktu widzenia należy powiedzieć: „eurolizującej się” – przestrzeni międzynarodowej. W sposób nadmiernie krytyczny można przedstawić pewną tendencję do globalizacji czy eurolizacji, ponownie odwołując się do Williama Butlera Yeatsa:

Turning and turning in a widening gyre,  
Falcon can not hear a falconer,  
Things fall apart, centre cannot hold,  
A mere anarchy is loosed upon the world.

(cytat z *The Second Coming*)

Istnieje poczucie, że dotychczasowa struktura tak państw narodowych, jak i wymiaru międzynarodowego przestaje posiadać centrum. Ono się rozpada, nie wiąże różnych rzeczy w całość. Jednak żaden układ – narodowy czy międzynarodowy – nie może funkcjonować bez stanu równowagi.

Jakie czynniki pomogą nie dopuścić do urzeczywistnienia Yeatsowskiej wizji rozpadu, boleśnie odczuwanej przez współczesne społeczeństwa Europy, w tym społeczeństwo polskie? Najważniejszą kwestią jest państwo narodowe. To ono negocjuje, ustala punkty równowagi między siłami odśrodkowymi a dośrodkowymi. Moim zdaniem to właśnie państwo narodowe jest obecnie węzłowym problemem, wokół którego toczy się spór na prawicy. Część prawicy – tradycjonalistyczna, związana z Radiem Maryja – stan obecny widzi jako pełną anarchię. Można jedynie odwrócić się na pięcie i powiedzieć za Koriolanem: „Jest jeszcze świat inny”. Tyle że innego świata nie ma. Nie należy lekceważyć ani traktować protekcjonalnie obaw i decyzji tradycyjnej części prawicy. Ale nie wolno uciekać od rzeczywistości.

Podobnie jak Koriolan zachowało się Prawo i Sprawiedliwość przy okazji ratyfikacji traktatu lizbońskiego. Powinno mówić osobom o tradycyjnej wrażliwości, że nie ma innego świata, ale troszcząc się o spoistość naszej wspólnoty narodowej, musimy wspólnie negocjować z Europą i światem takim, jaki on jest, warunki brzegowe naszego trwania i rozwoju. Oznacza to także i przede wszystkim położenie akcentu na następującą artykulację polityczną: jeśli chcemy w świecie i Europie – w takich, jakie są – zachować istotne funkcje państwa narodowego, przede wszystkim zapewnić wspólnotę narodowej minimum spoistości, bez którego ona jako wspólnota istnieć nie może, to należy zredefiniować tak zadania, jak i strukturę oraz sposób działania tego państwa. Tymczasem PiS zamiast wysiłku intelektualnego i politycznego wybrał dezercję.

W podobny sposób – moim zdaniem – można opisać różne spory, które toczyły się w ostatnich latach: o prywatyzację, zwłaszcza spółek skarbu państwa umiejscowionych w strategicznych miejscach systemu gospodarczego, o politykę historyczną, o politykę demograficzną, o potrzebę istnienia narodowo nacechowanych instytucji systemu finansowego. Kontekst funkcjo-

nowania państwa narodowego nie jest oczywiście jedynym, w jakim należy rozpatrywać wszystkie te kwestie, ale należy do najistotniejszych.

Jeżeli Prawo i Sprawiedliwość zdoła ponownie opisać i sformułować swoją politykę jako wyraziciela opcji państwa narodowego, zdolnego negocjować jego interesy i zapewniać wspólnocie narodowej spójność, to nie tylko utrzyma się na scenie politycznej jako poważny podmiot, ale też powróci na pozycję, z których może walczyć o władzę lub o udział w niej.

Oczywiście, druga strona sporu nie artykułuje wprost programu politycznego, który można krótko opisać: „jesteśmy przeciwko państwu narodowemu”. Jednak walka o to, w którym miejscu ma zostać osiągnięty stan równowagi między siłami odśrodkowymi a dośrodkowymi, uderza w szeroko rozgałęzione interesy moralne i materialne, zarówno w Polsce, jak i w Europie oraz globalizującym się świecie. W związku z tym doszło do powstania bardzo niedobrej sytuacji z punktu widzenia polskiej polityki: wszyscy polityczni wrogowie PiS-u zapisywali się, być może tylko instrumentalnie czy koniunkturalnie, do przeciwnego obozu, w którym adwersarzem było nie tylko wykreowane „policyjne państwo PiS-u”, ale państwo narodowe po prostu; nacisk, jaki rząd Jarosława Kaczyńskiego kładł na narodowe funkcje państwa, był interpretowany jako wzmacnianie struktury represyjnej wobec obywateli, korporacji i społeczności lokalnych. Szczególnie dobrze było to widoczne w 2007 roku w przypadku Platformy Obywatelskiej, prezentującej się jako polityczna formacja apañstwa. Nie było w tym nic dziwnego: już przed wybuchem konfliktu między PiS-em a PO Platforma Obywatelska sformułowała ważne intuicje podpadające pod takie samookreślenie. Należy do nich stwierdzenie Jana Rokity, że wszystko to, co po 1989 roku stało się w Polsce dobrego, zawdzięczamy samorządom, a wszystko, co złe – władzy centralnej. Trzeba tu dodać, że PiS i sam Jarosław Kaczyński także na tym obszarze sporu ułatwiali przeciwnikom zadanie, gdyż lali młode wino do starych bukłaków: nie wyartykułowano koncepcji, że zdolność państwa do kreowania wspólnie z innymi podmiotami warunków brzegowych kooperacji społecznej w ramach wspólnoty narodowej oraz tworzenie i wzmacnianie

narzędzi do kontroli, czy te warunki są spełniane, nie oznacza konieczności hierarchicznego podporządkowania się rządowi.

Dziś sfera konfliktu politycznego ponownie się autonomizuje, w związku z tym opisywany przeze mnie spór będzie powracał w kategoriach politycznych, w kategoriach mobilizacji zaplecza i mobilizacji wyborców. W tym sporze po centroprawicowej i prawicowej stronie spektrum polityczno-ideowego wygra, także politycznie, ta formacja, która przedstawi realną, a przy tym atrakcyjną intelektualnie, kulturowo i politycznie doktrynę (wizję) polskiego państwa narodowego we współczesnym świecie i Europie. Może być oczywiście tak, że ten spór nie zostanie otwarcie podjęty albo będzie się toczył na zapleczu i wskutek tego nie zostanie nazwany, bo na scenie będą odgrywane kolejne konflikty o ekscesy Janusza Palikota. Nawet umiarkowany pesymista stwierdzi, że jest to bardziej niż mniej prawdopodobne.



## Zdzisław Krasnodębski

# Jaki model prawicowości?

Zanim można będzie odpowiedzieć na pytanie, jaka prawica jest Polsce potrzebna, trzeba spytać, czy prawica w ogóle jest w Polsce potrzebna. Na pozór jest to pytanie czysto retoryczne. Wszyscy zgadzamy się przecież, że demokracja zakłada zróżnicowanie poglądów politycznych. Ciągłe też kategoryzujemy je jako prawicowe lub lewicowe, choć zdajemy sobie sprawę, że jest to rozróżnienie bardzo toporne, zmieniające swoje znaczenie w zależności od kontekstu i często do niego nieprzystające.

Polska rzeczywistość polityczna z trudem daje się opisać w zwykłych kategoriach, pochodzących najczęściej z XIX wieku. Nasza socjaldemokracja jest postkomunistyczna, co zdecydowanie odróżnia ją od socjaldemokracji w Europie Zachodniej – reprezentuje przecież reżimowy *establishment* PRL-u i jego spadkobierców. Przedstawiciele rządzącej partii liberalnej należą w Parlamencie Europejskim do frakcji chadeckiej, a nominalnymi liberałami byli ci, którzy czynią starania o założenie wspólnej partii z odłamem postkomunistycznej lewicy. Nie przypadkiem na przykład Niemcy mają wielkie kłopoty ze zrozumieniem polskiej sceny politycznej i z nazewnictwem. Dlatego Prawo i Sprawiedliwość określa się mianem partii „narodowo-konserwatywnej”, a Samoobronę uznawano za populistyczną partię prawicową (i na wszelki wypadek – by nie mieszać ludziom w głowach – przemilczano start Leszka Millera z jej list w ostatnich wyborach). W Niemczech prawica kojarzona jest z poglądami neonazistowskimi (chętnie zapomina się

o socjalistycznym członie w nazwie NSDAP). Polska prawica, która jest posolidarnościowa i nawiązuje do tradycji Armii Krajowej, tradycji ruchu oporu przeciw hitleryzmowi oraz polskich tradycji republikańskich, pozostaje więc dla Niemców czymś zupełnie egzotycznym.

Zupełnie inaczej wygląda odpowiedź na zadane pytanie, gdy chodzi o konkrety, gdy pytamy o to, czy Polsce potrzebna jest taka prawica, jaka obecnie istnieje. Wiele osób – zwłaszcza przedstawiciele elit – sądzi, że potrzebne jest nam liberalne centrum, uzupełnione co najwyżej centrową lewicą. Mniej umiarkowana lewica mogłaby bowiem Polsce także przynieść raczej szkody niż pożytek. Nieodzowna zmiana polegałaby na wyeliminowaniu prawicy, zwłaszcza „radiomaryjnej” lub „PiS-owskiej”, z życia publicznego i politycznego. Tylko wtedy mogłaby się udać modernizacja i europeizacja Polski. Jak pisano po ostatnich wyborach, należy zrobić wszystko, by sytuacja, jaka zdarzyła się po 2005 roku, nie mogła się powtórzyć.

Prawo i Sprawiedliwość pełni tutaj funkcję, jaką kiedyś pełniły ugrupowania bardziej radykalne – rolę straszaka, negatywnego punktu odniesienia, wprawdzie niezbędnego do określenia własnej tożsamości, lecz uchodzącego za ugrupowanie, którego samo istnienie jest zagrożeniem dla ładu politycznego. Zaraz też się dodaje, że Polsce potrzebna jest – czy wręcz niebędna – prawica innego rodzaju: sprawna, kompetentna, mądra, nowoczesna, skuteczna w rozwiązywaniu problemów. A jakie są to problemy, to wydaje się oczywiste, niekontrowersyjne. Istnieje przecież niemal stały ich zestaw. Borykamy się z nimi od lat. Wydaje się wręcz, że należą one nieodłącznie do polskiej rzeczywistości, i często tracimy już nadzieję, że w ogóle są rozwiązywalne: reforma finansów publicznych, budowa autostrad, reforma służby zdrowia, zwalczanie korupcji i wyjaśnienie przeszłych afer, wzmocnienie pozycji Polski w Unii Europejskiej, polityka wschodnia, „pojednanie” z Niemcami, zniesienie wiz do USA itd. Prawica miałaby się różnić co najwyżej w proponowanych rozwiązaniach – i tak jak na Zachodzie powinna być raczej za mniejszymi podatkami, za prywatyzacją, ale wszystko oczywiście w granicach rozsądku.

Zdaniem krytyków polska prawica w jej obecnym kształcie zdecydowanie nie odpowiada temu zapotrzebowaniu. Należy więc wykreować nową prawicę – tak jak skądinąd należałoby wykreować nową lewicę, pozbawioną obciążenia komunistyczną przeszłością – prawicę, która zajęłaby się problemami prawdziwymi, a nie zastępczymi, którymi są chociażby sprawy przeszłości, czyli polityka historyczna i lustracja, lub kwestie obyczajowe i moralne. Prawdziwym problemem byłaby natomiast modernizacja Polski, rozumiana bardzo prosto jako rozwój gospodarczy i społeczny, przynoszący rozwiązanie wspomnianych „odwiecznych” polskich problemów. Co ambitniejszy redaktor naczelny lub komentator zajmuje się planowaniem na papierze reformy polskiej prawicy lub polskiej lewicy, czasami siebie obsadzając w roli głównej.

Jednak ci, którzy chcieliby wyznaczyć owe granice rozsądku, sami oczywiście zajmują stanowisko polityczne, które na pewno nie jest prawicowe – w sensie obecnej polskiej prawicy. Przy tym owe granice rozsądku miałyby być w zasadzie granicami możliwej polityki. Przez lata polscy politycy przedstawiali swoje działania jako nieunikniony wyraz ducha dziejów. Nie było na przykład sensu prowadzić innej polityki zagranicznej niż ta, którą prowadził Bronisław Geremek, nie można było prowadzić innej polityki finansowej niż Leszek Balcerowicz, a polityki historycznej innej niż Adam Michnik, gdyż były one jako jedyne rozumne i sensowne.

Jednak rzeczywistość polska stawia zdecydowany opór wyznaczaniu takich granic i racjonalizowaniu sceny politycznej. Mimo wszystkich wysiłków i dobrych rad lewica pozostaje postkomunistyczna, prawica nierozsądna i populistyczna, a liberalne centrum – w swoim mniemaniu będące uosobieniem rozsądku – jest bezbarwne, aroganckie i dogmatyczne. Nic więc dziwnego, że nie cieszy się specjalną popularnością. *Nota bene* często za owo centrum w Polsce uchodzą ludzie o poglądach bardzo radykalnych.

Dodatkowo po wygranych wyborach rządzący Polską, niezależnie od orientacji politycznej, posługują się podobnymi metodami i zajmują tymi samymi pilnymi sprawami – nazywanymi albo zawłaszczaniem państwa, albo jego uwolnieniem, w zależności od tego, czy działania te mają przy-

zwolenie mediów i elit opiniotwórczych, czy nie. Najczęściej także politycy okazują się mało kompetentni. Trudno się dziwić, skoro sposób selekcji do obejmowania najwyższych stanowisk pozostawia wiele do życzenia. Umiejętności zarządzania i znajomość mechanizmów administracji państwowej liczą się znacznie mniej niż umiejętność prowadzenia walki partyjnej i budowy wizerunku medialnego. Każdy, kto dochodzi do władzy, szybko odkrywa granice możliwości działania. Wie, że należy opanować służby specjalne, mieć wpływ na telewizję, obsadzić agencje rządowe, zmienić zarząd spółek skarbu państwa. Najczęściej nie starcza potem czasu na nic innego. Obywatele często nie dostrzegają więc różnic między politykami o różnej orientacji politycznej.

Odpowiedź na pytanie, jaka prawica jest Polsce potrzebna, zależy od tego, jakie są potrzeby Polski. To wyznacza zasadniczą oś podziałów politycznych w naszym kraju. Wszystko zależy od tego, jak się owe potrzeby Polski rozumie, jak się identyfikuje źródło problemów czy niemożności. Tutaj różnimy się zasadniczo. Ba, nawet więcej – inaczej definiujemy samą Polskę, co innego jest dla nas w niej istotne i inną przywiązujemy do niej wagę.

Najogólniej rzecz ujmując, ludzie o poglądach zwanych prawicowymi chcą rozwiązania polskich problemów gospodarczych, społecznych i politycznych bez rezygnacji z Polski, i to nie Polski jako tworu kulturowego lub krainy geograficznej, lecz jako bytu politycznego, możliwie jak najbardziej samodzielnego i suwerennego. Inaczej niż w II Rzeczypospolitej nie jest to bynajmniej cel podzielany dzisiaj przez wszystkie kierunki polityczne. Uważa się przecież, że rozwiązanie polskich problemów nie będzie możliwe bez rezygnacji, przynajmniej częściowej, z Polski – z pewnej części jej suwerenności, jej kultury itd. Uznając zalety integracji europejskiej, ludzie o poglądach prawicowych sądzą, że ta część powinna być jak najmniejsza. Im bardziej lewicowe i liberalne nastawienie, tym większa skwapliwość w pozbywaniu się atrybutów suwerenności i tym bardziej entuzjastyczny europeizm.

Z postawą ideową, która charakteryzuje obecną polską prawicę, związane jest przekonanie, że utworzenie Unii Europejskiej, choć jest to organizacja korzystna dla Polski i Europy oraz godna wspierania, nie oznacza końca

klasycznej polityki europejskiej. Interesy narodowe nie tracą na znaczeniu. W Unii nie zanikają relacje władzy czy nawet dążenie do hegemonii. Wręcz przeciwnie – w Europie obserwujemy renacjonalizację, wzrost znaczenia największych państw europejskich, przede wszystkim Niemiec, i coraz większy rozdźwięk między językiem politycznym a realnością polityczną.

Prawica sądzi, że budowa silnego państwa jest podstawowym zadaniem elit i obywateli. Uważa także, że obecna słabość państwa wynika z odrzucenia zasady suwerenności, z przekonania o schyłku państwa narodowego oraz idei transformacji imitacyjnej. Państwo zostało zaniedbane, przeciwstawione wyidealizowanemu społeczeństwu obywatelskiemu, stało się także łupem wpływowych grup interesów.

Ponadto ludzie o poglądach prawicowych uważają, iż Polaków łączy nie nazbyt silna, lecz zbyt słaba więź narodowa, że problemem jest zerwanie ciągłości kulturowej oraz naruszenie struktury normatywnej społeczeństwa. Dlatego tak wielką wagę przywiązują do pielęgnowania polskiej tradycji i do właściwej polityki historycznej. Umiarkowana prawica sądzi, że jest to tradycja wolnościowa, republikańska i że do jej cech zasadniczych należy rozumienie narodu przede wszystkim jako wspólnoty politycznej, a nie etnicznej czy biologicznej. Uważa także, że wpływy zewnętrzne, choć często korzystne i niezbędne – kulturowe, obyczajowe, gospodarcze, polityczne – nie są same w sobie zbawienne, lecz mogą zagrażać podmiotowości i spójności polskiego społeczeństwa.

Cechą charakterystyczną polskiej prawicy jest także przekonanie, że przetrwanie dawnych struktur uniemożliwiało prawidłowy rozwój Polski, a błędy popełnione na początku transformacji zaważyły na jej dalszym przebiegu. Nie przypadkiem ciągle wraca dyskusja o przeszłości i podejmowane są próby lustracji. Rozbicie tych struktur jest uznawane za niezbędny warunek każdej reformy oraz przywrócenia zaufania w ład prawny i zasady sprawiedliwości.

W odróżnieniu od polskich liberałów polska prawica nie sądzi, aby mechanizmy rynkowe były panaceum na wszystkie problemy. Zwraca uwagę na pogłębiające się różnice społeczne i regionalne, a za jedno z naczelnych

zadań politycznych uważa zniwelowanie tych różnic. Nie ma to nic wspólnego z socjalizmem, lecz z dawnym konserwatywnym organicyzmem, dbaniem o spójność i solidarność narodową. Polska prawica nie wyklucza też w żadnym razie wolności gospodarczej, którą chce wspierać, zdając sobie jednak sprawę, że warunkiem tej wolności są niezbędne regulacje i nadzór państwa oraz stała walka ze zjawiskami patologicznymi i korupcją.

Jestem przekonany, że Polsce potrzebna czy wręcz niezbędna jest właśnie tak rozumiana prawica. Nic nie świadczy o tym, aby proponowana przez nią diagnoza sytuacji nie była zasadna. Próba wyperswadowania jej zwolennikom polskiej prawicy nie ma raczej szans na powodzenie. Nawet więcej – wydaje mi się, że jest to jedyny spójny i realistyczny program dla Polski. Inną sprawą jest przełożenie go na konkretne działania polityczne, co do tej pory udawało się tylko w bardzo ograniczonym stopniu.

## Rafał Matyja

# Spór o prawicę

Temat „jaka prawica jest Polsce potrzebna?” można rozumieć nieco szerzej – co jest potrzebne Polsce, co jest potrzebne Rzeczypospolitej, a dopiero potem – jaka powinna być prawica, która weźmie to pod uwagę. Warto przyjąć taką kolejność, choćby po to, aby wyjść poza dominujący ton publicystyki politycznej, gdyż dzisiejsze rozważania o prawicy to najczęściej analizowanie doraźnej rywalizacji partyjnej lub wojen kulturowych toczonych na łamach mediów.

Jeżeli wyjdziemy od potrzeb państwa i jego obywateli – to dostrzeżemy, że jedną z najpilniejszych jest zapewnienie rządowi i administracji mocy sprawczej, zdolności uczestniczenia w grze międzynarodowej i rozwiązywania problemów związanych z funkcjonowaniem rozbudowanej sfery usług publicznych. To oczywiście nie jest jedyna możliwa diagnoza potrzeb Rzeczypospolitej ani jej stanu. Można mówić, że Polacy powinni być bardziej wspólnotą i najważniejszym zadaniem władz publicznych jest przywrócenie Polakom tego poczucia. Można mówić, że najważniejsze jest realne poczucie bezpieczeństwa, a zatem rząd powinien przede wszystkim wzmocnić organy ścigania. Można wreszcie powiedzieć, że najważniejsze jest podkreślanie odmiennej tożsamości ideowej Polski w Europie, uczynienie nas swego rodzaju krajem duchowego świadectwa.

Odpowiedź na pytanie „jaka prawica jest Polsce potrzebna?” będzie zatem zawsze pochodną odpowiedzi na pytanie podstawowe, będzie

pochodną wyobrażenia o potrzebach wspólnych – wykraczających poza podziały polityczne. Aby jednak nie była czystym konstruktywizmem, nie poprzestawała na projektowaniu bytów politycznych, musi brać pod uwagę także realia sceny politycznej oraz to, czym są dziś prawica i lewica.

W wymiarze parlamentarnym prawica to oczywiście bez wątpienia Prawo i Sprawiedliwość oraz – z pewnymi zastrzeżeniami – także Platforma Obywatelska, która zbudowała swoje polityczne przesłanie na kompilacji haseł centrowych i prawicowych, podlanych skutecznym wyborczo populistycznym sosem. W ostatniej kampanii – prawie samym sosem. Ale nie możemy zapominać o tym, że ta polityczna i partyjna reprezentacja to nie jest cała prawica. Prawicę stanowią również alternatywne wobec obecnych ugrupowania, a ponadto szerszy ruch ideowy, polityczny, publicystyczny. W ostatnich 20 latach ów ruch pozwolił prawicy nie tylko przetrwać, ale też pozyskiwał dla niej umysły i emocje – szczególnie środowisk opiniotwórczych. Jeżeli politycy prawicy nie funkcjonują dziś we wrogim medialnym i intelektualnym otoczeniu, to jest to skutek walki o równowagę, jaka toczyła się w latach 90., właściwie poza polityką.

I nawet jeżeli jest tak, że sami politycy nie biorą pod uwagę projektów, które powstają w tej sferze, lub traktują je całkowicie instrumentalnie, to sfera, gdzie kształtowane są cele i wizje polityki, nie jest obszarem ich monopolu. Nawet jeżeli dysponują przewagą, to nie tak wielką, by głosy spoza sztabów dwóch głównych partii można było całkowicie pominąć.

Zwłaszcza że partie prawicowe są dzisiaj słabe, wbrew własnemu dobru samopoczuciu, wbrew aurze ogromnego sukcesu, jakim kończyły swoje wielkie elekcje – PiS w 2005, a PO w 2007 roku. Te sukcesy nie były jednak rezultatem wielkiego wysiłku organizacyjnego lub intelektualnego, ale wynikiem historycznej koniunktury, skutkiem lewicowej „wojny na górze”, którą rozpoczęła rywalizacja między Aleksandrem Kwaśniewskim a Leszkiem Millerem, a która osiągnęła kulminację w aferze Rywina.

Po roku 2005 obie główne partie tę koniunkturę marnują. Nie tylko dlatego, że nie zawarły porozumienia. Marnują, bo są słabe instytucjonalnie, marnują, bo mechanizmy wewnętrznej selekcji, które uruchomiły,



przynoszą mizerne efekty, służą „produkcji” maszynek do głosowania, słabych merytorycznie klubów, słabych – w przypadku PO – elit rządowych. O ile PiS umiał dokooptować do rządu ciekawych „bezpartyjnych”, o tyle za ciekawe zjawisko w rządzie Donalda Tuska musiała starczyć osobowość Zbigniewa Ćwiąkalskiego. Na czele klubów, na czele ich parlamentarnych przedstawicielstw spotykamy dziś marnych polityków. To są ekipy mizerne. Co więcej, w dużej mierze pozorują rywalizację. Wybierają tematy wygodne, tematy, które nic nie kosztują, nie wymagają żadnej wiedzy. Jeżeli ktoś w tych partiach wie więcej – jak Marek Biernacki czy Paweł Kowal – to się go pokazuje mniej. Przykłady polityków wyeliminowanych – Jana Rokity, Ludwika Dorna czy Kazimierza Michała Ujazdowskiego – stanowią zresztą przestrozę dla potencjalnych partyjnych „mądrali”, którzy odmówiliby bycia mądrymi czymś innym niż mądrością partii.

Drugi realny problem współczesnej prawicy to jej poważne pęknięcie programowe. Pęknięcie, które cały czas skrywane jest pod pozornym konfliktem na osi PO–PiS. Przez pęknięcie programowe rozumiem rzeczywiste dylematy, które przekładają się na rządzenie czy stanowienie prawa, a które można dość łatwo pominąć w codziennym retorycznym boksie. Na fakt tego pęknięcia zwraca uwagę polemika, jaka toczy się od kilku lat na łamach „Dziennika”, „Rzeczpospolitej” czy pism niskonakładowych. Polemika o to, jaka ma być polityczna tożsamość prawicy.

Tezy stawiane w tej dyskusji przez Roberta Krasowskiego stanowią polemikę z tym rozumieniem prawicy, które widzi ją jako stronę wojen kulturowych, toczonych nie tylko w Polsce, ale we wszystkich społeczeństwach Zachodu. Ten pomysł na prawicę zakłada, że jej zadaniem jest fundamentalna walka o duchowy, światopoglądowy kształt Europy i Ameryki. Może być prezentowany w wersji tradycjonalistycznej, silnie polemicznej wobec nowoczesności i jej fundamentów. Może być kształtowany w duchu nowej religijności, swobodnie poszukującej form wyrazu, nieczującej więzi z konserwatywną, monarchistyczną i kontrrewolucyjną prawicą. Chętniej niż z tacińskich form Starej Europy projekt ten będzie wówczas korzystał z wynalazków amerykańskiej prawicy religijnej.

Drugi pomysł, bardzo popularny wśród młodej prawicy, młodszej nawet o 10 czy kilkanaście lat od mojego pokolenia, to projekt prawicy, której najważniejszym zadaniem jest odbudowa poczucia wspólnoty, nie tyle wyrażająca się w idei wojen kulturowych, tych o charakterze światopoglądowym, ile dążąca do odbudowy wspólnoty i metapolitycznej – jak sama lubi mówić – korekty wyobraźni Polaków, rekonstrukcji poczucia własnej wartości i godności. Ta część prawicy sądzi, że tak naprawdę decydują nie instytucje, lecz czynnik kulturowy, kształtowany poprzez odniesienia do historii, do I Rzeczypospolitej, do dorobku „Solidarności”, do pozycji Kościoła. Reinterpretując historię, możemy dać Polakom nową tożsamość, a wszystko inne ułoży się samo.

Jest wreszcie trzeci, mniejszościowy – jak sądzę – nurt na prawicy, stawiający na zmiany instytucjonalne, który można by nazwać prawicą państwową, choć ja wolę termin „konserwatywny instytucjonalizm”. Wyptywa on z poczucia, że o jakości naszego życia w ogromnej mierze decyduje jakość instytucji, a one – i tu pojawia się czynnik konserwatywny – budują swoje możliwości na długich procesach tworzenia wzorców kulturowych. Konserwatywny instytucjonalista nie będzie zatem podzielał wiary w „procedury” specyficznego na gruncie polskim liberalnego konstruktywizmu.

Wszystkie trzy nurty były obecne w Prawie i Sprawiedliwości. Drugi i trzeci miały też swoje mniejszościowe reprezentacje w Platformie Obywatelskiej. Paradoksalnie jednak wraz z odejściem Marka Jurka i Kazimierza Michała Ujazdowskiego z PiS-u, a także wraz z osłabieniem pozycji Jana Rokity i Jarosława Gowina w PO – możemy mówić o znaczącym osłabieniu programowego „impetu”, politycznych ambicji obu ugrupowań. Niemniej jednak będą one nadal toczyć istotny spór, który raczej nie będzie rozstrzygał się podczas wyborów, ale w procesach mniej czytelnych – w rosnącym lub słabnącym wpływie ich postulatów na cele formułowane przez elity polityczne i społeczne.

Na pytanie, który z tych nurtów uważam za najbardziej potrzebny współczesnej Polsce, odpowiem, nawiązując do wyboru pierwotnego – do wskazania, że potrzebujemy dziś przede wszystkim naprawy ustrojowej,

instytucjonalnej, modernizacji służb publicznych. Można – jak czyni to Marek Jurek – taką ofertę zredukować do hasła „skuteczne państwo w służbie wygodnego życia”, choć wydaje się, że zadania państwowe w sferze służby zdrowia, edukacji czy infrastruktury stają dziś bardziej przed wyzwaniem poszanowania „godności” osoby niż w służbie jej „wygód”.

Jarosław Marek Rymkiewicz powiedział kiedyś, że państwo polskie pomiata nim, oferując mu upokarzające warunki podróżowania koleją. Upokarza jeszcze bardziej pacjentów państwowych szpitali, pogardza ludźmi czekającymi w okropnych kolejkach na niezbędną usługę medyczną. Zastawia na swoich obywateli pułapkę dziurawych dróg, zamęcza mieszkańców niejednego miasteczka kawalkadami TIR-ów, przebijających jego wąskie uliczki. Ten wymiar nie jest najistotniejszy dla kształtowania się postaw obywatelskich, ale dla wielu ludzi staje się codziennym znakiem relacji z własnym państwem.

„Konserwatywny instytucjonalizm” mógłby stać się odpowiedzią na tak zarysowane wyzwanie. Nie w warstwie intelektualnej, bo to jest łatwe. Ale w warstwie politycznej. Jego „konieczność” wydaje się tym bardziej uzasadniona, że na naszych oczach zmieniała się rola państwa narodowego. Część prawicy wskazywała na utratę suwerenności, na zagrożenie niemieckie, mnożyła obawy natury światopoglądowej, przestrzegała przed brukselskim socjalizmem. Jednak poza tymi przestroгами nie dostrzeżono zasadniczej zmiany funkcji rządu.

Nie dostrzeżono na poziomie analitycznym, na poziomie pytania, jak wykorzystać tę nową funkcję, jak radzić sobie z powstałymi brakami. Politycy prawicowi nie do końca nas o tym poinformowali, nie powiedzieli, jak rozumieją nową konstrukcję rządu, nowy zakres działań parlamentu. Choć na pewne rzeczy stracili raz na zawsze wpływ, to zachowują się tak, jak gdyby w zasadzie nic się nie stało. Mimo że powstają nowe wyzwania – jak choćby konieczność prowadzenia skomplikowanej gry w ramach Unii Europejskiej – to nie widać odpowiedzi politycznej w postaci nowych narzędzi.

W sferze propagandy politycznej – szczególnie wyborczej – jest tak, jakbyśmy cały czas byli w jakimś wymyślonym państwie, gdzie władza

publiczna w zasadzie wszystko może (nawet jeżeli nazywa to cudem). A jedyne prawdziwe ograniczenia polegają na tym, że musi komuś zabrać, by komuś dać.

Taka postawa to w jakimś stopniu wynik korekty populistycznej, której dokonały dwa główne ugrupowania. Korekty wynikającej z potrzeby odreagowania jednej z idei przewodnich III Rzeczypospolitej, mówiącej, że w okresie przemian i transformacji obywatele muszą powstrzymać część swoich roszczeń wobec państwa, aby to się wszystko udało. Ta idea upadła ostatecznie w epoce Leszka Millera, a dzisiaj, gdy w sferę komunikacji społecznej weszły tabloidy, określając populistyczny – wolny od moralistycznej retoryki elit – wzór tej debaty, obywatele mówią: absolutnie nie mamy ochoty powstrzymywać roszczeń wobec państwa. Transformacja się skończyła i teraz my chcemy, żeby nasze było na wierzchu, albo przynajmniej żądamy wyrównania niesprawiedliwych rachunków.

Sądzę, że to rodzi poważny problem, bo ta korekta została przyjęta przez polityków z dużą konsekwencją. Dwie ostatnie kampanie to populizm bardzo głęboki, choć skrywany jeszcze pod jakąś na poły liberalną retoryką. Ale nadzieja na to, że można bezkarnie obiecywać, jest – delikatnie mówiąc – mało roztropna.

Inny wymiar odreagowania tego, co się działo w III Rzeczypospolitej, wiąże się z łamaniem lustracyjno-historycznego tabu. To polega, z jednej strony, na dużym zapotrzebowaniu młodego pokolenia na tożsamość historyczną, na płynącym z historii silnym poczuciu własnej wartości; a z drugiej strony – na swoistej naiwności i radykalizmie ocen. „Obóz amnezji” nie wyciągnął nauki z przypadku niemieckiego. Nie wziął pod uwagę, że pokolenie nieznające komunizmu z autopsji będzie krytyczne do granic okrucieństwa wobec każdego przypadku zdrady i donosicielstwa. Znacznie bardziej niż antykomuniści z mojego pokolenia, którzy jednak mieli świadomość tego, że komunizm był czymś trudnym, a sprawy odstaniane przez esbeckie archiwa nie są zawsze tak oczywiste jak *casus* Lesława Maleszki.

Ta podwójna korekta – populistyczna i lustracyjna – nie była wynikiem przyjętego z góry planu jakiegoś prawniczego „kierownictwa”. Doświad-

czenia ostatnich trzech lat wykreślają nam dość precyzyjnie granice możliwości polityki. Te dwie korekty są jak fale, po których politycy zaledwie surfują – z mniejszym lub większym wdziękiem i powodzeniem. Ale są także wyzwaniem, które wymaga nowej konstrukcji ustrojowej – czy raczej instytucjonalnej – państwa.

Państwa, którego administracja – zwłaszcza w sferze styku z polityką – jest skrajnie anachroniczna, którego służby publiczne są skrajnie anachroniczne. Niosą w sobie kulturowe wartości późnego komunizmu. Dla wszystkich, którzy do sfery publicznej przeszli z sektora prywatnego, to zderzenie z PRL-owskimi obyczajami biurokratycznymi, odziedziczonymi niekiedy także przez młodych urzędników, jest szokiem. Dominujące wzory wyobraźni organizacyjnej, dominujące reguły instytucjonalne sprawiają, że można by je zamienić raczej w żywe muzea niż w narzędzia całkiem nowoczesnego społeczeństwa, w narzędzia państwa stojącego przed wymogami coraz trudniejszej rywalizacji międzynarodowej. Tymczasem modernizacja tego aparatu odbywa się jedynie na powierzchownym poziomie *public relations*.

Przebudowa instytucjonalna tej sfery oznacza zatem trudną operację ustrojową. Nie tylko w tym sensie, że wspartą wysiłkiem legislacyjnym. Pod określeniem „ustrojowy” kryje się raczej zakres *consensusu*, który powinien gwarantować ciągłość zmian, który powinien wykraczać poza jedną czy dwie kadencje, a zatem – jak uczy doświadczenie – powinien być przedmiotem szerokiej zgody politycznej. Tymczasem parlamentarne i rządowe elity wydają się lekceważyć potrzebę zawierania tego typu kompromisów. Nie czynią tego nawet w sferze kluczowych dla Polski interesów międzynarodowych. Zużywają resztki zaufania, zamieniając je na cyrkowe popisy kolejnych retorycznych chwytów, wymierzonych nie tylko w konkurujące partie, ale najczęściej także w premiera i prezydenta.

„Zaufanie” jest słowem, które w ustach rządzącej dziś ekipy brzmi równie nieprzekonująco jak „rewolucja moralna” w ustach jej poprzedników. Donald Tusk nie tworzy zaufania, które pozwalałoby budować rozwiązania długofalowe, wykraczające poza jedną kadencję. Nie wciąga do gry nowych

aktorów, ani indywidualnych, ani instytucjonalnych. Sam ufa tylko wąskiemu gronu najbliższych. Słowo „polityka” nie oznacza sztuki osiągnięcia celów państwowych, a jedynie umiejętność zdobywania przewagi nad przeciwnikiem z sąsiedniej i pod wieloma względami bliźniaczej partii.

Jeżeli zatem mówimy, że potrzebna jest dziś prawica państwowa, to myślimy o prawicy, która będzie miała poczucie odpowiedzialności za całość, a nie tylko za wybrane tematy. I – co bardzo ważne – będzie umiała określić warunki szerokiego *consensusu* i na nim zbudować nowy ustrojowy porządek.

Takiej prawicy w sensie politycznym nie widzę, co nie zwalnia mnie z dość podstawowego, choć traktowanego bez nadmiaru wiary w moc słowa, obowiązku publicysty, jakim jest głoszenie tego, co się uważa, i poddawanie się surowej ocenie innych. Także polityków.

# Dyskusja

## Leszek Gilejko

Chciałbym poruszyć dwie kwestie.

Pierwsza: czy w Polsce rzeczywiście dobiega końca czas formowania się cywilizowanych partii politycznych, zwłaszcza w przypadku prawej strony sceny politycznej (trochę inna jest sytuacja w przypadku lewicy)? W moim przekonaniu tak nie jest. Wręcz przeciwnie, przed polskimi partiami stoją nowe wyzwania, wynikające ze zmieniającej się sytuacji zarówno w Polsce, jak i w Europie. Trwa obecnie bój o nowy typ cywilizacji społeczeństwa kapitalistycznego. To niezmiernie aktualny problem, a nasi politycy w ogóle nie są nim zainteresowani. Dotyczy to w szczególności prawej strony sceny politycznej. Lewica musiała się szybciej ucywilizować. Jest dziś bardziej proeuropejska.

I druga. Zgadzam się z Ludwikiem Dornem, że obecnie bardzo istotny jest problem państwa narodowego. Mam tylko wątpliwość, czy można tę kwestię – zarówno w wymiarze wewnętrznym, jak i europejskim, a nawet globalnym – sprowadzić do zespołu takich zagadnień, jak suwerenność, niepodległość, obrona tożsamości narodowej. Problem ten dotyczy niezmiernie ważnych dla państwa zagadnień, jak sposób urzędzenia infrastruktury społecznej i gospodarczej. Prawdopodobnie w tej sferze rozstrzygnie się podstawowa sprawa roli państwa narodowego w obecnych czasach. To również jest

problem postępu cywilizacyjnego, a jednocześnie miara „osiągnięć” w tym zakresie. Do kategorii cech suwerenności należy dzisiaj bardziej niż kiedyś dobrze rządzone państwo.

### Andrzej Celiński:

Zdzisław Krasnodębski poruszył problem modernizacji. Chciałbym dowiedzieć się, co jego zdaniem jest konieczne, by wreszcie się ona powiodła. Czy niezbędnymi warunkami są rozbicie jakichś postkomunistycznych, „post-okrągłostołowych” struktur, dekomunizacja i lustracja? Mówiąc inaczej: gdzie widzi Pan główne płaszczyzny modernizacji, której motorem byłaby polska prawica? Jak jej priorytety (tropienie układów, dekomunizacja) miały się do podstawowych wyzwań, a jednocześnie zadań po 1989 roku: do prywatyzacji polskiej gospodarki czy do rozwoju samorządności terytorialnej? Jak można je odnieść do kwestii przygotowania Polski – także prawnego – do wejścia w strukturę Unii Europejskiej? Wreszcie, czy tak przedstawiany program może być atrakcyjny dla młodych ludzi, dla których istotne jest poczucie posiadania własnego państwa, gdzie o polityce decydują mechanizmy demokracji, a nie na przykład korporacyjne, dla których istotne jest określenie roli Kościoła katolickiego w polskiej polityce oraz ważny pozostaje problem realnych nierówności związanych z wyznawanymi światopoglądami itd.?

### Antoni Dudek:

Pozwolę sobie zacząć od postawienia pytania: czy Polska doczeka się prawicy rzeczywiście jej potrzebnej, czyli takiej, która swoje wygórowane ambicje polityczne spróbowałaby w jakimś zakresie realizować? Inaczej mówiąc, odnoszę wrażenie, że nadal mamy do czynienia z sytuacją, kiedy to z łatwością przewagę nad polityką pravicową zdobywają inne sfery, na przykład ekonomiczna. Można nawet powiedzieć, że nasza prawica stała się dziś narzędziem korporacji. Podam dwa przykłady.



Pierwszy: przygotowywany przez Platformę Obywatelską plan likwidacji – a przynajmniej znacznego ograniczenia – mediów publicznych. Jeżeli zostanie zrealizowany, to debata publiczna będzie zdominowana przez korporacje typu TVN.

Drugi: jednym z realnych osiągnięć III RP było powstawanie nowych uniwersytetów. Duża liczba państwowych szkół wyższych istniejących niemalże we wszystkich regionach stanowiła bardzo niedoskonały, ale funkcjonujący system tworzenia równości. Tymczasem Platforma chce go zlikwidować, bo to właśnie oznacza przygotowywany przez nią projekt zmiany finansowania uczelni. Jeżeli zostanie on zrealizowany, to będziemy mieli do czynienia z kilkoma uniwersytetami – okrętami flagowymi, a reszta stanie się zawodowymi szkołami wyższymi.

W Polsce od wielu lat kształtuje się społeczeństwo typu oligarchiczno-korporacyjnego. Czy świadoma polityka – chociażby prawicy – mogłaby ten stan zmienić? Do pewnego stopnia zapewne tak. Obrona istnienia mediów publicznych czy szkolnictwa państwowego nie stoi poza możliwościami władzy państwowej. Przeszkodą jest programowy liberalizm Platformy Obywatelskiej, który w praktyce prowadzi do akceptacji stosunków typu oligarchiczno-korporacyjnego. Można oczywiście wiązać pewne nadzieje z powrotem do władzy – w ciągu najbliższych lat – Prawa i Sprawiedliwości. Obawiam się jednak, że do tego czasu PiS może się „ucywilizować” w duchu liberalnym w swym myśleniu o gospodarce, a jednocześnie nie odejdzie od anachronicznego myślenia w innych sferach, co dobrze mogliśmy poznać podczas sprawowania przez tę partię władzy. Według dominującego w niej sposobu myślenia dbałość o suwerenność Polski była pojmowana przede wszystkim jako negacja Rosji lub – ewentualnie – negacja Brukseli (na poziomie kulturowo-obyczajowym, czyli w sferze lansowanych tam koncepcji proaborcyjnych czy promniejszościowych). Jednak obecnie suwerenność to kwestia posiadania narzędzi typu polityczno-ekonomicznego, na przykład banków (których Polska nie ma). Nasz kraj potrzebuje prawicy zdolnej bronić wartości dla niej cennych, jak suwerenność czy solidarność społeczna. Niestety, obie główne partie prawicowe tego – z różnych powodów – nie robią.

### Janusz A. Majcherek:

Zastanawiająca jest jedna kwestia. W części naszej dyskusji poświęconej lewicy poruszano takie kwestie, jak problemy prywatyzacji czy opłat za służbę zdrowia. Nie tylko podkreślano, że są one ważne, ale też nie wykluczano konieczności głębokich zmian. Tego typu problematyka jest nieobecna podczas tej części dyskusji. Czy nie są to kwestie istotne dla prawicy? Przecież dziś jesteśmy chociażby w sytuacji, że płacimy gigantyczne sumy na wykształcenie polskich lekarzy, po to, by angielscy pacjenci zostali w przyszłości otoczeni przez nich dobrą opieką medyczną. Znaczna część absolwentów naszych uczelni udaje się bowiem dziś do Wielkiej Brytanii, by tam zarabiać większe pieniądze niż w Polsce. Tymczasem uzyskali wykształcenie za pieniądze naszych podatników. Warto zastanowić się także nad takimi problemami, jak chociażby opłaty za studia, bo być może ich wprowadzenie doprowadziłoby do przywrócenia sprawiedliwości społecznej, aby użyć tak kontrowersyjnego i postponowanego sformułowania.

### Janusz Reykowski:

Odniosłem wrażenie, że niektórzy z mówców biorących dotąd udział w tej dyskusji (a także w dyskusji poświęconej lewicy) pytanie tytułowe: „Jaka prawica/lewica jest Polsce potrzebna?” przekształcili w pytanie: „Jaka prawica jest potrzebna polskiej prawicy?” (i analogicznie: „Jaka lewica jest potrzebna polskiej lewicy?”), a najważniejszym problemem stało się to, co należy zrobić, by prawica utrzymała się u władzy (i – wcześniej – by lewica zdobyła władzę). Mimo to udało mi się usłyszeć także o projektach czy stanowiskach odnoszących się do tego, jak Polska jako kraj powinna być rządzona i jakie są istotne cele naszej polityki wedle prawicowego stanowiska. Przy czym (niestety) nie doszło do dobrego odróżnienia celów, które są specyficznie prawicowe lub lewicowe, od tych, które można uznać za ogólnopartańskie, za wspólne niezależnie od przyjmowanej perspektywy.

Chciałbym też zapytać o jedną, dość istotną, moim zdaniem, kwestię. Ciekawie przedstawiono różnicę wewnątrz obozu prawicowego oraz rozmaite opcje istniejące (bądź mogące zaistnieć) wewnątrz obozu prawicy. Jednak wśród nich nie zostały wyraźnie poruszone – przynajmniej moim zdaniem – fundamentalne kwestie różnicujące Platformę Obywatelską oraz Prawo i Sprawiedliwość. Mam na myśli takie sprawy, jak prawa obywatelskie, rola państwa, relacja partia–państwo itp. Pojawiające się czasami w mediach i rozmaitych dyskusjach stwierdzenie, że obie partie starają się opanować – mniej lub bardziej skutecznie – państwo, zamazuje dosyć istotne różnice dotyczące zakresu i stosowanych środków. Odczuwam – podobnie jak wielu Polaków, niezależnie od ich politycznej orientacji i światopoglądu – odrębność między fazą rządów prawicy z lat 2005–2007 i obecną.

### Aleksander Smolar:

U wszystkich uczestników panelu centralnym elementem definiującym prawicowość zdaje się być przywiązanie do państwa narodowego (nie zawsze było ono formułowane wprost; Robert Krasowski mówił o „lokalności”). Rafał Matyja zwrócił też uwagę, że w polskich debatach jest nieobecny problem ograniczenia roli państwa, związanego ze wstąpieniem do Unii Europejskiej. Ta kwestia jest ważna dla wszystkich sił politycznych, ale fundamentalne znaczenie ma właśnie dla prawicy. Dlaczego? Lewica może liczyć, że Unia zastąpi państwo narodowe w określonych funkcjach opiekuńczych, co jest związane z przywiązywaniem przez nią wagi do roli wspólnoty w zachowaniu spójności społecznej. Chciałbym zatem zapytać, jakie są granice – z prawicowego punktu widzenia – ograniczenia państwa narodowego ze względu na polskie interesy? Jakie są granice dopuszczalnego samoograniczenia, a nie ograniczenia wymuszonego przez innych, przez przyjęte reguły gry, co w rozmaitych dziedzinach – bezpieczeństwa czy gospodarki – już nastąpiło. Decyzje w tych sprawach zapadają już gdzieś indziej. Ludwik Dorn przywołał cytat z Williama Butlera Yeatsa: „*center cannot hold*”. Centrum przestaje odgrywać swoją rolę, rozpada się, nie wiąże rzeczy

w całość. To – jego zdaniem – uzasadnia dziś znaczenie państwa narodowego. Powstaje jednak problem relacji między państwami narodowymi. Z tym wiąże się moje drugie pytanie: o stosunek do Unii Europejskiej. W Polsce pravicowe myślenie o relacjach międzynarodowych – do niedawna myślenie także Platformy Obywatelskiej – było zdeterminowane przez darwinowską, bardzo dziewiętnastowieczną koncepcję polityki, wedle której – mówiąc w uproszczeniu – państwo państwu wilkiem. Podam jeden przykład: stosunek do Niemiec. Bardzo długo trudno było wskazać różnice między PO a PiS-em w ich polityce wobec naszych zachodnich sąsiadów. Zmianę przyniosły ostatnie lata.

Zadając oba te pytania, podkreślam, że nie chodzi mi o krytykę stosunku tej czy innej partii do Unii Europejskiej. Przyjmuję to, że naród jest podstawową kategorią dla myślenia pravicowego. Chodzi mi o sposób realizacji celów. Ludwik Dorn już apelował: nie ma innego Rzymu. Ja sparafrazowałbym słowa Stalina: „lepszego Rzymu wam nie dam”. Gdzie zatem – wedle Panów – tkwi pozytywna wartość Unii Europejskiej? Chodzi mi o wyjście poza argumenty mniej czy bardziej otwarcie prezentowane, że trzeba walczyć o dotacje i inne korzyści, starając się zarazem jak najbardziej ograniczyć rolę UE. Gdzie zatem są podstawy pozytywnego stosunku do Unii Europejskiej i jednocześnie realistycznej wizji nieuchronnych ograniczeń państwa narodowego?

### Lena Kolarska-Bobińska:

Odniosłam wrażenie – na podstawie wystąpień Roberta Krasowskiego i innych – że w myśleniu pravicowym Polska jest jakimś wsobnym bytem, niczym wyspa na szerokim oceanie. Trochę zdziwiło mnie to, że nie pojawiły się odniesienia chociażby do projektów reform instytucji Unii Europejskiej. Tymczasem w Parlamencie Europejskim główne partie pravicowe nie tylko są zjednoczone, ale wręcz stanowią podstawową siłę ciągnącą do przodu projekt proeuropejski. Jaką zatem rolę ma odgrywać Polska w zjednoczonej Europie?

## Rafał Matyja:

Pozwolę sobie powiedzieć tylko o trzech sprawach.

Pierwsza. Jeżeli przyjmiemy, że zadaniem władzy publicznej jest próba zapanowania nad losem własnej zbiorowości, to także w pewnej mierze ograniczone są oczekiwania wobec władz państwa narodowego. Podkreślam: nie możemy mówić o pełnej kontroli, lecz jedynie o próbie sprawowania **jakiejs** kontroli nad jej losem. Przy czym polskie władze, próbując wypełniać funkcję „ograniczonego kontrolera”, nie napotykały na opór społeczny (jak to ma miejsce w innych krajach), lecz problemem są narzędzia, którymi dysponują, oraz własne elity partyjne.

Druga. W przypadku Unii Europejskiej stajemy przed dylematem: czy Polska ma ambicje, koncepcje oraz narzędzia i zdolność do prowadzenia poważnej gry w obrębie UE? Dla mnie w tej sferze bardziej zrozumiałe były rządy PiS-u: Kazimierza Marcinkiewicza i Jarosława Kaczyńskiego. Ich ambicje były proste, ale czytelne – osiągnąć taką pozycję w Europie, jaką osiągnęły inne najważniejsze państwa. Gorzej było z wykonaniem i dziś można jedynie spierać się o to, czy wówczas można było prowadzić lepszą politykę. W przypadku Platformy Obywatelskiej nie potrafiłbym odpowiedzieć na pytanie ani o ambicje, ani o strategię. Politykę PiS-u przynajmniej w przybliżeniu można było opisać: jakich sojuszników zbieramy, gdzie ich szukamy. Dziś trudno o jasność w tej kwestii. Dlatego też wyostrzyłbym pytanie postawione przez Aleksandra Smolara: czy prawica będzie gotowa na reformę Unii, która przełamie swoją genetyczną wadę, jaką jest według mnie socjalistyczny sposób myślenia o rozwiązywaniu spraw gospodarczych lub społecznych? Ja poparłbym taką zmianę, ale w tej sprawie znajduję się na marginesie prawicowej opinii. A co robi w takiej sytuacji polska prawica? Sądzę, że będzie dalej okopywała się na wygodnym, z punktu widzenia polityki wewnętrznej, statusie obrońcy formalnych narzędzi gry państwa narodowego, takich jak liczba głosów *etc.* Czyli będzie skupiać się na sprawach – moim zdaniem – o drugorzędnym znaczeniu. Polska więc więcej uzyskałaby, gdyby koncentrowała

się na modernizacji własnych wewnętrznych mechanizmów, na przykład na bardziej efektywnej współpracy z regionami.

Trzecia. Boję się, że przesadnie akcentujemy podział prawica–lewica. Sądzę, że obecnie jest on słabszy, niż można to było obserwować na początku istnienia III RP. Co więcej, istotne podziały istniejące wewnątrz grupy, którą możemy nazwać elitami politycznymi i intelektualnymi, przebiegają w poprzek podziału wyznaczanego przez oś lewica–prawica. Dotyczy to zarówno stosunku do podstaw aksjologicznych, jak i – w jeszcze większym stopniu – do instytucjonalnej reformy państwa. Jestem przekonany, że na przykład w sprawie uczynienia polskiego szkolnictwa wyższego bardziej innowacyjnym i sprawiedliwie opłacanym znalazłbym wielu sojuszników wśród osób z obozu związanego z rządem Marka Belki, a przeciwników w gronie wywodzącym się z rządu – bardzo mi bliskiego przecież – Jarostawa Kaczyńskiego i PiS-u (z ówczesnym ministrem edukacji na czele). Dlatego też uważam, że czekają nas bardzo ciekawe przeobrażenia na scenie politycznej, które będą wynikały raczej ze sposobu odpowiedzi na istotne problemy kraju niż z przywiązania do obecnie istniejących etykiet politycznych.

### **Zdzisław Krasnodębski:**

Pozwolę sobie na wstępie na przywołanie pewnej anegdoty. Zapytałem swoich studentów w Bremie, czy uważają państwo, w którym żyją – Republikę Federalną Niemiec – za sprawiedliwe? W odpowiedzi usłyszałem: tak, chociaż, oczywiście, nie jest ono pozbawione wad. Zdarzają się w nim sprawy korupcyjne czy afery w służbach specjalnych. Jednak, ich zdaniem, Niemcy to sprawiedliwe państwo. Dlaczego o tym wspominam? Nie żyję nadzieją na jakąś wyśnioną Polskę, lecz na kraj, w którym większość młodych ludzi będzie mogła powiedzieć: tak, to jest sprawiedliwe państwo. Zawsze pozostaje kolejne pytanie: co to znaczy „sprawiedliwe”? Sam wymieniłbym sprawy przyziemne. To państwo, które dba o emerytury czy wykształcenie, o bezpieczeństwo i implementację prawa, o jednakowe reguły dla wszystkich, niezależnie od tego, jaka partia rządzi w danym momencie. Oczywiście,

pozostaje kolejna, bardzo rozległa kwestia: w jaki sposób do takiego stanu się dochodzi?

Następna sprawa. Nikt rozsądny chyba nie powie, że polskie partie znajdują się dziś w stanie zadowolającym. Wszyscy też mamy świadomość, że nasza scena polityczna jest źle skonfigurowana. Jeden z umiarkowanych polityków Prawa i Sprawiedliwości powiedział mi niedawno, że polska prawica może wystawić do rządzenia tylko jedną dobrą drużynę. Niestety, wystawia dwie słabe. Zatem przegrywa. Krytykowałbym natomiast dogmatyczne założenie, że musi istnieć podział na lewicę oraz prawicę i że dlatego tak ważne jest odrodzenie tej pierwszej. Uważam, że podziały polityczne rodzą się wokół problemów czy sporów, a nie wokół ideologicznych etykiet.

Nie przeceniam też – odnosząc się do wypowiedzi Andrzeja Celińskiego – znaczenia na przykład dekomunizacji. To, że ujawnimy wszystkich agentów prowadzących Lesława Maleszkę, nie rozwiąże modernizacyjnych problemów Polski. Natomiast uważam, że to jest niezbędny element, by Polacy kiedyś uznali swoje państwo za sprawiedliwe.

Z kolei Janusz Reykowski podniósł problem relacji partii i państwa za czasów rządów Prawa i Sprawiedliwości oraz Platformy Obywatelskiej, z przyganą mówiąc o tych pierwszych. Moja ocena jest odmienna. Ustawa o służbie cywilnej przygotowana przez PO może służyć za dobry przykład podporządkowywania sobie państwa pod zręcznym hasłem jego „uwalniania”. Dodałbym jednak jedną uwagę, że zawłaszczanie państwa przez rządzące partie jest – moim zdaniem – do pewnego stopnia konieczne i zrozumiałe, ponieważ tylko w ten sposób konsoliduje się władzę.

Na koniec podnoszony był tu problem: Unia Europejska a państwo narodowe. Oczywiście, wymaga on dyskusji. Nie jest to zresztą tylko polski kłopot. Jednak wymieniałbym także inny, nie mniej istotny: państwa peryferyjnego i słabego. Nie miałbym nic przeciwko temu, abyśmy używali Unii w taki sposób, jak robią to Niemcy czy Włochy. Niestety, podstawowym problemem w myśleniu polskich polityków pozostają pieniądze, kwestia: ile ich dostaniemy? Oczywiście, że je otrzymamy. To zresztą ważna rzecz. Jednak jest wiele innych spraw (na przykład sposób ochrony przez Unię

środowiska), które są dla nas równie ważne, a przecież ich nie zauważamy. Tymczasem inni potrafią uzyskać bardziej korzystne dla siebie warunki. Nie chcę, by Polacy stali się eurosceptykami, ale powinni być eurorealistami. O pozytywnych stronach Unii nie musimy się przekonywać. Nie leży w naszym interesie powrót do sytuacji z dwudziestolecia międzywojennego. UE jest dobrym mechanizmem budowania solidarności, koordynacji interesów itd. To jednak nie oznacza, że powinniśmy ograniczać się do bezmyślnego euroentuzjazmu.

### Ludwik Dorn:

Leszek Gilejko podniósł kwestię istotną i dla mnie osobiście bolesną. Prawo i Sprawiedliwość oraz Platforma Obywatelska przykładają ogromną wagę do programu modernizacji Polski i jednocześnie, jeżeli spojrzysz się na wewnętrzne mechanizmy funkcjonowania tych partii, to są one prząsno-anachroniczne. Zastanawiam się zatem: w jaki sposób moi przeciwnicy z Platformy oraz koledzy i przyjaciele z PiS-u chcą modernizować Polskę, skoro nie potrafią tego zrobić w obrębie własnej partii? Nie mam na myśli jedynie problemu typu przywództwa, tym bardziej, że nie uważam za najbardziej trafne posługiwanie się prostymi utożsamieniami: wewnątrzpartyjna demokracja równa się modernizacja, a przywództwo autorytarne to anachronizm. Uważam, że w tej kwestii decydują przede wszystkim okoliczności. Dla mnie ważniejsze są jednak takie sprawy, jak polityka kadrowa i zarządzanie kadrami, rekrutacja, tworzenie zaplecza koncepcyjno-intelektualnego, budowanie relacji społecznych. To zagadnienia ważne, do których w innych krajach przykładają się dużą wagę. Tymczasem utknęliśmy w jakiejś prastowiańskości, z jednym, wspomnianym już przeze mnie wyjątkiem: Polskim Stronnictwem Ludowym.

Natomiast nie bardzo rozumiem, jak można – co zaproponował Janusz Reykowski – na podstawie stosunku do praw obywatelskich zarysować przepaść między PO a PiS-em. Sądzę raczej, że pomijając kwestie aksjologiczno-obyczajowe, wokół których trwa ostry konflikt (jak aborcja czy *in*



*vitro*), w Polsce istnieje w tej sprawie od dawna ugruntowany – przynajmniej werbalny – *consensus*. Oczywiście, zarzuty czy podejrzenia o „nieodpowiedni” stosunek do praw obywatelskich były wobec różnych ugrupowań politycznych wysuwane od początku lat 90. Adam Michnik napisał, że chciałby, aby do jego drzwi o 5 rano dzwonił tylko mleczarz. Podobnych słów użył Jan Rokita. Jednak mówienie o „państwie policyjnym” itd. – to była czysta propaganda. Do tego – powiedzmy to głośno – niezbyt wysublimowana, choć subtelni eseiści także wypowiadali się o tych sprawach w podobnym tonie. A jaki związek te rozmaite zarzuty miały z rzeczywistością? Popatrzmy na nieszczęsne dogorywające komisje śledcze, powołane na początku funkcjonowania obecnego Sejmu do osądzenia rządów PiS-u. One nie wiedzą dziś, czym mają się zajmować.

Ostatnia sprawa, podniesiona przez Lenę Kolarską-Bobińską i Aleksandra Smolara, czyli problem: Unia Europejska i państwo narodowe. To istotna kwestia, ale trochę niepokoi mnie ton czy klimat towarzyszący tego typu wypowiedziom. Jeżeli my – reprezentanci prawicy – mówimy o państwie narodowym i natychmiast nie zaznaczamy, że opowiadamy się za Europą, to jesteśmy posądzeni o antyeuropejskość, a przynajmniej okazujemy się niedostatecznie proeuropejscy. Tak nie jest. Ryba nie mówi, że pływa w wodzie. Unia Europejska jest naturalnym środowiskiem dla prawicy, o której rozmawiamy. Oczywiście, politycy są gatunkiem ryby, który chce wpływać na to, w czym pływa.

W prawicowym myśleniu o Unii Europejskiej istnieją cele podstawowe, z których najważniejszym jest wybicie się do pierwszej szóstki krajów Unii. To trudne zadanie, ale konieczne dla wspólnoty narodowej. Tylko osiągnięcie tego celu pozwoli nam uczestniczyć w politycznej dyskusji o kształcie i miejscu Unii w świecie. Póki nie znajdziemy się w tym gronie, póty w ogóle nie liczymy na udział w realnej polityce (może pomijając kwestie stosunków polsko-amerykańskich oraz polityki wschodniej). Wymienię zatem zasadnicze kwestie XXI wieku, na które Unia Europejska powinna mieć wpływ, a my powinniśmy mieć wpływ na Unię: migracje, konflikty i walka o zasoby naturalne, kryzys demograficzny i zmiany klimatyczne oraz

terroryzm. Sadzę, że wszyscy zgodzimy się co do wagi tych problemów. Do tej pory wszystkie – poza migracjami oraz terroryzmem – pozostają w gestii poszczególnych państw.

Uważam też, że powinniśmy używać unijnego otoczenia, ale należy o nie dbać. Z tego właśnie względu, przy wielu fundamentalnych zastrzeżeniach do traktatu lizbońskiego, byłem za jego ratyfikacją. Inaczej mówiąc, o staw, w którym się pływa, należy dbać we własnym, dobrze pojmowanym interesie.

### Marek A. Cichocki:

Nie zostałem dobrze zrozumiany. Mówiąc ironicznie o „cywilizowaniu prawicy”, nie miałem na myśli tego, że partie związane z tą opcją nie powinny się modernizować, zmieniać czy doskonalić. Co więcej, ich wewnętrzna anachroniczność czy też przaisułość w tej chwili staje się gówną przyczyną niezdolności przekładania juź wypracowanych prawicowych projektów czy koncepcji modernizacji na świat rzeczywisty. Mówiąc o „cywilizowaniu”, odwoływałem się do postulatów wysuwanych w latach 90., ale także później. Ich autorzy wychodzili z założenia, że każda forma prawicowości w Polsce musi doprowadzić do „potwornej endecko-antysemickiej katastrofy”. W związku z tym w naszym kraju nie ma warunków do funkcjonowania prawicowości opartej na naszym własnym doświadczeniu, lecz konieczne jest poddanie się swoistej pedagogice cywilizacyjnej. Jeżeli ktoś pamięta chociażby losy pojęcia „cywilizowania” w przypadku Wielkiej Brytanii w XVI–XVIII wieku, to wie, że ten proces może prowadzić do realnej dyskryminacji.

Aleksander Smolar poruszył inny problem: państwo narodowe i Unia Europejska według prawicy. Uważam, że w tej chwili nie ma innej formuły prowadzenia polityki niż oferowana nam przez państwo, które swoimi kórzzeniami tkwi w nowożytnych koncepcjach jego organizacji, a w XX wieku ewoluowało w kierunku demokratycznego państwa narodowego. Dziś to państwo znalazło się w nowych okolicznościach, czyli w Unii Europejskiej.

Trudno przyznać rację tym, którzy uważają, że Unia znosi istnienie państwa. Nie, ona tylko stwarza nową sytuację funkcjonowania struktur państwowych, w których Europejczycy żyją od dłuższego czasu. Nie oznacza to oczywiście, że być może za jakiś czas państwa przestaną w Europie istnieć. Nie sądzę, by to się stało w jakiegokolwiek dającej się przewidzieć przyszłości. W związku z tym, jeżeli chcemy funkcjonować w tej nowej sytuacji, jaką daje nam Unia Europejska, to musimy posiadać odpowiednie instrumentarium. Słabością Polski jest zarówno jego brak, jak i nasz stosunek do samego problemu instrumentarium.

Nie jest to zresztą wyłącznie polski problem. To zjawisko charakterystyczne dla całej postkomunistycznej Europy. Wszystkie kraje, które niedawno weszły do Unii Europejskiej, borykają się z instytucjonalną słabością państwa. Istnieje także inny problem: interesujące jest porównanie badań wśród starych i nowych członków Unii. Pokazują one, że w naszej części Europy mamy bardzo niski stopień zaufania do instytucji własnego państwa. Natomiast w takich państwach jak Francja czy Niemcy jest wysoki stopień zaufania do własnych krajowych instytucji. Prawdopodobnie to zjawisko może pomóc w wyjaśnieniu, dlaczego Polacy tak chętnie popierają instytucje unijne. Polacy nie uważają, że struktury unijne zawsze proponują nam rozwiązania najlepsze, lecz nie wierzą we własne instytucje, nie mają do nich ani zaufania, ani szacunku.

### Robert Krasowski:

Odniosę się jedynie do pytania o stosunek prawicy do Unii Europejskiej. Uważam, że nie jest on romantyczny czy sentymentalny, ale też nie określiłbym go jako krytyczny. Używanie języka demaskacji polityki unijnej jako gry narodowych interesów nie jest równoznaczne z krytyką Unii. Co więcej, każdy rozsądny dostrzega, że Unia Europejska wprowadza zupełnie nowe reguły właśnie do tej gry.

Po pierwsze, czyni grę narodowych interesów bezpieczną w fizycznym rozumieniu tego słowa. Ta gra nie kończy się wojną! To rzecz ważna i *novum*

w Europie. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że członkostwo w Unii Europejskiej jest dzisiaj dla nas większym gwarantem bezpieczeństwa Polski niż obecność w NATO.

Po drugie, gra narodowych interesów przestała być grą o sumie zerowej. Nie jest już tak, że ktoś musi stracić, aby ktoś inny zyskał. Odwrotnie. Unia Europejska funkcjonuje z dużym naddatkiem. Różnie dzielimy się zyskami, ale każdy coś ugra. Niektórzy więcej, niektórzy mniej.

Po trzecie, w Europie pojawił się nowy gracz. Nie do końca rozumiemy jego status. Nazywa się Bruksela. Komisja Europejska jest naszym, być może najważniejszym, sojusznikiem w sporach czy w grze narodowych interesów, które toczymy z Niemcami i z Rosją. Wszystkie znaczące polskie sukcesy odnosiliśmy dzięki Brukseli. Uważam, że należy to dostrzec.

Podsumowując: to, że polska prawica, mówiąc o Europie, używa demaskacyjnego języka, nie zmienia pozytywnego stosunku polskiej prawicy do członkostwa w Unii.

**Jakie liberalne centrum jest Polsce  
potrzebne?**



# Paweł Śpiewak

## Kształty polskiego liberalizmu

**W** myśleniu lewicy dzisiaj dominuje pamięć o wspaniałych czasach, dziewiętnastowiecznych programach oraz o szlachetnych postaciach z przeszłości, natomiast niewiele można znaleźć na temat tego, co wydarzy się w przyszłości. Lewica – wbrew swej tradycji oraz wbrew głoszonemu przestaniu – pozostaje w kręgu starych, dawno już przetrawionych idei i pomysłów.

Natomiast prawica mówi wyłącznie o przyszłości, zapominając całkowicie o tym, że kiedyś sprawowała władzę i że powinna się z tego jakoś wytłumaczyć. Nie może żyć jedynie obietnicą, lecz musi zmierzyć się z doświadczeniem swego (nie)spełnienia, czyli prowadzenia realnej polityki. Prawica narzuciła także porządek myślenia, wedle którego brakuje miejsca dla centrum, ponieważ wszystko poza skrajną lewicą zostało przez nią zagarnięte albo zepchnięte w sferę nieistnienia.

Pozostają jednak pytania o centrum i miejsce liberalizmu w polskiej polityce, chociaż, moim zdaniem, pochodzą one z dwóch różnych porządków. Kwestia liberalizmu nie jest tożsama z kwestią politycznego centrum.

## Liberalizm jako sfera polityczna

Trudno powiedzieć coś odkrywczego po wydaniu przed laty książki Jerzego Szackiego *Liberalizm po komunizmie*<sup>1</sup>, ograniczę się zatem do kilku przypomnień oraz paru uwag.

W polskim kontekście można mówić o dwóch rozumieniach pojęcia „liberalizm”. Pierwszy odnosi się do tego, co nazwałbym sferą polityczną, a niektórzy odważyliby się nawet mówić o teologii politycznej. Według tego stanowiska współczesne systemy polityczne typu zachodniego nie mogą istnieć bez liberalizmu. Myśli się wówczas o nim jako o swoistej przedmowie do ideologii, sama ideologia zaś może przybierać różne formy i być realizowana przez rozmaite partie, zarówno lewicowe, jak i centrowe lub prawicowe. W tym rozumieniu liberalizm sytuuje się w innym porządku niż rozmaite ideologie polityczne. Określa rudymenty rządzenia, które muszą zostać spełnione w wymiarze politycznym, ale także kulturowym czy cywilizacyjnym, aby można było powiedzieć, że dana wspólnota polityczna należy do cywilizacji Zachodu i pozostaje w kręgu obietnicy wolności. Tak definiowany liberalizm wyznacza mechanizmy władzy z podstawowym jej elementem, jakim jest równowaga poszczególnych władz, ale też narzuca jej ograniczenia, bez względu na to, jak się ona nazywa – ustawodawcza, wykonawcza czy sędziowska – i kto sprawuje rządy. Jednym z podstawowych problemów tak pojętego liberalizmu jest problem ochrony praw człowieka pierwszego i drugiego rzędu, w tym ochrony mniejszości: religijnych, etnicznych, ale także obyczajowych.

Zgodnie z tą definicją „liberalizm” to rządy prawa, tak jak bywały definiowane przez Friedricha Augusta von Hayeka czy Isaiaha Berlina, oraz przestrzeganie cywilizowanych reguł. Obejmuje także akceptację, a wręcz afirmację tak zwanych miękkich cnót obywatelskich typowych dla liberalizmu, z których najważniejsze to: tolerancja, idea kompromisu oraz szacunek dla prawa, postawa racjonalna, antyautorytaryzm. W tym rozumieniu liberalizmu istotne miejsce zajmuje kwestia dyskursu publicz-

---

<sup>1</sup> Jerzy Szacki, *Liberalizm po komunizmie*, Kraków 1994.



nego i przeświadczenie, iż podstawą ładu politycznego jest racjonalnie prowadzona debata, w miarę wolna od nienawiści. Ten rodzaj liberalizmu jest mocno artykułowany przez niektórych polskich myślicieli, często o odmiennych poglądach politycznych, jak Wojciech Sadurski czy Andrzej Walicki, gdyż głoszenie takich poglądów nie musi się łączyć z jednym określonym wyborem politycznym.

Pozostaje kwestia, czy liberalizm jako prolegomena do wszelkich ideologii czy podstaw politycznych jest objęty powszechnym *consensusem*, czyli, innymi słowy, czy ład liberalny będący dziś fundamentem zachodniej kultury jest u nas zabezpieczony? A jeżeli nie, to w jaki sposób jest atakowany? Czy ten typ liberalizmu jest traktowany jako ład, który może być broniący przez różne opcje polityczne, czy staje się zakładnikiem gry politycznej? Jeżeli chociażby Sojusz Lewicy Demokratycznej i inne grupy lewicowe atakowały w latach 2005–2007 Prawo i Sprawiedliwość za łamanie reguł liberalnych, to chciały ten rodzaj liberalizmu uczynić swoją własnością, czyli podporządkować go swoim interesom grupowym. Można zatem powiedzieć, że liberalizm w tym rozumieniu nie posiada ani swojego właściciela, ani swojej partii politycznej, ani jednoznacznego gospodarza, który nim zarządza. Jednocześnie jest niezbędny dla zachodniego systemu politycznego, tworzy język legitymizacji systemu, wymaga nieustannej artykulacji i nieustannego nazywania. Żywotność i otwartość systemu liberalno-demokratycznego jest kwestią palącą i obecnie nie mniej istotną jak 20 lat temu, gdy upadał ustrój komunistyczny.

*Nota bene*, jednym z kluczowych problemów tak pojętego liberalizmu są relacje Kościół/kościół (gł. katolicki) – państwo. Wśród najważniejszych zagrożeń dla polskiego ładu liberalnego można wskazać daleko idącą klerykalizację państwa i inwazję nietolerancyjnych postaw, zasadzonych na religijnej ideologii. Podkreślam: ideologii, a nie na wierze i samej religii. Ideologia ma, rzekłbym, skróconą perspektywę i w zapasie listę gotowych rozwiązań oraz narzędzi. Problemem jest mniej lub bardziej skrywany nacjonalizm (endencja) pod dachami zakonów i bram Kościoła, który konserwuje postawy ksenofobiczne, zamknięte i jawnie niechętnie darom,

jakie wolność ofiarowuje. Sprawa bynajmniej z latami nie zmniejsza się. Wręcz narasta.

### Liberalizm jako projekt polityczny

Drugie rozumienie pojęcia „liberalizm” jest węższe i utożsamiane z określoną partią polityczną bądź środowiskiem reprezentującym konkretną grupę interesów oraz racji ideowych. W Polsce taki rodzaj liberalizmu został wyartykułowany w okresie przedtransformacyjnym, na przykład przez krąg nieżyjącego już Mirosława Dzielskiego oraz przez tak zwanych liberatów gdańskich i warszawskich. Jego dzieje zakończyły się 1993 roku i Jerzy Szacki, wydając swoją książkę, zapewne niechcący napisał jednocześnie nekrolog tej formacji.

Drugiego rodzaju liberalizmu nie można było utożsamiać z tym, co jest nazywane politycznym centrum. Projekt polityczny, jak najwyraźniej wyartykułowany przez Kongres Liberalno-Demokratyczny, był zarazem konstruktywistyczny i konserwatywny. Przyjęto w nim założenie, że państwo jest w stanie niemal od zera zbudować instytucje wolnego rynku oraz instytucje własności prywatnej. Celem tego projektu było także wyznaczenie nowej struktury społecznej z kluczową rolą klasy średniej. Dzięki reformom ekonomicznym miała się ona wyłonić z magmy nieokreśloności społeczeństwa postkomunistycznego. Konstruktywizm, wedle klasycznych liberatów, takich jak von Hayek, jak pamiętamy, jest postawą typową dla orientacji rewolucyjnej oraz progresywistycznej i z liberalizmem nie ma zbyt wiele wspólnego.

Jednocześnie był to projekt konserwatywny, ponieważ opierał się na wierze w wolny rynek jako historycznie sprawdzoną metodzie dochodzenia do takich celów, jak bogactwo, obfitość i realizacja dobrego porządku politycznego. Był to program aż krzykliwie niechętny państwu opiekuńczemu. Negował rolę państwa w polityce gospodarczej. Jego dogmatem były prywatyzacja i reprivatyzacja, ze skutkami społecznymi, jakich już zdaliśmy doświadczyć. Za jawnie złą instytucję miał związki zawodowe

i dość sceptycznie odnosił się do doświadczenia „Solidarności”. Fundował, ujmując rzecz skrótowo, perspektywę bliską Miltonowi Friedmanowi. Liberalizm ten prezentował sprzeczną wizję państwa: potrzebował jego siły i sprawczości po to, by rynek uruchomić, a zarazem odbierał państwu znaczny obszar uprawnień, uważając, że etatyzm sprzyja, z jednej strony, korupcji, marnotrawieniu środków publicznych, a z drugiej – rozbudza postawy rewindykacyjne i roszczeniowe, typowe dla lewicy oraz populistów.

Ten projekt przegrał wraz z klęską wyborczą KLD w 1993 roku, ale pozostawił po sobie w miarę ciekawe dokumenty programowe oraz ważnych przeciwników, co także jest istotne dla jakości debaty publicznej. Jego miejsce zajęła formacja zwana Platformą Obywatelską. Platforma jest dzieckiem, ponieważ jej przywództwo pozostaje w rękach liderów dawnego Kongresu Liberalno-Demokratycznego, jednak PO nie jest partią liberalną ani też chętnie się do liberalizmu nie przypisuje. Dzieje się tak z co najmniej dwóch powodów. Platforma jest partią depolityzacji społeczeństwa oraz depolityzacji życia publicznego. To partia kwestionująca wartość dyskursu publicznego, sporu, rozmowy. Niszczy polityczność, neguje bowiem instytucję programu partyjnego, zaciera obraz rzeczywistości, jaki politycy proponują, i, co nie mniej ważne, ukrywa hierarchię celów i wartości, czyli wszystko, co pozwala innym partiom odnajdywać swoją tożsamość w sporze czy w dyskusji. Podkreślam antydyskursywność Platformy Obywatelskiej, ponieważ udało się jej świetnie rozmazać kontury własnej tożsamości. Można tylko domyślać się, o co partii chodzi, jaki jest jej program, jakie cele chce realizować. Jedyнным wyrazicielem programu pozostaje przewodniczący, czyli premier. Tylko jemu dane jest wskazywanie problemów i idei dyktowanych zapewne potrzebą chwili oraz interesami wyborczymi. Reszta partii jest jego (oraz otoczenia premiera) narzędziem.

Powiniennem wspomnieć o jeszcze jednej cesze PO. Jest to partia oportunistu demokratycznego, która politykę pojmuje jako umiejętności zdobywania i podtrzymywania władzy (co zresztą doprowadziła do perfekcji), zdobywania głosów wyborców przy odmowie reformowania państwa, w tym sektora programów socjalnych, byle tylko nie narażać się wyborcom

i nie „nabijać” głosów przeciwnikowi. Wszelkie zmiany, na przykład w systemie świadczeń społecznych, KRUS, mogą tylko wywołać społeczne niezadowolenie, a to wszak by oznaczało, że albo PO znajdzie się w konflikcie z aliantem, albo też przeciwnicy wykorzystają nawet najbardziej racjonalne pomysły rządu przeciw niemu.

### Dwie definicje centrum

Odrębnym problemem jest istnienie w Polsce centrum, które zresztą można definiować na dwa sposoby. Pierwszy określiłbym jako „definiowanie poprzez sytuację”. Centrum w takim rozumieniu jest przestrzenią między tym, co spotyka (co nie oznacza, że łączy) różne ugrupowania polityczne. Radosław Markowski oraz Tomasz Żukowski wskazywali na trzy zasadnicze osie sporu politycznego w Polsce, stale obecne w ostatnich 20 latach. Są to: stosunek do gospodarki rynkowej (od libertarian do socjalistów), do tradycji narodowej (w tym do misji społecznej Kościoła katolickiego) oraz do przeszłości postkomunistycznej (przede wszystkim do lustracji). Partia sytuująca się w centrum miałaby posiadać umiarkowane poglądy we wszystkich tych kwestiach. Byłaby partią prorynkową, a jednocześnie w miarę egalitarną, lustracyjną, ale zarazem broniącą niezbędnych w tym przypadku procedur sądowych. Byłaby partią patriotyczną, sprzyjającą Kościołowi, acz z silną orientacją proeuropejską i promodernizacyjną. Jednak według takiej sytuacyjnej definicji centrum byłoby prawdopodobnie zbiorem pustym; nic – poza Polskim Stronnictwem Ludowym – nie mogłoby się w nim znaleźć. Co więcej, treściowo byłaby to partia być może wybitnie nieinteresująca, a sama definicja centrum byłaby całkowicie uzależniona od zasadniczego podziału na linii: prawica–lewica. Czyli „centrum” w takim rozumieniu wyznaczałyby aktualna polityka i idee różnych formacji politycznych.

Czy jest możliwa inna definicja centrum, niepodporządkowanego dychotomii prawica–lewica? Moim zdaniem można sobie wyobrazić projekt myślenia centrowego nietożsamego z liberalnym, zwłaszcza w drugim, czyli politycznym rozumieniu tego słowa. Odtworzenie tego centrum musiałoby

się wiązać z odbudowaniem pojęcia polityki, jej doświadczenia jako komunikacji czy rozmowy (co oznacza konieczność odbudowania parlamentu w jego pierwotnej funkcji, bo teraz jego istnienie jest w ogóle zagrożone), oraz z koniecznością określenia czegoś, co nazwałbym poczuciem rzeczywistości.

Isaiah Berlin w swym eseju *Idee polityczne XX wieku* podkreślał, że charakterystyczny dla naszej współczesności jest zanik poczucia zmysłu wspólnego albo, inaczej, zdrowego rozsądku, co nie sprowadza się do podzielenia tych samych wartości lub interesów. Innymi słowy, każda z idei dwudziestowiecznych nie tylko proponowała odmienne języki, wizje przyszłości, ale też przedstawiała całkowicie osobny sposób widzenia i problematyzowania rzeczywistości. Tymczasem idee XIX wieku, jak pisał, były ze sobą w sporach i rywalizacji z dziesiątków powodów, lecz wspólne im było przekonanie, że problemy epoki – jak na przykład nędza, ekspansja kolonialna, rozwój przemysłu czy miast, zmierzch arystokracji, początki demokracji – są problemami realnymi i istotnymi dla wszystkich. Odbudowa pojęcia polityki – co proponuję – oznaczałaby rekonstrukcję problemów, które niezależnie od interesów ideologicznych czy partyjnych mogą zostać uznane właśnie za realne i ważne. Innymi słowy, punktem wyjścia dla takiego projektu nie byłaby ochrona interesu jakiejś ideologii lub partii, lewicowej czy prawicowej. Nie byłaby tak ważna dbałość o to, czy mówimy w języku liberalnym, prawicowym albo lewicowym, lecz istotę stanowiłaby troska o interes zbiorowy, jako troska o realne problemy. Kluczowym pojęciem w tym przypadku staje się całość.

Spróbuję podać kilka przykładów takich realnych problemów. Na pewno jest nim demograficzna przyszłość Polski z kurczeniem i starzeniem się narodu. Inne to: energetyka, emerytury, w tym kwestia ubezpieczeń rolniczych, edukacja, poziom nauki. Jak najbardziej realnym problemem jest miejsce Polski w Unii Europejskiej. Można podać wiele innych kwestii. Istotne jest tworzenie *consensusu* co do tego, że są to realne problemy. Wartością zatem nie jest, mówiąc językiem ojców założycieli Stanów Zjednoczonych, facka ani ochrona własnej tradycji czy tożsamości jako wartości, lecz wspólne poczucie

rzeczywistości, budowane wokół pytań i zagadnień, które są lub słusznie uchodzą za palące. Te problemy zachowują wagę niezależnie od tego, czy i jak dany polityk zachowa się na forum publicznym i kogo obrazi.

Odbudowa poczucia rzeczywistości może się dokonać tylko poprzez rozmowę pogłębioną argumentami, informacjami, licznymi badaniami, prognozami, szacunkami. Podkreślam: polityka jest przede wszystkim rozmową. Nie potrafię sobie wyobrazić polityki, która zostałaaby zredukowana do walki o władzę lub całkowicie zostałaby podporządkowana partykularnym interesom partii władzy. Taką praktykę mogłem, niestety, obserwować, gdy przez dwa lata byłem w parlamencie. Problem polityczny został sprowadzony do tego, kto mówi. W ogóle nie istniały problemy same w sobie, lecz liczyła się jedynie przynależność do „mojego” lub „obcego” ugrupowania. Walka partyjna całkowicie zdominowała działanie parlamentu, bez patrzenia na wagę problemów. Wszystko inne pozostawało na zewnątrz, jakby w ogóle nie istniało.

Polityka utraciła także moc kreacji. Parlament powinien być miejscem rozmowy, a nie tylko polem wykonywania zaleceń partyjnych i politycznej propagandy. Jednak debata sejmowa została całkowicie określona przez interesy partyjnych liderów. Nic innego nie mogło i nie może tam być przedstawiane. Dyskusja nie służy już wymianie opinii, lecz zaatakowaniu przeciwnika, udowodnieniu, że jest gorszy czy słabszy. Zasadne wydaje się zatem mówienie dziś o kryzysie parlamentaryzmu w Polsce. Parlament, jako instytucja reprezentacyjna, instytucja mediująca różne interesy, obumiera. Posłowie jako wolni przedstawiciele narodu i swego sumienia okazują się reprezentantami swoich partii, a często tylko sumienia czy planów swoich przywódców. Są częścią maszynki do głosowania. To też jest jedno z wielkich i podstawowych wyzwań przyszłej myśli liberalnej: jak odbudować powagę i autonomię parlamentu, jak dobierać liderów politycznych, by nie byli tylko postusznymi wykonawcami woli oligarchów oraz lokalnych interesów.

Szansą na zmianę sytuacji, odpartyjnienie polityki i nadanie jej stosownej powagi jest czy może być odbudowa centrum i powrót do projektu czystej polityki. Takie działanie może sprawić, że istotniejsze stanie się poczucie

wspólnoty interesów aniżeli fakcjonalizm czy stronnictwość. Odpartyjnienie polityki pozwoli też na przywrócenie pojęcia pluralizmu, tak ważnego w tradycji liberalnej, które zostało całkowicie zastąpione pojęciem mnogich interesów partyjnych. Nadzieja na zmiany naszej kultury politycznej i reguł walki partyjnej jest nader wątpliwa, ale nie przekreśla to potrzeby szukania projektu i formułowania celu dla liberalizmu.





Lena Kolarska-Bobińska

## Polityczne centrum według opinii wyborców oraz wyborów partyjnych

Na polityczne czy też „liberalne” centrum chciałabym spojrzeć przez pryzmat poglądów społecznych oraz preferencji wyborczych. Pojęcie „liberalnego centrum” ma bowiem względnie jasne konotacje, gdy bierze się pod uwagę myśl polityczną czy też system partyjny. Gdy punktem wyjścia są postawy i poglądy społeczne, określenie jego tożsamości staje się znacznie trudniejsze.

Poglądy wyznaczające polityczne czy społeczne centrum można ustalić dopiero po uprzednim określeniu biegunów opisujących skrajności istniejące w danym społeczeństwie. W takim ujęciu poglądy centrowe mieściłyby się pośrodku pewnej osi poglądów czy spraw, których te poglądy dotyczą. Pierwszym krokiem w tym kierunku jest więc ustalenie głównych linii podziału przebiegających w danym społeczeństwie, a następnie określenie przeciwstawnych poglądów. Konieczne zatem jest wyznaczenie kwestii oraz opinii, które są ważne i dzielą opinię publiczną. Na przykład w Polsce na początku transformacji wyróżniały się w tym względzie dwie kwestie: stosunek do systemu PRL-u, tzw. „dawnego systemu”, oraz stosunek do przemian społeczno-ekonomicznych, w tym do liberalnych reform i prywatyzacji oraz do państwa opiekuńczego. Należy także pamiętać, że politycy są istotnymi „graczami” w debacie publicznej i – co za tym idzie – wyrażane przez nich opinie są utożsamiane z hasłami określonych partii politycznych. Tym samym przyczyniają się oni do krystalizacji poglądów społecznych.

Na początku lat 90. na biegunach wspomnianej przeze mnie osi „stosunek do PRL-u i przeszłości” plasował się, z jednej strony, elektorat partii postkomunistycznej, a z drugiej – partii prawicowych. Wyborcy Unii Demokratycznej mieścili się w centrum tej osi. Z kolei elektorat tej partii plasował się na biegunie drugiej z wymienionych już osi podziału, wyznaczonej przez kwestie społeczno-ekonomiczne. Wyróżniał się on bowiem poparciem dla reform liberalnych i prywatyzacji. Na przeciwnym biegunie znajdowali się prosocjalni wyborcy Polskiego Stronnictwa Ludowego. Tym samym Unia Demokratyczna, a następnie Unia Wolności, choć określała siebie jako centrum sceny politycznej, ze względu na postawy wobec przemian należała do ugrupowań skrajnych.

Jednak ważne są nie tylko główne podziały w społeczeństwie, ale również dominujące w nim poglądy. W społeczeństwie konserwatywnym, bardzo religijnym, centrum będą tworzyły inne poglądy niż w społeczeństwie takim, gdzie przeważają ateści. W pierwszym przypadku w „centrum” znajdują się poglądy umiarkowanie konserwatywne, a nie powszechnie uważane za liberalne. Te ostatnie w społeczeństwie konserwatywnym obyczajowo często plasują się na jednym ze skrajnych biegunów. Co więcej, poglądy społeczne ulegają z czasem zmianie pod wpływem nowych wyzwań i debaty publicznej. Bywa, że idee dawniej określane mianem „skrajnych”, dziś już za takie nie są uważane. Niegdyś osoby popierające prywatyzację to był niewielki ułamek społeczeństwa, dziś stanowią one około jednej trzeciej badanych. Podobnie jest w przypadku Unii Europejskiej. Kilkanaście lat temu stosunek do UE istotnie dzielił poglądy elektoratów partyjnych. Po wejściu Polski do Unii poparcie dla niej bardzo silnie wzrosło i podziela je obecnie blisko 80 procent społeczeństwa.

Liczne badania opinii publicznej pokazują, że polskie społeczeństwo w zdecydowanej większości podziela poglądy prosocjalne oraz obyczajowo konserwatywne. W związku z tym osoby przyznające się do poglądów liberalnych zwyczajowo traktowane są raczej jako radykalne światopoglądowo i nie mieszczą się w środku naszej mapy politycznej.

Podobną sytuację mamy, gdy weźmiemy pod uwagę poglądy polskich respondentów na gospodarkę, podatki czy prywatyzację. Stosunek do tych kwestii będzie sytuował osoby opowiadające się „za” na skrajnym biegunie, który można określić jako prorynkowy. Drugie *extremum* wyznaczają przeciwnicy wolnego rynku albo osoby o bardziej prosocjalnym nastawieniu. Można je znaleźć zarówno wśród elektoratu prawicy, jak i wyborców Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Dzisiaj w Polsce trudno zatem – biorąc po uwagę te różne kryteria – utożsamiać poglądy liberalne z politycznym centrum.

Ustalając, czym jest polityczne czy społeczne centrum w Polsce, warto także wziąć pod uwagę samoidentyfikację badanych, ich określenie się jako osoby o poglądach prawicowych, lewicowych i centrowych. Taka samoidentyfikacja odgrywa ważną rolę, między innymi dlatego, że ułatwia wybór partii, na którą głosujemy. Osoby, które same określały swoje poglądy jako centrowe, w latach 2001–2003 wybierały dwie partie: Samoobronę i Platformę Obywatelską. Natychmiast nasuwa się pytanie: co te partie mają ze sobą wspólnego? Niewiele. Można przypuszczać, że część elektoratu Samoobrony udzielała takiej odpowiedzi na zadawane pytanie, ponieważ nie potrafiła określić swoich poglądów i miała sympatię do tej partii. Podobnie mogło być w przypadku części wyborców Platformy Obywatelskiej. Analizy potwierdzają, że w Polsce od 1989 roku około 20–30 procent badanych określa swoje poglądy jako centrowe. To duży elektorat i niejedna partia mogłaby wygrać, zdobywając poparcie tych wyborców. I faktycznie, wydaje się, że łatwo można „zagospodarować” ten elektorat, ponieważ wiele osób do niego należących po prostu nie potrafi określić swoich poglądów. Pytani w ankiecie, sięgają po najbezpieczniejsze czy najwygodniejsze wyjście – twierdzą, że mają poglądy centrowe. Problem polega na tym, że duża grupa osób tak właśnie określających swe poglądy nie ma zwyczaju głosowania. Nie uczestniczą w życiu publicznym, nie interesują się polityką i w konsekwencji nie potrafią określić swoich poglądów. Część respondentów pytana w badaniach o wybór partii, na którą chcieliby głosować, często wskazuje na jedną z podanej im listy. Jest to zwykle partia, która nie posiada wyraźnej tożsamości ideologicznej, ma powielany, „rozmyty” wizerunek.

Poglądy centrowe funkcjonują pomiędzy innymi graczami, nie są więc bytem samoistnym, o własnej, stałej tożsamości. Inaczej można było opisać centrum w latach 90., gdy istniała względna równowaga liczebna grup identyfikujących się z prawicą i lewicą. Obecnie poglądy społeczeństwa przesunęły się w prawo. Odmiennie niż w połowie minionej dekady lewica jest słaba: 11–15 procent społeczeństwa określa swoje poglądy jako lewicowe, z prawicą zaś identyfikuje się 30–35 procent społeczeństwa. Można zatem domniemywać, że dzisiaj, choć osoby deklarujące poglądy centrowe stanowią jedną trzecią wyborców, to centrum ma inny charakter – jest również bardziej prawicowe. Co więcej, same partie również zmieniają swoją retorykę i wizerunek. Przed wyborami stają się bardziej centrowe, chcą sięgnąć po szeroki elektorat. Bowiem, jak głosi często powtarzane stwierdzenie, wybory wygrywa się w „centrum”, bez względu na znaczenie tych słów. Partie w formie współzawodnictwa często sięgają po hasła czy język wykraczające poza poglądy swojego twardego elektoratu.

Wyborcy głosują na partie polityczne z różnych względów – identyfikacja ideologiczna oraz dopasowanie jej do profilu partii jest tylko jednym z wielu. Głosują ze względu na sympatycznych liderów lub nadzieje, które budzi nowość danej partii na scenie politycznej. I ze względu na sprzeciw wobec partii opozycyjnej. W poszczególnych partiach są osoby identyfikujące się z różnymi opcjami ideowymi. W Prawie i Sprawiedliwości oraz Platformie Obywatelskiej można znaleźć wyborców określających się jako prawica i takich, którzy identyfikują swoje poglądy jako centrum, a nawet na lewo od centrum. W Sojuszu Lewicy Demokratycznej znajdziemy osoby identyfikujące się z lewicą, a także z centrum. Elektorat danej partii może stawać się bardziej centrowy, prawicowy bądź lewicowy w zależności od zmian na scenie politycznej.

Ciekawy w tym względzie jest przypadek Platformy Obywatelskiej. Zmiana charakteru elektoratu tej partii, biorąc pod uwagę jej identyfikację, nastąpiła wraz z krystalizacją wizerunku partii. Jak już wspominałam, w latach 2001–2003 i później osoby głosujące na PO określały się przede wszystkim jako centrowe. Elektorat prawicowy identyfikował się natomiast przede

wszystkim z Prawem i Sprawiedliwością. Po wyborach wygranych przez Platformę w 2007 roku elektorat tej partii stał się wyraźniej prawicowy, choć przecież nie doszło w tym czasie do jakiegś radykalnej zmiany programowej. W 2008 roku 42 procent zwolenników tej partii określało swoje poglądy jako prawicowe, a 30 procent jako centrowe. Jeśli spojrzymy na całą grupę osób przyznających się do poglądów prawicowych, to w większości partią ich pierwszego wyboru była w 2008 roku Platforma Obywatelska. Na Prawo i Sprawiedliwość zagłosowaliby dopiero w drugim rządzie.

Prawdopodobnie elektorat identyfikujący się z prawicą, rozczarowany rządami PiS-u, przerzucił swoje głosy na Platformę. Będzie on starał się nadać tej partii bardziej konserwatywny charakter. Wędrujący elektorat wpływa więc na oblicze ideologiczne partii, do której trafi.

To stawia samą Platformę w skomplikowanej sytuacji. Słabnięcie PiS-u sprawia, że część jego elektoratu przejmuje Platforma, przesuając się tym samym w prawo tej partii. Jednocześnie PO stara się utrzymać w środku sceny politycznej, a nawet zerka na lewo, bo chce „zagospodarować” wyborców, którzy rozczarowani opuścili Sojusz Lewicy Demokratycznej. Taktyka ta przynosi rezultaty, skoro 32 procent badanych kojarzy PO z programem liberalnym, 20 procent z centrowym, 18 procent z prawicowym i 6 procent z lewicowym<sup>1</sup>. Równie rozmyty wizerunek posiada PSL, kojarzony równomiernie z programem centrolewicowym oraz prawicowym. Dużo wyraźniejsze oblicze ideologiczne mają PiS (50 procent – program prawicowy) oraz SLD (70 procent – lewicowy). Nasuwa się jednak pytanie, czy z czasem nie dojdzie do rozminięcia się oczekiwań coraz bardziej prawicowego elektoratu Platformy oraz planów samej partii, która konsekwentnie chce być w centrum. Często to pragnienie przejawia się niechęcią do podejmowania decyzji, które dookreślałyby ideologiczny profil PO. Na razie „zerknięcie” w prawo w kierunku elektoratu konserwatywnego oraz w stronę liberalnych wyborców przyczynia się do stabilnego poparcia dla tej partii.

Jak już zaznaczałam, po wyborach w 2007 roku spadło poparcie dla Prawa i Sprawiedliwości wśród osób o poglądach prawicowych. W tej

---

<sup>1</sup> Badanie GFK Polonia dla „Rzeczpospolitej”, wrzesień 2008.

sytuacji partia ta po swojej porażce zaczęła podnosić w debacie publicznej określone kwestie polityczne, z którymi była identyfikowana, chcąc w ten sposób odzyskać i ponownie zjednać sobie elektorat prawicowy. Wystarczy przywołać powrót w 2008 roku do pewnych tematów: wypowiedzi przywódców dotyczące problematyki lustracyjnej, zaostrenie sporu o rolę Lecha Wałęsy w historii czy wstrzymanie się przez Lecha Kaczyńskiego ze złożeniem podpisu ratyfikującego traktat lizboński. Dopiero gdy liderzy PiS-u przekonali się o nieskuteczności taktyki mającej na celu „zwarcie szeregów twardego elektoratu”, zaczęli zwracać się do elektoratu centrowego, a nawet lewicowego, podkreślając swoje prosocjalne nastawienie do zmian i reform proponowanych przez PO.

Jak pisze Piotr Zaremba: „PiS dał się odepchnąć od centrowych wyborców, jak łatwo uległ jednostronnej pokusie uprawiania Rydzikowego ogródka przy zaniedbaniu szansy na nabycie przestronnego parku, czyli pozyskania ludzi umiarkowanych, a taka jest zdecydowana większość Polaków”<sup>2</sup>. W centrum sceny politycznej panuje ruch: partie starają się zająć to miejsce na mapie bądź w wyniku różnych wydarzeń przesuwają się w kierunku biegunów. I to zarówno liderzy tych partii, tworzący jej image, jak i elektoraty.

Widać zatem, że gdy zmianie ulegają wyzwania stojące przed społeczeństwem i charakter debat publicznych, ma to wpływ na elektorat oraz system partyjny. Następuje wzajemne dostosowywanie partii do oczekiwań społecznych i swoich wyborców w postaci kreowania nowego wizerunku partii. Mamy też stale do czynienia z masową migracją elektoratu w poszukiwaniu tej jednej, „najlepszej” partii. Powoduje to dodatkowe rozchwianie związku profilu partii z profilem elektoratu. Pojęcie centrum można też definiować, odwołując się do partii obecnych na scenie politycznej.

Partie zmieniają swoje nazwy i miejsce na scenie politycznej. Często określają siebie jako „centrum”, choć program i hasła plasują je na jednym z biegunów sceny politycznej. Prowadzi to do konfuzji wyborców. Taka sytuacja dotyczyła głoszącej liberalne poglądy Unii Wolności. Partie ponadto,

<sup>2</sup> Piotr Zaremba, *Jaka opozycja?*, „Dziennik. Polska. Europa. Świat”, 10–11.01.2009.

obawiając się niechęci wyborców do radykalnych haseł i nazw, określają siebie jako „centrolewica” bądź „centroprawica”. Andrzej Rychard pisze nawet, że samookreślenie się przez partie jako centrowe służyło podkreśleniu ich dystansu do polityki i pozostałych graczy na scenie politycznej. Wiele partii aspirowało wówczas do miana „centrowych”. Były to tak różniące się ugrupowania, jak choćby Unia Wolności czy Polskie Stronnictwo Ludowe. Nie zawsze ów pęd wynikał z rzeczywistego centryzmu politycznego, rozumianego jako zajmowanie miejsca pośredniego między lewicą a prawicą. Bywało, moim zdaniem, i tak, że chodziło raczej o niską ocenę polskiej tak zwanej lewicy i prawicy, o dążenie do wyjścia poza ten układ i zaznaczenia, że nie uczestniczy się w źle ocenianej grze. Paradoksalnie więc niekiedy deklaracja o „byciu w centrum” nie wyrażała zamiaru pozostania pośrodku sceny politycznej, lecz dążenie do opuszczenia tej sceny<sup>3</sup>.

Pojęcia „lewica” i „prawica” również zmieniają swój charakter: bardzo zawęży się pole wyborów politycznych. Członkostwo w Unii Europejskiej i innych instytucjach międzynarodowych oraz globalizacja powodują, że wybór możliwych alternatyw i dróg zostaje znacząco ograniczony przez czynniki zewnętrzne. Decyzje podejmowane przez polityków lewicy i prawicy stają się coraz bardziej zbliżone, a programy partii – podobne. W Polsce wiele reform (takich jak prywatyzacja przedsiębiorstw, komercjalizacja służby zdrowia czy prywatne szkoły wyższe), a także adaptację do prawa i wymogów Unii Europejskiej realizowały od 20 lat zarówno lewica, jak i prawica, chociaż mówiły one odmiennymi językami o tych samych procesach i realizowały te postulaty w różnym tempie. Kierunek zmian był bardzo podobny, ponieważ wyznaczony był odchodzeniem od socjalizmu oraz przystępowaniem do struktur zachodnich i adaptacją do ich wymogów. Tym, co wyraźnie odróżniało partie, był opis rzeczywistości, stopień radykalności rozwiązań i tempo ich wdrażania oraz stosowny język.

Dlatego kluczowe stają się obecnie czynniki pozaideologiczne, różnicujące scenę polityczną: stosunek do tempa zachodzących zmian oraz język stosowany w polityce. Narastają lęki społeczne i można wymienić długą listę

---

<sup>3</sup> Andrzej Rychard, *Polska jedna czy wiele?*, Warszawa 2005.

obecnych strachów: różne kryzysy i podwyżki cen, społeczne radykalizmy i terroryzm, ruchy antydemokratyczne itp. Odpowiedzią na lęki może być język wzmacniający je i promujący radykalne rozwiązania bądź też przeciwnie – będący wyrazem tęsknoty społeczeństwa za umiarem i racjonalnością. Często bowiem centrowość utożsamiana jest z pragmatyzmem, a więc w pewnym sensie ze sposobem postrzegania rzeczywistości i rozwiązywania spraw. A także z aideologicznością. Oto jak opisywano dobór ludzi przez prezydenta Baracka Obamę: „Nowy prezydent otoczył się ludźmi centrum, takimi jak Daschle. W jego ‘zespolu gwiazd’ nie ma wojujących ideologów, wielkich i głośnych orędowników liberalnej sprawy”<sup>4</sup>.

Właśnie język, bardziej niż poglądy, wydaje się charakteryzować dziś centrum: cechują go ostrożność, pragmatyzm i umiar. Odzwierciedla on podział na partie posiadające wyraźny rys ideologiczny i postępujące się adekwatnym do tego językiem oraz partie odwołujące się do języka pragmatycznych rozwiązań. Nasuwa się jednak pytanie, czy biorąc pod uwagę burzliwość i dynamizm zmian zachodzących w sytuacji ekonomicznej, politycznej i międzynarodowej na świecie i w Polsce, sposób podejścia do wielu problemów i proponowane rozwiązania, czy też podziały ideologiczne, staną się ważniejszą niż inne osią podziałów politycznych.

---

<sup>4</sup> Piotr Gilbert, *Drużyna gwiazd środka*, „Rzeczpospolita”, 24–25.01.2009.



# Ireneusz Krzemiński

## Liberalizm i polityczne centrum

### 1

Socjologowie, gdy robią użytek ze swej wiedzy empirycznej, chętnie posługują się etykietkami: porządkują one złożone zależności i czynią obraz świata jasnym i zrozumiałym. Nie inaczej jest w życiu publicznym, zwłaszcza medialno-prasowym: tutaj etykietowanie, naznaczanie i stygmatyzowanie krzewi się nagminnie. Na podstawie raz przylepionych etykietek – identyfikuje się poszczególne osoby, przypisuje się im określoną rolę albo z góry zakłada się, że zareagują w określony sposób w jakichś okolicznościach. Mają przypisaną schematyczną tożsamość, wynikające z niej grupowe identyfikacje (więzi i przynależności), i biada temu, kto odstaje od tej etykietkowej praktyki. Co więcej, ta gra w tożsamości (zwłaszcza przypisane innym) w dużym stopniu kreuje pseudodebatę, z jaką mamy w Polsce do czynienia, nie tylko w życiu parlamentarnym czy partyjnym. Praktyka ta rozpowszechnia się na inne fora życia publicznego. Następuje przrzucanie się etykietkami, które symbolizują także grupki lobbystyczne, formacje polityczne oraz ideowe czy jakieś inne grupy. Same etykiety, ten symboliczno-pojęciowy słownik, za pomocą którego w masowej komunikacji i medialnej polityce dokonuje się opis świata, są tworamii różnego rodzaju, ale ich cechą charakterystyczną jest wysoce stereotypowa treść – schematyczna zawartość znaczeniowa.

2

Wśród rozmaitych etykiet obecnych w naszym życiu publicznym jest jedna szczególnie: liberalizm. W ciągu ostatnich 20 lat powstało jego wiele różnych, czasami osobliwych definicji. Liberalizm był, na przykład, utożsamiany z postawą „aspotecznego indywidualizmu” czy też „antyspołecznego egoizmu”. Koncentracja na własnym i doraźnym (co ma pewne znaczenie) zysku, bez oglądania się na innych, ale przede wszystkim dążenie do własnego powodzenia bez względu na jakieś ogólniejsze reguły, zasady regulatywne, długofalowe uzgodnienia i umowy, bez żadnego zobowiązania wobec wspólnoty społecznej, nawet narodowej – obraz takiej postawy można uznać za wypełniający znaczenie kategorii „aspotecznego indywidualizmu”, który utożsamiono z „liberalizmem”. Etykieta ta na samym początku przemian ustrojowych spełniała jednak pewne funkcje opisowe, gdyż zawarta w niej diagnoza istotnie opisywała schematycznie rzeczywiste postawy, choćby charakterystyczne dla tych kręgów polskiego społeczeństwa, które możemy określić, używając innej etykiety, rodem z PRL-u, jako „prywaciarzy”, a więc różnych drobnych wytwórców, „badylarzy”, rzemieślników, agentów, producentów podzespołów do produktów wielkiego przemysłu państwowego itp. Jednym słowem, chodzi o krąg przeradzający się w kapitalistów – spryciarzy, z których, istotnie, polscy liberałowie chcieli wykreować polską „klasę średnią”. Często ludzie z tego kręgu znajdowali się w zasięgu oddziaływania pierwszej polskiej partii liberalnej, jaką był, a na pewno taką się mianował, Kongres Liberalno-Demokratyczny.

W istocie ta postawa, całkiem wówczas rozpowszechniona, bynajmniej nie tylko wśród peerelowskich „prywaciarzy”, nie miała nic wspólnego z liberalizmem, jakby go nawet stereotypowo nie określać. Wszak w myśli liberalnej, i to tej klasycznej, z której cytowana „niewidzialna ręka rynku” odegrała tak naznaczającą rolę w dziejach polskiej transformacji ustrojowej, nigdy indywidualizmu nie utożsamiano z brakiem zasad i nigdy nie odłączało kalkulacji własnego zysku od powiązań, zależności i zobowiązań wobec całości gospodarczej i społecznej. Wręcz odwrotnie: etos „człowieka intere-

su” był sprawą fundamentalną dla rozważań twórców myśli liberalnej. Wszak w centrum ich zainteresowania leżało to, jak zorganizować społeczeństwo, aby złe cechy ludzkie, nade wszystko chciwość, bezwzględność i zawiść, ująć w karby, które nie hamując aktywności i egoistycznej przedsiębiorczości jednostek, pozwolą na wzmocnienie dobrych cech człowieka i przyniosą korzyść dla wszystkich, pomnożą dobro wspólne.

Treść etykiety: „liberalizm to a(nty)socjalny indywidualizm” (lub egoizm) powtarzano wtedy często, między innymi w Kościele katolickim, aż pojawili się ideolodzy katolicy i kościelni, którzy nawiązali do bardziej usystematyzowanej krytyki liberalizmu, równie tradycyjnej jak sam liberalizm. Ta etykieta wypracowana została w obozie prawicowym, gdzie doszedł do głosu kościelny, katolicki, a zatem – będący niemal tym samym w polskiej tradycji – endecki antyliberalizm. Wielkie zasługi w przywróceniu znaczenia narodowo-katolickiemu antyliberalizmowi mają różni nadawcy katolicy, na pewno ważną rolę odegrało w tym Radio Maryja<sup>1</sup>. Wiedza o treści ideologii jest zresztą bardzo często przekazywana nieintencjonalnie, nie przez autorów audycji, ale przez radiosłuchaczy, wypowiadających się na falach rozgłośni. Wydaje się jednak, że nie jest to wiedza zbyt powszechna, a samo Radio stara się wyraźnie przetworzyć ją i dostosować do warunków współczesnych. Stąd też, jak sądzę, można mówić o szczególnej, dość mętnej zbitce ideologicznej, prawicowej, gdzie elementy dawnej ideologii wiążą się ze stereotypami, kryjącymi się pod etykietkami, które powstały wraz z transformacją ustrojową, jak choćby powyżej opisana. Jednak ta dosyć wątpliwej jakości intelektualnej treść ideowo-polityczna zdaje się dochodzić wciąż do głosu, na przykład w słynnym przeciwstawieniu „Polska liberalna” – „Polska solidarna”, wyprodukowanym na rzecz kampanii wyborczej Prawa i Sprawiedliwości. Nawiązało ono do tego znaczenia „aspołecznych egoistów

---

<sup>1</sup> Dla porządku chciałbym dodać, że badanie treści audycji RM z sierpnia 2007 roku raczej skłoniło mnie do zmodyfikowania tezy o szczególnym znaczeniu przekazywania informacji o ideologii Narodowej Demokracji w rozgłośni ks. Rydyka. Jednak wcześniej, zwłaszcza w dyskusjach społecznych przed uchwaleniem nowej Konstytucji RP, gdy strona kościelna niestychanie intensywnie używała odwołania do tzw. „prawa naturalnego”, w audycjach rozgłośni bardzo często występowali specjaliści od ideologii endeckiej.

– liberatów”, które tu omówiliśmy. Tej stereotypowej, naznaczającej treści etykiety „liberał – aspołeczny egoista” z upodobaniem używa po dziś dzień – wprost lub domyślnie – prezydent Lech Kaczyński. Stereotypowa „wiedza”, jaką zawiera etykieta – symbol „liberała”, „liberatów” i „liberalizmu” – ma duże znaczenie polityczne i, jak pokazały ostatnie wybory, zarówno te w 2005, jak i w 2007 roku – ma także dużą moc mobilizacji ludzi do stosownych zachowań (antyliberalnych, rzecz jasna). Bardziej – by tak rzec – sofistykowane, uczone, acz krytyczne definicje „liberalizmu”, zwłaszcza bazujące na prawdziwej intelektualnej spuściźnie narodowo-katolickiej lub – ogólniej – katolickiej, czy nawet na chrześcijańskiej krytyce liberalizmu, definiują go w sposób zasadniczo zbieżny politycznie z ową etykieta.

Liberalnej partii nie udało się upowszechnić pozytywnej etykiety „liberalizmu” z równą mocą, jak upowszechniły się etykiety negatywne. Z całą pewnością mamy bowiem do czynienia także z pozytywnym etykietowaniem za pomocą słów „liberał” i „liberalizm”. Po części takie pozytywne skojarzenie naznaczające wywodzi się z przeszłości, ale bliższej, peerelowskiej, gdzie mianem „liberalny” określano wszelkie postawy, działania czy projekty władzy (*quasi*-)totalitarnej, które uwzględniały postulaty i potrzeby społeczne, dawały jakieś swobody albo cofały restrykcje. Mówiąc najprościej i lapidarnie, „liberalny” oznaczał zawsze przyzwolenie na większą swobodę społeczną i działań jednostek, a także – bardziej prodemokratyczną orientację, nie centralistyczną, nie autorytarną, ale rozszerzającą społeczny zakres i możliwości wpływu na podejmowane decyzje<sup>2</sup>. „Liberalny” więc to tyle, co dający swobodę, uwalniający spod ścisłej, zwłaszcza administracyjnej, policyjnej czy sądowej kontroli. Zapewne to znaczenie można rozwinąć i zostało ono rozwinięte, zarówno zresztą w pozytywny, jak i negatywny sposób: „liberalny” to byłby wedle tej kolejnej symbolicznej etykiety „niekarzący” za wyjście poza jakąś „normalność”, poza jakiś utarty zwyczaj i schemat postępowania, a nawet – poza zdefiniowaną moralnie, instytucjo-

<sup>2</sup> Zresztą podobnie używa się słowa „liberalny” w odniesieniu do takiej instytucji jak Kościół katolicki, gdzie zasada hierarchiczności zdecydowanie obowiązuje, mimo jej „przetamania” przez zasadę kolegialności, a nawet uczestnictwa wiernych w działaniu hierarchów. Są więc w niej „liberatowie”, którzy starają się omijać albo ograniczać hierarchiczność i autorytaryzm.

nalnie normę. Wtedy „liberalny” nabiera znaczenia „tolerancyjny” i „przyzwalający na odmienność”, może nawet na „dowolność”, znoszący niejako konieczność jednoznacznego „ładu” i subordynacji jednostek ludzkich czy grup do ustalonego i legitymizowanego „kodeksu norm”. Łatwo zgadnąć, że takie symboliczne, schematyczne zdefiniowanie „liberalizmu” i „liberała” od razu ma dwojakie, naznaczające odniesienia: raz jest programem pozytywnym, pełnym tolerancji i otwartości na inność, różnorodność i odmienność, a kiedy indziej – odwrotnie: takie zdefiniowanie „liberalizmu” czyni z niego jeszcze może nawet większego nieprzyjaciela dla tych wszystkich, którzy wierzą w określony, ściśle przypisany kodeks moralny, w określony i zobowiązujący światopogląd ideowy, religijny czy instytucjonalny i ustalony „porządek” społeczny, właściwy „ład”, który musi być przestrzegany i na straży którego trzeba postawić służby oraz stać samemu.

Do tego można dodać rozważania fachowców, aktualizujące hasło „liberalizm”. Dzięki analizie Jerzego Szackiego elementem powszechnej wiedzy na temat liberalizmu, przynajmniej liberalizmu jako programu politycznego polskich liberałów doby transformacji, stało się przekonanie o specyficznym „nachyleniu” tegoż liberalizmu. Jerzy Szacki zgrabnie pokazał w swojej książce<sup>3</sup>, że liberałowie tworzący partię liberalną Kongresu Liberalno-Demokratycznego oraz wprowadzający w życie (o, paradoksie!) wielki projekt przebudowy ustrojowej, na czele z wprowadzeniem (zbudowaniem!) instytucji wolnorynkowych, właśnie w dziedzinie systemu gospodarczego nade wszystko używali tradycji ideowej liberalizmu euro-amerykańskiego, natomiast wcale nie byli chętni, i to od początku przemian, do korzystania ze społecznego i moralnego programu politycznej filozofii liberalizmu. Z tradycji i myśli liberalnej używano głównie koncepcji ekonomicznych, pomijając właśnie koncepcje społeczno-kulturowe.

Z perspektywy czasu na, niezbyt mocną, co prawda, obronę takich działań można powiedzieć, że już wtedy etykiety i stereotypy antyliberalne były bez porównania popularniejsze niż głosy z liberalizmem społeczno-filozoficznym współbrzmiające albo choćby te, które używały pozytywnych

<sup>3</sup> Jerzy Szacki, *Liberalizm po komunizmie*, Kraków 1994.

etykietek „liberalizmu”. Zwłaszcza że „liberalizm” jako kolejna etykieta polityczna został bardzo szybko przechwycony przez środowisko „Gazety Wyborczej”, od początku prezentującej ambiwalentne stanowisko wobec „polskich” – czytaj: „gdańskich” – liberałów. Inni „liberałowie”, skupieni w Unii Demokratycznej, a potem w Unii Wolności, też nie byli rozpieszczani przez to niezmiernie wpływowe medium pierwszych 10 lat transformacji systemowej. „Gazeta Wyborcza” dość swobodnie i partykularnie żonglowała „liberalizmem”, „liberałami” i liberalnymi hasłami, co więcej, „liberalizm” nabrał przez to – przynajmniej w szerokich kręgach prawicowo-katolickich – szczególnego, kolejnego znaczenia: „liberalizm” nie dość, że był „za dowolnością”, to w dodatku był antynarodowo zabarwiony, był „obcy” (co także znalazło swój wyraz w słynnym przeciwstawieniu „Polski solidarnej” i „Polski liberalnej”). Ba, w kręgach bardziej radykalnych „liberał” urastał do miana „zdrajcy”, „sprzedawczyka”, kupczącego „narodowym majątkiem” i możliwościami własnego narodu, oddawanymi za bezcen – obcym, zwłaszcza „obcemu kapitałowi”. W ten sposób zresztą pozytywnie definiowany „liberalizm ekonomiczny” znajdował swój wyjątkowo wrogi, negatywny odpowiednik.

### 3

Jeśli teraz odnieść te rozważania do polskiej rzeczywistości politycznej, to widać wyraźnie, że gdy pojawiła się nowa kategoria, etykietująca scenę polityczną, czyli „centrum”, liberałowie – i rzeczywiści, i deklaratywni, i nawet stygmatyzowani – nie kwapili się, by uznać nowe symboliczne określenie za „swoje”, czyli „liberalne”. W tym kierunku jednak szły naciski wpływowych „władców sceny medialnej”: medialnych speców od porządkowania i etykietowania świata, którzy, na ogół z dobrą wolą, zauważali, że polityczni liberałowie niejako z definicji lokują się „w centrum”, czyli pomiędzy zdecydowanymi ekstremami polityki. W dodatku, zapewne, służyła temu całkiem stereotypowa wiedza, która wszak dzieliła politykę na „prawicę” i „lewicę”, pośrodku zaś, siłą rzeczy, lokowała „liberałów”.

Powstaje jednak tutaj problem intelektualny, czym mianowicie może być – realnie – „centrum”, czyli jakiś ideowo-polityczny punkt środkowy i pośredni wobec tego, co lokuje się na skrajnych punktach osi porządkującej postawy, poglądy i działania polityczne. Rzecz jasna wtedy, gdy zachowujemy schemat „lewica – prawica”. „Liberałowie” w Polsce nie palą się, aby dać się w tym schemacie zaliczyć do „centrum”, czyli „środka” między jednymi i drugimi. Nie chodzi im o „środek”, ale o przewagę negatywnych skojarzeń z hasłem „liberalizm”.

Można jednak przyjąć, że „centrum” jest czymś bardziej płynnym i zależy od tego, co stanowi jego opozycję albo – różne opozycje. Istnieje jednak jeszcze jeden problem. Nie bez kozery przypominam ciągle o wyjściowej, modelowej skali „lewica–centrum”. Opozycja ta znamionuje bowiem pewnego rodzaju uporządkowaną całość, swego rodzaju model „kompletnej” polityki – tak na przykład wykorzystywał oś lewica–prawica Lech Wałęsa (oczywiście nawiązując tutaj do słynnych określeń i działań Wałęsy, związanych z „lewą nogą” i „prawą nogą”; skądinąd, w realizacji, nie był to najcelniejszy projekt polityczny byłego prezydenta). Centrum istnieje pod warunkiem funkcjonowania sceny politycznej jako całości, nawet jeśli jej granice są rozmyte. W Polsce zaś wciąż mamy do czynienia jedynie z jej fragmentami. To jest, rzecz jasna, moja osobista teza, o której za chwilę. Ale jeśli tak, to taka sytuacja może tłumaczyć, dlaczego tak trudno dopracować się centrum w naszej polityce.

#### 4

Polityczne centrum bywa, oczywiście, utożsamiane z liberalizmem, w europejskiej przeszłości są tego świetne przykłady. W Niemczech partia liberalna, ale także program liberalny stanowiły element pozwalający łączyć prawą i lewą część sceny politycznej, i to z bardzo pozytywnym skutkiem dla rozwoju Niemiec oraz stabilizacji demokratycznej polityki niemieckiej. Nie jest to jednak wcale zbyt częste doświadczenie w historii, a zwłaszcza dzisiaj sytuacja wydaje się jeszcze bardziej skomplikowana. Dziś – i można

powiedzieć, że chyba od dość dawna – liberalizm przekształcił się w kulturę liberalną, stanowiącą fundamentalną jakość życia politycznego i społecznego zachodniego świata. Filozofia polityczna liberalizmu stała się raczej podstawą **całego** współczesnego systemu politycznego niż bazą ściśle rozpoznawalnej, określonej linii ideowo-politycznej.

Można oczywiście wyobrazić sobie także dzisiaj program polityczny, który starałby się zakorzenić podstawy kultury liberalnej w polskim życiu i w mentalności, czyli, mówiąc inaczej, wzmacniałby racjonalny dyskurs, pozbawiony przede wszystkim nienawiści oraz wykluczenia, piętnowania czy potępiania przeciwników. Musiałby też głosić pochwałę miękkich cnót, takich jak szacunek wobec prawa, czyli wobec wartości deklaratywnie obecnych w Polsce, lecz nieistniejących w powszechnej praktyce życia codziennego oraz w postawach i zachowaniach społecznych. Jednym słowem, można sobie wyobrazić w Polsce, inaczej niż w „starych” demokracjach Unii Europejskiej, program nawiązujący do klasycznego liberalizmu. W pewnym sensie byłaby to orientacja jakoś tradycyjna, może nawet historyczna, dowartościowująca tradycję liberalną w opozycji do piętnujących ją, rozpowszechnionych stereotypów.

Ale możliwość taka wydaje mi się mało prawdopodobna, zwłaszcza jeśli wrócimy do aktualnej rzeczywistości polskiego życia politycznego. Platforma Obywatelska jest uznawana, szczególnie przez użytkowników antyliberalnych etykietek, skrajnych aktorów życia publicznego, za partię liberalną. Sama odcina się od tej etykiety, bo nie wygląda ona dobrze w oczach opinii publicznej, ale jednocześnie pozostaje jej wierna, bo tradycja liberalna odgrywa w naszym kraju także pozytywną rolę. Znowu przypomnieć tu wypada dwa kręgi skojarzeń: po pierwsze, znaczenie hasła „liberał” uformowane w czasach PRL-u, po drugie – „liberalizm ekonomiczny” Jerzego Szackiego, z którym jednak wielu polityków PO (i nie tylko) dosyć istotnie się utożsamia. Program rynkowy i prorynkowa orientacja („niewidzialna ręka rynku”, pozytywnie waloryzowana), ograniczenie ingerencji państwa w mechanizmy sterujące rynkiem i gospodarką, niechęć do redystrybucji instytucjonalnej, państwowej, dochodów z gospodarki – to na pewno ważny



element, nieodmiennie obecny w myśleniu i programowaniu politycznym Platformy Obywatelskiej. Dlatego też w myśleniu Platformy o sobie samej widać pewną ambiwalencję: nie chce dać się nazwać „oficjalnie” liberalną, bo negatywne skojarzenie „liberalizmu” jest bez porównania bardziej powszechne niż skojarzenie pozytywne. Z drugiej jednak strony, PO chce pozostać przy liberalnej identyfikacji, przynajmniej jeśli chodzi o myślenie o gospodarce i działania polityczne wobec gospodarki.

Jednak określenie Platformy jedynie terminem „liberalna” nie jest, rzecz jasna, wyczerpujące. Wśród „gdańskich liberałów”, założycieli orientacji i partii liberalnej, istniał od początku, akcentowany przez Janusza Lewandowskiego (ale też i Jana Szomburga), „ton konserwatywny”, który właśnie wzmacniał „ekonomiczną” część przekonań liberalnych, a osłabiał to wszystko, co składa się na społeczno-kulturową tradycję liberalizmu.

Sytuacja jednak jest jeszcze inna, bo – poniekąd wbrew chęciom samej Platformy Obywatelskiej, wciąż negatywnie etykietowanej „liberalnie” – powstało nowe zjawisko, które musi być brane pod uwagę przez działaczy i przywódców partii (PO). O ile ulokujemy wszelkie „centrum” jako coś, co jest „pośrodku”, między opozycyjnymi „ekstremami”, o tyle wówczas trzeba uwzględnić dynamikę polskich postaw, postaw społeczeństwa. Jestem przekonany, że powstał obecnie specyficzny układ, w którym partia rządząca (czyli Platforma Obywatelska) jest istotnie – partią centrową. Poparcie dla PO oznacza bowiem zbiór określonych postaw i poglądów społecznych, w tym także ściśle politycznych. Wobec tego PO stanowi swego rodzaju reprezentację – zbiór może nie jednolitych, ale dających się opisać jako wyodrębniona całość postaw społecznych. A jedną ze wspólnych cech tego zróżnicowanego zbioru przekonań, podzielaną powszechnie i stanowiącą właściwie czynnik identyfikujący własne poglądy dla ich wyznawców, jest niechęć do dwóch radykalizmów czy też skrajnych punktów odniesienia: lewicowego i prawicowego, zwłaszcza reprezentowanego na sposób Prawa i Sprawiedliwości. W ten sposób wyraziciele tego – powtarzam – dosyć zróżnicowanego zespołu postaw i poglądów zarazem sami się określają albo dadzą się określić jako „zwolennicy centrum”, czyli poglądów nieradykal-

nych, „umiarkowanych”, zakładających postawę mediacji, ustępowania, gdy coś jest zbyt „ostre” dla innych lub zbyt bezwzględnie egzekwujące coś od jakiejś strony w sporze – konflikcie, a więc szukających właśnie „rozwiązań umiarkowanych”<sup>4</sup>. „Umiar” jest tu tożsamy z „centrum”, a skoro ta liczna rzesza ludzi wybiera i popiera rządzącą partię (czyli PO), to tym samym uznaje politykę PO właśnie za „centrową”, a jej skłonności za „umiarkowane”. Chcąc nie chcąc, tutaj, i to w pozytywnym kontekście, zbiega się „centrowość” z „liberalizmem” – który zresztą przeciwstawiony jest „ekstremie” (a więc kolejna etykietująca definicja „liberalizmu”!).

## 5

Polskie społeczeństwo jest najczęściej opisywane jako prosocjalne oraz konserwatywne. Warto jednak pamiętać o rozmaitych badaniach opinii publicznej, przeprowadzanych od końca lat 90. ubiegłego stulecia, zarówno przez CBOS, jak i chociażby zamawianych od lat przez dziennik „Rzeczpospolita”. Można było wyczytać w nich dziwne sprzeczności. Zasadniczo rysował się obraz społeczeństwa prosocjalnego, rozumującego według zasady „państwo ma nam dać”, ale z odpowiedzi udzielanych na pytania dotyczące kwestii bardziej szczegółowych wynikało, że respondenci w zaskakująco wysokim stopniu są skłonni akceptować rozwiązania liberalne. Chociaż nadal – gdy traktować sprawę ogólnie i analizować całościowe postawy wobec systemu politycznego i problemów społecznych – jest to opcja mniejszościowa, to jednak mikroanalityczne podejście, badające bardziej szczegółowe i konkretne postawy, pokazuje większe skomplikowanie problemu.

Podobnie bardziej skomplikowana wydaje mi się teza o konserwatyźmie polskiego społeczeństwa, którego podstawowymi wyznacznikami są tradycjonalizm i opieranie się na odtwarzaniu określonych postaw oraz poglądów. Można oczywiście przywołać przekonujące i ciekawe analizy

---

<sup>4</sup> Swoją drogą, ciekawa byłaby swego rodzaju fenomenologiczna analiza owego „umiaru” przeciwstawionego „ekstremizmowi” na przykładzie konkretnych dyskursów i dziejów demokracji.

Tadeusza Szawiela<sup>5</sup>, pokazujące silną dominantę konserwatywnych postaw w dzisiejszej Polsce. Niektóre z nich bazowały zresztą na analizie samolokowania się ludzi na przedstawianej skali lewicowość–prawicowość. Poza tym kontekstem, być może, przynajmniej dla pewnej części Polaków, ich orientacja ideowa mogłaby wypaść nieco inaczej. Dlatego ciekawe jest przyjrzenie się innym szczegółowym badaniom. Można bowiem zaobserwować określone tendencje zmian.

Na końcu tych nieco schematycznych rozważań powołałam się na badania poświęcone antysemityzmowi oraz stereotypom narodowym i na kolejne, dotyczące stosunku do odmieńców, mówiąc z angielska: do osób LGBT, czyli do różnych mniejszości seksualnych (Lesbijki, Geje, Biseksualiści, Transwestyci). Stopień potępienia tych grup, czyli owego konstruktu LGBT, jest wysoki, ale w ciągu kilku ostatnich lat w świadomości społecznej wyraźnie widać przesuwanie się ku coraz większej akceptacji lub tolerancji (co zresztą nie znajduje odzwierciedlenia w programach i działaniach polityków). Badania z ostatniego okresu<sup>6</sup> pokazały zarazem zaskakująco wysoką zależność niechęci społecznej i nietolerancji (antyliberalnej) od polityki. W czasie rządów PiS-u, kiedy publiczne manifestowanie wrogości do gejów i lesbijek oraz wszelkiej inności społecznej było na porządku dziennym, a postawy wrogości i nietolerancji były wzmacniane w języku oficjalnym polityków wówczas rządzącej koalicji, liczba napaści na przedstawicieli mniejszości była znacznie wyższa, niż to się okazało w 2008 roku. Podobnie wcześniej, przy bardziej tolerancyjnej polityce postkomunistów – rządziej deklarowano negatywne zachowania wobec przedstawicieli mniejszości. Inne uzyskane przez nas

---

<sup>5</sup> Wspomniany badacz mówił i pisał: „młodzi konserwatyści socjaliści” (rozmowa Danuty Zagrodzkiej z Tadeuszem Szawielem, „Gazeta Wyborcza”, 09.12.2004; Tadeusz Szawiel, *Wartości a transformacja, w: System wartości i norm społecznych podstawą rozwoju Polski*, seria: Wartości i Rozwój nr 2, Gdańsk 2005; Tadeusz Szawiel, *Spoleczne podstawy konserwatyizmu w Polsce*, „Europa” [dodatek do „Dziennik. Polska. Europa. Świat”], 09.02.2005).

<sup>6</sup> Chodzi mi o badania zrealizowane pod moim kierunkiem dla Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej w 2008 roku na temat społecznego położenia osób LGBT w Polsce. Badanie realizował zespół Pracowni Teorii Zmiany Społecznej IS UW w składzie (obok autora tego tekstu): Małgorzata Głowania i Marcin Józko, którego firma Lokalne Badania Społeczne realizowała badania terenowe. Raport ma się ukazać w 2009 roku.

wyniki wyraźnie wskazują, że polityczne wsparcie, jakiego udzielano bardzo wrogim postawom wobec osób LGBT za czasów rządu PiS-u oraz koalicji z Samoobroną i LPR-em, miało zgoła odwrotny skutek u licznych rzesz Polaków: wpłynęło na znacznie bardziej przychylnie potraktowanie mniejszości seksualnych i ich praw (a nawet niektórych żądań, na przykład regulacji prawnych stałych związków jedнопłciowych), niż bywało wcześniej. Wszystko to można potraktować jako efekt odcięcia się od „radykalizmu” wrogich postaw i orientacji społeczno-politycznych. W efekcie – możemy zaobserwować powszechniejszy wzrost tolerancyjnych poglądów i postaw.

Wydaje mi się, że podobnie jest także z innymi rodzajami postaw, które należą do katalogu spraw dzielących scenę polityczną i programy polityczno-partyjne. Dzięki temu właśnie Platforma Obywatelska stała się reprezentantem wszystkich, którzy nie są skłonni do przyjmowania radykalnych postaw, a zgoła w opozycji do silnych, negatywnych emocji, które się z nimi na ogół wiążą – stają się znacznie bardziej tolerancyjni wobec różnic i odmienności. Moim zdaniem w ten sposób bardzo szybko poszerza się strefa tych, którym przeszkadza „bicie” i łajanie feministek czy nawet okropnych „pedatów”. Tych, którzy może nawet nie myślą o Żydach najlepiej, lecz nie widzą potrzeby opowiadania o kolejnych spiskach czy w ogóle publicznego deliberowania na ten temat. Nie tylko powstało już polskie mentalne centrum, lecz przybiera ono na sile, czerpie pełną garścią z doświadczenia naszej obecności w Europie. Być może ten zespół wartości i poglądów nie jest do końca spójny ani dobrze programowo wyrażony, lecz stanowi trwałe zaplecze dla partii rządzącej, pod warunkiem, że ta będzie przeciwstawiała się radykałom i z lewa, i z prawa (o ile radykałów po lewej stronie znajdzie). Co więcej, najwyraźniej widać, że bez względu na ideową etykietkę, to „centrum”, ten „środek” nabiera cech charakterystycznych dla liberalnej kultury politycznej. Jak wyżej wspomniałem, wpływ klasycznej tradycji liberalnej na współczesną myśl, programy i kulturę polityczną polega wszak na tym, że podstawowe idiomy filozofii politycznej liberalizmu są czymś oczywistym i uwzględnianym przez **ogół** aktorów politycznych, ba, niekiedy nawet tych, którzy na aktualnym horyzoncie jawią się jako

„radykałowie”. Antyliberałowie polscy stanowią pod tym względem jakiś anachronizm. Jednak w Polsce walka o demokratyczno-liberalną kulturę polityczną nie jest czymś, w tej sytuacji, abstrakcyjnym. Siłą rzeczy to zespół poglądów i postaw społecznych właśnie „centrowych”, na modłę liberalnej kultury politycznej Unii Europejskiej – będzie wymuszał, jak sądzę, także większą skłonność do identyfikowania się rządzącej Platformy Obywatelskiej z owymi hasłami. W pewnym momencie trudno będzie bowiem uniknąć konieczności jasnego określenia, ideowego sprecyzowania własnej tożsamości politycznej.



## Janusz A. Majcherek

# Siła liberalnego centrum w syntezie różnych liberalizmów

Wbrew rozmaitym utyskiwaniom i głoszonym często opiniom o zanikaniu czy redukowaniu sfery polityczności oraz zacieraniu się różnic między lewicą a prawicą, w debacie publicznej krajów Europy i Ameryki możemy obserwować nie tylko liczne i rozmaite spory, w toku których ujawnia się całe *spectrum* opinii, ale dostrzegamy też coraz silniejsze antagonizowanie się głównych stanowisk politycznych. W wyniku tego następuje polaryzacja sił i obozów politycznych oraz narastają konflikty między nimi.

Najczęściej podawanym przykładem takich procesów jest Hiszpania. Tamtejszy podział polityczny, układający się według tradycyjnej linii prawica–lewica, można uznać za wręcz modelowy, gdyż tak wyraziste ideologicznie są stanowiska przeciwstawnych stron. Podobne procesy polaryzacji i antagonizacji, wyrażające się w głębokich konfliktach politycznych, zachodzą jednak w wielu innych krajach. W ostatnich wyborach parlamentarnych we Włoszech dwa silne obozy polityczne – prawicowy i lewicowy – zażarcie oraz bezpartonowo walczyły ze sobą (właściwie zaś zwalczały się wzajemnie), a ten pierwszy odniósł zwycięstwo ułamkiem procenta. Ostatnie francuskie kampanie wyborcze przebiegały pod znakiem zradykalizowanych polaryzacji i ostrych konfliktów politycznych. Nawet w Niemczech konfrontacja między prawicą a lewicą przybrała zażartą formę, choć tamtejsza tradycja tak zwanych wielkich koalicji sprawiła, że ten podział udało się złagodzić dzięki wypracowaniu prawicowo-lewicowego *consensusu*. Wreszcie

w największej demokracji świata, czyli w Stanach Zjednoczonych, polaryzacja polityczna jest wyrazista już od kilku kadencji prezydenckich, i choć w ostatnich latach manifestowała się głównie poprzez sympatię i antypatię do prezydenta George'a W. Busha, to stoją za nią też konkretne, wyraźnie odmienne poglądy polityczne, a nawet światopoglądy.

Podobne zjawiska możemy obserwować w Europie Wschodniej. Narzucającym się przykładem są Węgry, gdzie spór między prawicą a lewicą przybrał tak radykalną postać, że można nawet mówić o trwającej w tym kraju, z różnym nasileniem, zimnej wojnie domowej. W Czechach przez prawie rok po wyborach nie można było stworzyć rządu, ponieważ głosy wyborców podzieliły się równo między lewicę a prawicę i brakowało siły mogącej stać się koalicjantem, przechylającym szalę na korzyść któregoś ze stron.

Przy takich wyrazistych podziałach i silnych antagonizmach dwóch ścierających się bloków politycznych liberalne centrum ma małe szanse na zachowanie znaczącej pozycji, a nawet przetrwanie. W Polsce mamy jednak do czynienia z dziwnym paradoksem. Doszło tu mianowicie także do silnej polaryzacji, ale to właśnie ugrupowanie liberalne stało się jednym z jej biegunów i z ostrego, kilkietapowego konfliktu wyszło zwycięsko. Jak to było możliwe? Za sprawą największego – jak wielu sądzi – demiurga polskiej polityki, czyli Jarosława Kaczyńskiego. Rozmyślnie zarysował on ostry podział i wzniecił oparty na nim zażarty konflikt polityczny, ale nie według klucza prawica–lewica, gdyż uznał (słusznie zresztą), że ta druga opcja jest zbyt słaba, by uczynić z niej przeciwstawny własnemu biegun tego konfliktu. Wybrał inną linię podziału: prawica–liberalizm czy konserwatyzm–liberalizm, lub (używając jego języka) państwo solidarne–państwo liberalne, albo (określając to precyzyjniej) solidaryzm–liberalizm. W ten sposób doszło do nietypowej sytuacji, w której liberalizm, zwykle lokujący się w centrum pomiędzy głównymi (prawicowym a lewicowym) i antagonistycznymi blokami politycznymi, stał się jednym z głównym biegunów polskiego sporu politycznego.

Jarosław Kaczyński – póki co – przegrał walkę na tak przez siebie zakreślonym polu. Jednak nie stało się tak bynajmniej za sprawą silnego poparcia



Polaków dla liberalizmu. Ta opcja, podobnie jak w innych krajach, nie ma aż tak wielu zwolenników. Do jej zwycięstwa przyczyniła się odstręczająca praktyka polityczna Prawa i Sprawiedliwości. Znaczna część wyjątkowo licznie głosujących nie tyle opowiedziała się za Platformą Obywatelską, ile przeciwko PiS-owi. Inaczej mówiąc, mieliśmy do czynienia z podwójnym podziałem: na linii konserwatyzm–liberalizm oraz demokracja populistyczna–demokracja liberalna.

Jarosław Kaczyński w praktyce sprawowanej przez siebie władzy kwestionował podstawowe zasady demokracji liberalnej. Wszyscy, którzy zaprzeczają antydemokratycznym skłonnościom przywódcy Prawa i Sprawiedliwości, twierdzą, że nie występował on przeciwko demokracji jako takiej, lecz przeciw jej konkretnej postaci (w jego i ich opinii – zdegenerowanej), proponując inną odmianę demokracji (zwaną niekiedy przez nich republikańską). W istocie występował on przeciwko demokracji liberalnej, forsując „demokrację populistyczną”, jak można ją nazwać za Wojciechem Sadurskim. Ronald Dworkin określa taki system „demokracją statystyczną”, czyli (w uproszczeniu) taką, w której zdobywca większości głosów lub mandatów – w tym przypadku poprzez przeciągnięcie na swoją stronę Andrzeja Leppera i Romana Giertycha – może robić to, co uważa. Jego władza nie jest krępowana ani przez reguły konstytucyjne, ani przez formułę trójpodziału władzy, ani przez fundamentalną zasadę jej decentralizacji – wszystkie je Kaczyński odrzucał w praktyce i podważał w swej doktrynie politycznej. Są to zaś elementarne podstawy demokracji liberalnej, konstytucyjnej.

Obóz polityczny Prawa i Sprawiedliwości poniósł klęskę w 2007 roku, ponieważ udało mu się zjednoczyć przeciwko sobie dwie grupy. Tworzyły je nie tylko osoby, którym bliski jest liberalizm, bo ich liczba nie wystarczyłaby do pokonania PiS-u. Przeciwko tej partii, jej rządowi i liderowi zagłosowali także obrońcy demokracji liberalnej. Ujmując to teoretycznie, można powiedzieć, że doszło w Polsce do zsumowania środowisk opowiadających się za dwiema odmianami liberalizmu, które rozróżniał i analizował John Rawls: liberalizmu jako „rozległej doktryny światopoglądowej” (*comprehensive doctrine*) oraz liberalizmu jako formuły i podstawy demokratycznego *con-*

*sensu* politycznego (*overlapping consensus*). Obrońcy demokracji liberalnej połączyli siły ze zwolennikami światopoglądu liberalnego, by przeciwstawić się demokracji populistycznej i światopoglądowi ultrakonserwatywnemu. Czy w ten sposób ukonstytuowało się liberalne centrum?

Oczywiście, jak słusznie zauważa Lena Kolarska-Bobińska<sup>1</sup>, lokalizacja centrum zależy od usytuowania biegunów. Jeżeli to nie jest wyznaczone na stałe, wtedy i centrum może zmieniać swoje położenie, jest ruchome, a więc może być dynamiczne. Obecnie Platforma Obywatelska jest przesunięta w prawym kierunku, ponieważ do odniesienia zwycięstwa nad PiS-em musiała pozyskać część jego sympatyków, bardziej niż ona sama prawicowych, konserwatywnych. W tym samym czasie Jarosław Kaczyński wchłonął z kolei jeszcze bardziej od PiS-u prawicowy, konserwatywny, klerykałny elektorat LPR-u (czy ktoś jeszcze pamięta, że poprzednia partia Kaczyńskiego miała w nazwie słowo „Centrum”?). Obie główne i zantagonizowane partie przesunęły się więc w prawo w stosunku do naturalnego rozkładu politycznego *spectrum*. Jego lewa (czerwona) część pozostała odstonięta, niezajęta, niezagospodarowana (kontynuując tę fizyczną analogię, można powiedzieć, że w Polsce nastąpiło przesunięcie politycznego widma w stronę ultrafioletu). Dotychczasowa, tradycyjna lewica ma wielkie problemy z objęciem i zagospodarowaniem tego miejsca. Jednak ono pozostaje, nawet jeśli nieobsadzone i niezagospodarowane, co dla tej lub innej lewicy stanowi wyzwanie, ale i wielką szansę. Pewne procesy społeczne będą ją jeszcze zwiększać, dotyczy to zwłaszcza postępującej laicyzacji, będącej reakcją na dotychczasowe i obecne próby klerykałizacji państwa. Na osi klerykałizacja–laicyzacja wytworzy się nowa polaryzacja (do czego część lewicy mniej lub bardziej energicznie dąży) i PO będzie musiało się do niej jakoś ustosunkować, jeśli nie chce całej laickiej i laicyzującej się części społeczeństwa oddać obecnej lub przyszłej lewicy.

Należy przy tym wziąć pod uwagę rodzaj i profil grup społecznych, które wsparty w wyborach Platformę Obywatelską, zapewniając jej ostateczne zwycięstwo. Najistotniejsza okazała się młodzież – uczniowie i studenci

<sup>1</sup> Zob. wypowiedź Leny Kolarskiej-Bobińskiej w niniejszej publikacji, s. 129–136.

– z wielkomiejskich ośrodków. Młodzi w większości mają przekonania demokratyczno-liberalne i odległe od konserwatyzmu, często laickie, a niekiedy wręcz antyklerykalne. Poparli PO nie dlatego, że jest konserwatywne, lecz pomimo tego. Jest to więc poparcie warunkowe i może się okazać tymczasowe. Chcąc je utrzymać i nie dopuścić do przechwycenia tej grupy przez lewicę, Platforma musi się ustosunkować do prób klerykalizacji państwa i zmian rozłożenia akcentów w polskim katolicyzmie na bardziej fundamentalistyczne, co jest związane także z procesami zachodzącymi w całym Kościele za pontyfikatu Benedykta XVI. PO musi wypracować odpowiedź na to wyzwanie albo taka odpowiedź zostanie wymuszona. Reprezentantami Platformy w kwestiach stosunków państwo–Kościół oraz moralności publicznej nie mogą pozostać wyłącznie Stefan Niesiołowski i Jarosław Gowin oraz inni, wciąż podkreślający, że chodzą do kościoła i modlą się codziennie.

PO nie zdoła uniknąć konfliktów w tych kwestiach i na tej osi polaryzacji. Przywołam tylko jedno wydarzenie: to, jak Kościół zareagował na wypełnienie przez minister Ewę Kopacz jej administracyjnego obowiązku, czyli umożliwienie prawnie zagwarantowanego przeprowadzenia aborcji niepełnoletniej dziewczynce. Abp Tadeusz Gościowski, uchodzący przecież za kościelnego „liberata”, natychmiast ogłosił, że za ten czyn pani minister została automatycznie ekskomunikowana, ponieważ dopuściła się grzechu śmiertelnego. Pani minister, deklarująca się jako gorliwa katoliczka, na własnej skórze przekonała się, jaki kontekst moralno-ideowy stwarza Kościół dla działalności politycznej w Polsce. W tej sytuacji liberalne centrum musi się przesunąć nieco w lewą stronę, aby tym tendencjom się przeciwstawić, ale powinno zrobić to tak, by nie stracić jednocześnie swego prawego skrzydła, by nie osłabnąć. To będzie wymagało dużej politycznej zręczności.

Będzie to wymagało także politycznej kultury. A to kwestia równie istotna jak poglądy i przekonania. Sposób ich prezentowania jest w polityce równie ważny jak ich treść. Kultura polityczna, o jakiej tu mowa, to kultura liberalna, oparta na konsensualnym podejściu do konfliktów, antagonizmów i sporów. Wynik ostatnich wyborów można zinterpretować jako wyraz nie-

chęci Polaków do ich podsycania, wzmacniania i zaogniania, jako aprobatę dla konsensualnego modelu polityki i tęsknoty za nim. Jeśli ta interpretacja jest trafna, to znaczy, że większość Polaków jest zainteresowana nie tyle czy nie tylko tym, kto kogo pokona w walce politycznej, lecz kto i jaki zaproponuje kompromis, by wyniszczającej walki uniknąć. Aby być silnym, liberalne centrum musi wykazywać zdolność do inicjowania i zawierania kompromisów w wypracowywanej przez siebie formule. Liberalna kultura politycznego *consensu* i kompromisu wymaga przeciwstawienia się antagonistycznemu modelowi polaryzacji, zgodnemu ze schmittiańską formułą polityki jako szukania i zwalczania wroga, której hołduje intelektualne zaplecze Prawa i Sprawiedliwości.

Na koniec podsumujmy więc odpowiedź na pytanie: jakie liberalne centrum jest Polsce potrzebne? Można tę kwestię rozpisać na trzy pytania szczegółowe. Pierwsze: jakie liberalne centrum jest potrzebne po to, aby obywatele o liberalnych przekonaniach (liberalnym światopoglądzie) mieli dobrą reprezentację polityczną? Drugie: jakie liberalne centrum jest Polsce potrzebne, aby zaproponować coś istotnego i interesującego także pozostałym obywatelom, uwzględniając ich niekoniecznie liberalne przekonania, poglądy i potrzeby? Oraz trzecie: jakie liberalne centrum jest potrzebne Polsce jako krajowi i jego politycznym instytucjom? Moim zdaniem odpowiedź stanowi właśnie synteza liberalnej doktryny światopoglądowej, modelu liberalnej demokracji oraz liberalnej kultury politycznej. Nie tylko pozwoliłaby ona na uchronienie Polski przed politycznymi wojnami i wojenkami, ale także umożliwiłaby zaspokojenie oczekiwań większości obywateli.

Jerzy Szacki

## Gdzie jest dziś miejsce na liberalne centrum?

Z określeniem „centrum” (liberalne lub jakiegokolwiek inne) wiąże się nieuchronnie ten kłopot, że chodzi o coś usytuowanego **pomiędzy** dwiema skrajnościami, czego charakter zależy w znacznym stopniu od tego, jak przedstawiają się w danej chwili owe skrajności oraz czego dotyczy zasadniczy konflikt między nimi. Nie do pomyślenia jest przeto centrum jako takie, któremu dałoby się przypisać raz na zawsze coś więcej aniżeli Arystotelesowską wiarę w to, że „cnota to złoty środek między dwoma występkami”. Otóż niepodobna zdefiniować tej cnoty bez określenia, o jakie „występki” w danym wypadku chodzi. Znane z historii partie centrowe niekoniecznie są do siebie podobne, „centrystą” jest się bowiem zawsze w określonym kontekście. „Trzecia droga” może przebiegać nader rozmaicie, zależnie od okoliczności.

Kiedy przed dwoma mniej więcej wiekami pojawiła się po raz pierwszy trychotomia: lewica–prawica–centrum, sprawa przedstawiała się stosunkowo prosto: podziały na przeciwstawne sobie obozy polityczne były klarowne, bo sprowadzały się ostatecznie do takich dylematów, jak: „Rewolucja czy kontrrewolucja?”, „Postęp czy tąd?”, „Nowoczesność czy tradycja?”, „Zerwanie czy kontynuacja?” itd. Co więcej, na każdym biegunie poglądy na wszelkie w istocie tematy układały się w dość zgrabne syndromy, dzięki czemu, znając czyjś pogląd na jeden temat, można było przewidywać ze sporym prawdopodobieństwem poglądy na wszelkie inne polityczne (i nie

tylko polityczne) tematy. Kiedy wyraźnie było widać dwa krańce, nietrudno było wyobrazić sobie środek. Ewentualnie parę możliwych środków.

Truizmem jest twierdzenie, iż klasyczny schemat: lewica–prawica–centrum uległ od owego czasu znacznemu skomplikowaniu, jeżeli nie względnej dezaktualizacji. Bez zmiany pozostało z pewnością to, że lewica jest przeciwko prawicy, prawica przeciwko lewicy, centrum zaś przeciwko obu skrajnościom, poza tym jednak zmieniło się bardzo dużo, tak w poglądach ludzi poszczególnych obozów na takie czy inne sprawy, jak i w tym, jakie kombinacje poglądów (i haseł) są możliwe w obrębie każdego z nich. Wystarczy prześledzić porównawczo sprawę stosunku do demokracji, praw człowieka czy gospodarki rynkowej, aby uświadomić sobie rodzaj i skalę przesunięć.

W naszych czasach w bardzo wielu sprawach nastąpiło szczególnie wielkie materii pomieszenie i coraz trudniej uszeregować poglądy na jednej osi. Zawód polityka ma coraz mniej wspólnego z zawodem ideologa jako twórcy spójnej wizji świata, chociaż niejeden polityk wciąż tęskni do sytuacji, kiedy to głosowanie na jego partię mogłoby być zarazem aktem wielkiego wyboru światopoglądowego i opowiedzenia się za jakimś absolutem, który właśnie ta partia sobą reprezentuje. Takie sytuacje zdarzają się jednak coraz rzadziej. Widzą je raczej demagogowie niż analitycy.

Lewicy zdarza się sięgać po hasła tradycyjnie prawicowe (nacjonalizm), prawicy po hasła i środki tradycyjnie lewicowe (egalitaryzm); nie ma też nic dziwnego w zdarzających się raz po raz aspiracjach zarówno jednej, jak i drugiej do znalezienia się możliwie blisko centrum, albowiem ekstremizm cieszy się na ogół coraz gorszą sławą. W tym sensie słuszna jest konstatacja, że tożsamości tradycyjnych sił politycznych przeżywają okres niepewności, by nie powiedzieć: kryzysu. Polityk zdaje się potrzebować dziś chwytliwych haseł, nie zaś dobrze określonej i trwałej tożsamości ideowej.

Najbardziej rzuca się to w oczy w wypadku współczesnej lewicy, która rozpaczliwie chciałaby być prawdziwą lewicą, ale nie bardzo wie, co powinna w tym celu robić, poza przeciwstawianiem się prawicy. I odwrotnie. Ta ostatnia ma się wprawdzie na pozór znacznie lepiej, ale jej głównym spoiwem jest

antylewicowość, a zwłaszcza antykomunizm, chociaż coraz częściej wroga trzeba samemu tworzyć, odwołując się do historii, wspomnień i resentymentów, nie zaś do aktualnej sytuacji społeczno-politycznej. Ostrość niektórych sporów i obelgi, jakimi obrzucają się politycy, niekoniecznie świadczą o czymś więcej niż różnice doraźnych interesów i trwałość resentymentów. Programy częściej pochodzą od istniejących podziałów niż odwrotnie.

Czy w tych warunkach możliwy jest jakikolwiek „złoty środek” i czy w ogóle warto go szukać, skoro tak niepewne stały się tradycyjne układy odniesienia? I czy tym „środkiem” miałby być akurat liberalizm, skoro jego istotne elementy spotykamy dzisiaj w różnych punktach politycznego *spectrum*, mimo złożeń kierowanych pod jego adresem i z lewej, i z prawej strony? I co to właściwie znaczy: „być dzisiaj liberałem”? Zbyt długo zajmowałem się liberalizmem, aby umieć na to pytanie odpowiedzieć.

Powiedzieć „liberalizm” czy „liberalny” to prawie nic nie powiedzieć, gdyż było i jest wiele różnych liberalizmów, przy czym bynajmniej nie wszystkie dałoby się bez zastrzeżeń ulokować akurat w „centrum”, jako że na przykład liberalizm ekonomiczny mieści się nierzadko, acz niekoniecznie w Polsce, na politycznej prawicy. Mniejsza jednak o to, bo nie słowo jest w tym wypadku najważniejsze. I nie warto go używać, jeżeli nie wyjaśnia się zarazem, **jaki liberalizm** mamy na myśli, do jakiej tradycji liberalnej nawiązujemy i jakiej się sprzeciwiamy. Nikt nie jest po prostu liberałem, tak samo jak nikt nie jest po prostu socjalistą lub po prostu konserwatystą.

Pytanie zasadnicze to zawsze pytanie o **program**, a nie o wybór takiego czy innego „-izmu”. Nie chodzi o to, jaki sztyl się wybiera i do jakiego obozu chce się należeć, lecz o to, jakich rozwiązań się pragnie i jakich wartości chce się bronić. Dlatego, kiedy mowa o tym, jakie centrum jest Polsce potrzebne, skłonny jestem odpowiadać tak samo, jak odpowiadałbym na analogiczne pytania o lewicę czy prawicę: **potrzebne jest takie centrum, które ma spójny, przekonujący, długofalowy program**. Które potrafi nie tylko lepiej czy gorzej administrować, ale też rozbudzać społeczną aktywność i wyobraźnię. Które nie lęka się nazywania rzeczy po imieniu i wybierania rozwiązań w danej chwili niezbyt popularnych. Nie wystarcza mi, że centrum

jest wolne od skrajności, że nie popełnia błędów i głupstw popełnianych przez innych, że stara się nikogo do siebie nie zrazić i dla każdego poza nimi znaleźć miłe słowo.

Zdaję sobie sprawę z tego, że są to ogólniki i banały, a także z tego, że kryje się za nimi niejaki żal do partii pełniącej u nas obecnie obowiązki „liberalnego centrum”. A co do konkretów, to trzeba ich szukać nie w dyskusjach o tradycyjnym podziale sceny politycznej, lecz w dyskusjach, podczas których potrafi się o nim zapomnieć.



# Dyskusja

## Aleksander Smolar:

Łączenie „liberalizmu” z pojęciem „centrum” stwarza problem. Oba pojęcia należą do różnych porządków. Ale też nie widzę powodu, aby w ten sposób nie określać Platformy Obywatelskiej, bo jest ona najbliższa pojęciu partii centrowej (mimo że sama definiuje się jako „centrowo-prawicowa”). Dlaczego? Nieomal nie ma dziś w świecie partii, która z nazwy definiowałaby się jako liberalna, z nielicznymi wyjątkami, jak osławiona Liberalno-Demokratyczna Partia Rosji Władimira Żyrinowskiego – tyle że trudno ją uznać za reprezentantkę wartości liberalnych. Partie liberalne uciekają od wąsko pojmowanego programu liberalnego, ponieważ nie może on liczyć na popularność. W Platformie Obywatelskiej doszło nawet do dość ciekawego kompromisu między ideami przedstawiającymi w domenie publicznej cele PO (konserwatywne, socjalne, ale też chrześcijańskie) a tym, co reprezentuje sobą, mówiąc za George’em Orwelllem, „partia wewnętrzna”, czyli środowisko wywodzące się z Kongresu Liberalno-Demokratycznego. A rolę tej grupy trudno przecenić. O silnej komponentce liberalnej w Platformie świadczy nie tylko to, co się mówi, ale też to, czego się nie mówi. W tym przypadku ciekawa jest nieobecność problematyki państwa. Jeżeli już się ona pojawia, to jedynie w wymiarze negatywnym, na przykład państwo jest utożsamiane z biurokracją, rozrzutnością, nieefektywnością. Platforma

Obywatelska nie myśli i nie mówi o państwie jako o politycznej organizacji narodu. W debacie przed wyborami prezydenckimi w 2005 roku między Donaldem Tuskiem a Lechem Kaczyńskim, opublikowanej w jednej z gazet, pojawiła się na ten temat interesująca wymiana zdań. Po słowach Tuska, krytycznych wobec państwa, Kaczyński odpowiedział mniej więcej tak: „ja państwo uważam za wartość, podczas gdy ty za problem”. Są oczywiście ministrowie obecnego rządu, którzy podejmują ważne problemy funkcjonowania państwa, ale państwo nie jest w centrum uwagi. To nie jest jednak element programu ani głos partii.

Według mnie partie liberalne z zasady są centrowe i w ten właśnie sposób sytuują się na scenie politycznej we Francji, w Wielkiej Brytanii czy Niemczech. Nie stoi to w sprzeczności z uwagą Jerzego Szackiego, że liberalizm ekonomiczny zazwyczaj wiąże się z prawicowym wyborem politycznym. To prawda. Tylko warto się przyjrzeć, jaki jest to wybór. Czy sytuuje się on bliżej czy też dalej od centrum?

I ostatnia uwaga. Centrowość Platformy Obywatelskiej wynika po prostu z jej usytuowania na mapie politycznej. Zagrożenia dla niej pochodziły z dwóch stron: Prawa i Sprawiedliwości, z którym PO walczyło o elektorat prawicowy, oraz ze strony lewicy. Ta ostatnia, obecnie zdekonstruowana, mogła w przeszłości (i być może zdolna będzie to uczynić w przyszłości) odebrać Platformie część elektoratu. Obecnie PO przesunęło się na prawo. Jest to wynik logiki walki o głosy i wpływy z PiS-em, walki toczącej się w warunkach słabości lewicy. Platforma ma poczucie, że nie musi walczyć o centrolewicowy elektorat, bo ten i tak, nie mając w istocie wyboru, na nią zagłosuje.

### **Zdzisław Krasnodębski:**

Mam kłopoty z definicją centrum przedstawioną przez Ireneusza Krzemieńskiego czy Janusza A. Majcherka (można ją wyczytać także z innych publikacji obu autorów). Zaprezentowany przez nich zespół pojęć określiłbym raczej jako opisujący skrajną, a nie centrową postawę. W związku

z tym pojawia się problem: czy mamy do czynienia z rozbieżnością między samoidentyfikacją a realną postawą? Podobną rozbieżność odczuwałem zawsze w przypadku polskiej lewicy po 1989 roku. Trudno mi było uzgodnić nieustannie deklarowaną postawę prospołeczną z proweniencją Sojuszu Lewicy Demokratycznej, która w Polsce zawsze reprezentowała ludzi bogatych oraz przedstawicieli dawnej władzy komunistycznej. Z jednej strony, mamy do czynienia z lewicową retoryką czy samodefinicją, z drugiej – z realnymi treściami polityki.

Zaprezentowany przez Ireneusza Krzemińskiego i Janusza A. Majcherka zarys programu w polskiej rzeczywistości określiłbym raczej mianem bardzo radykalnego. Jednocześnie wysuwane są przez nich roszczenia, że taki program miałby wypełnić centrum sceny politycznej, być wyrazem umiarkowania. Mówiąc inaczej, dochodzi do znaczącej usurpacji: tak rozumiany liberalizm – a dobitniej mówiąc: jego propagatorzy – próbuje się usytuować poza zasadniczymi sporami politycznymi, jednocześnie w nich uczestnicząc, i to w wyrazisty sposób; obojętnie, czy jest to sprawa lustracji, prywatyzacji czy stosunku do Unii Europejskiej.

Jeżeli w ten sposób spojrzysz się na programy polskich przedstawicieli lewicy czy też ludzi uznających się za reprezentantów liberalnego centrum, to trzeba stwierdzić, że polskie centrum polityczne jest dziś reprezentowane przez prawicę. Nie jest to zresztą jakaś zaskakująca sytuacja. Lewicowy liberalizm spotyka się w zachodnich środowiskach uniwersyteckich, ale trudno go uznać za dominujący pogląd lub reprezentanta politycznego centrum. Owszem, jest to istotna i ważna tradycja intelektualna, produkująca ciekawe idee, jednak nie wypełnia ona na przykład obszaru między Partią Demokratyczną a Partią Republikańską w Stanach Zjednoczonych, lecz sytuuje się na lewo od głównego nurtu Demokratów.

### Andrzej Wielowieyski:

Chciałbym jednak przypomnieć, że liberalizm – może nie w tak skrajnym wydaniu – jest znaczącym czynnikiem politycznym, zarówno w Parlamencie

Europejskim, jak i w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy. To trzecia pod względem liczebności grupa, po ludowych chadekach i socjaldemokratkach. To jedynie drobna korekta, ale nasze zamieszanie terminologiczne wskazuje na wyraźną różną świadomość ideologiczno-polityczną w polskim społeczeństwie i w krajach dawnej Unii. Zapewne, jak mówił Ireneusz Krzeмиński, u nas także ona ewoluuje, zmienia się w związku z wchodzeniem w dorosłość kolejnych nowych roczników czy też dzięki bardziej intensywnym kontaktom z zachodnimi społeczeństwami. Ale to będzie długi proces.

W dyskusjach o obecnym stanie demokracji wciąż pojawia się jeszcze jeden fenomen: populizm. Dlaczego w ostatnich latach stał się tak popularny? Być może skłonności polityków z lewa i z prawa do szukania rozwiązań bardziej umiarkowanych stwarzają automatycznie pole do rozwoju skrajnych odczuć, aspiracji czy oczekiwań. Odruch populistyczny byłby zatem naturalną reakcją na sytuację, kiedy rządzący – deklaratywnie reprezentujący różne opcje polityczne – w rzeczywistości reprezentują umiarkowane, centrowe.

Ekspertki wskazują na jeszcze jedną przyczynę. Rosną oczekiwania materialne i kulturowe obywateli, natomiast wyraźnie spadają możliwości państwa w dobie dominacji wolnego rynku i globalizacji. Trwa walka o elektorat, jednocześnie większość obietnic składanych przy tej okazji nie jest dotrzymywana (bo też nie można ich dotrzymać). Następuje spadek prestiżu i wiarygodności głównych graczy politycznych. To musi pobudzać oczekiwania populistyczne i wymuszać na uczestnikach gry parlamentarnej zachowania populistyczne.

### Zbigniew Pełczyński:

Pozwolę sobie na wygłoszenie jednej uwagi. Polskie partie nie są partiami politycznymi w zachodnim znaczeniu tego słowa. Nazywam je na własny użytek „partiami balonowymi”, partiami, które są zawieszane ponad rzeczywistością. Nie są one – w przeciwieństwie do wielu ugrupowań w innych krajach – głęboko zakorzenione w społeczeństwie, w konkretnych grupach i ich interesach. Brak im osadzenia w tradycji. Według badań

przeprowadzonych przed kilku laty w Wielkiej Brytanii, 90 procent osób po raz pierwszy głosujących dokonuje takich samych wyborów jak ich rodzice. Sympatie wyborcze są przekazywane przez kolejne generacje. Trudno o podobnym zjawisku – co rozumiałe – mówić w Polsce. Jest jednak coś gorszego. Partie brytyjskie mają struktury. Masy partyjne dokonują wyboru liderów partyjnych. Mają na to realny wpływ. A jaki jest związek między członkami partii a liderami politycznymi w Polsce?

### Aleksander Smolar:

To prawda, ale trzeba pamiętać, że Wielka Brytania jest dość specyficznym przypadkiem.

### Janusz Rolicki:

Próbujemy jakoś zaszufładować naszą scenę polityczną. Podzielić ją na prawicę, lewicę i centrum. Tymczasem jest ona zupełnie zwariowana i z trudem poddaje się podobnym rozróżnieniom. Nie są one zresztą najważniejsze. Uważam, na przykład, że sukces Platformy i jej wielkość nie polegała na „prawicowości” czy „centrowości”, lecz na tym, że jest to partia zdroworoządkowa. Po dwóch latach ksenofobicznej polityki alternatywa w postaci Donalda Tuska i normalnego języka jego partii była niestęchanie atrakcyjna. Liczyłem też, że Lewica i Demokraci w wyborach parlamentarnych uzyskają nawet 20 procent poparcia. To nadałoby naszej scenie bardziej realistyczny charakter. Niestety, „choroba” byłego prezydenta przekreśliła tę szansę. I nadal poruszamy się po dziwacznym, nierealnym świecie, niczym bohaterka słynnej powieści Lewisa Carrolla.

### Andrzej Celiński:

Po pierwsze, chciałbym zwrócić uwagę Zdzisławowi Krasnodębskiemu, który raczył powiedzieć, że Sojusz Lewicy Demokratycznej to partia ludzi

bogatych. To nieuprawniona generalizacja. SLD – jak inne ugrupowania lewicowe, liberalne, prawicowe – grupuje różnych ludzi.

Po drugie, jeżeli prześledzi się sposób realizacji koncepcji różnych partii politycznych obejmujących rządy po 1989 roku – z wyjątkiem stosunku do prywatyzacji za czasów gabinetu Jana Olszewskiego oraz wybuchu odrodzeń antydemokratycznych w okresie sprawowania władzy przez Prawo i Sprawiedliwość – trudno dostrzec znaczące różnice. Co więcej, w samorządach wojewódzkich, powiatowych czy miejskich można znaleźć całkowicie dowolne koalicje polityczne. Liczy się więc uzyskanie większości, a nie wyrazistość programowa. A co proponują rozmaici intelektualści? Zastanawiają się nad rozmaitymi projektami politycznymi i nad tym, jak je dostosować do oczekiwań wyborców. Nad tym, jak sprawić, aby X czy Y zagłosował na daną partię. To nie jest dobra droga. Polityka wymaga *leadership*, ludzi, którzy czytają znaki czasu, ale także wychodzą naprzeciw, przewodzą, stają przed opinią publiczną. Taka polityka jest Polsce potrzebna. Bo tylko ona może rozwiązać najistotniejsze dziś problemy: wyposażyć ludzi w wiedzę potrzebną do sprostanania wyzwaniom konkurencyjnym, zwłaszcza ze strony krajów azjatyckich, oraz wynikającym z rozdarcia świata na „Północ-Południe”, na świat biednych i świat bogatych.

### Janusz Reykowski:

Podniesiony przez Zdzisława Krasnodębskiego problem, czy liberalizm można uznać za centrum, wydał mi się bardzo interesujący. W tym kontekście warto przywołać wypowiedź Pawła Śpiewaka. Jego charakterystyka liberalizmu utożsamia ten nurt, w znacznej mierze, z tym, co można określić jako „etos demokratyczny”. Czy znaczy to, że liberalizm zajmuje pozycje centrowe? To zależy, w jakim układzie odniesienia. W opozycji liberalizm–autorytaryzm ten pierwszy nie jest centrowy, tylko skrajny – zajmuje bowiem pozycję przeciwną w stosunku do stanowiska formacji dogmatycznej, nietolerancyjnej (na przykład takiej, którą reprezentuje Radio Maryja). Innymi słowy, utożsamianie liberalizmu z politycznym centrum nie zawsze jest

prawdziwe. Co więcej, zajmowanie stanowiska pośredniego (w centrum) w sporze o tak zdefiniowane wartości nie przynosi specjalnej chwały. Można jeszcze dodać, że liberalizm, w innym jeszcze rozumieniu, a mianowicie w rozumieniu ekonomicznym, także nie lokuje się w centrum. Najwyraźniej nie można twierdzić, że zachodzi konieczny związek liberalizmu z politycznym centrum. W różnych kontekstach to centrum może znajdować się w różnych miejscach. A więc nie ma też jednej odpowiedzi na pytanie: co to jest polityka centrowa? Taka odpowiedź zawsze musi uwzględniać kontekst historyczno-polityczny.

### Rafał Matyja:

Chciałbym jeszcze przywołać wielkiego nieobecnego całego panelu, czyli Unię Demokratyczną. Jeśli weźmiemy pod uwagę parlament jako przykład ukształtowania polskiej sceny politycznej, to UD zawsze była partią centrową. W najważniejszych sporach – aborcji, lustracji, reprivatyzacji – zawsze w środku. W pewnym sensie – patrząc z dzisiejszej perspektywy – Unię Demokratyczną można uznać za antytezę Platformy Obywatelskiej. Wymienię trzy punkty na poparcie tej tezy. Po pierwsze, w określonych wyborach Unia była elitarystyczna, Platforma zaś nie stroni od populizmu; na przykład dla Unii niemożliwa była koalicja z PSL-em, dla Platformy jest ona rzeczą oczywistą. Po drugie, kult państwa uprawiany przez Unię Demokratyczną można przeciwstawić – mówiąc najogólniej – ambiwalencji Platformy. Po trzecie, problem wewnętrznej dyskusji, o którym już mówił Paweł Śpiewak. UD aż do absurdu była partią rozmowy, ugrupowanie Donalda Tuska jest partią milczenia. Jeżeli zatem mówimy o zmianie postawy Platformy lub też o postulowanym powrocie tej partii do politycznego centrum, to czy ma to oznaczać wyzbycie się cech, o których przed chwilą wspomniałem, zmianę formuły tej partii?

### Janusz A. Majcherek:

Andrzej Celiński podniósł kwestię przywództwa. Jestem jak najdalszy od bagatelizowania tego problemu, jednak podczas naszej dyskusji rozmawiamy przede wszystkim o wyborach ideowych, a nie o problemach personalnych.

Zdzisław Krasnodębski uczynił mnie wyrazicielem skrajnej opcji. Nie chcę przypominać, ile razy można było podobne opinie przeczytać lub usłyszeć o moim oponentie. To dość jałowe przerzucanie się epitetami. Oczywiście, długo można prowadzić dyskusję o tym, kto reprezentuje postawy umiarkowane, a kto radykalne. Zawartość listy przedstawicieli jednej i drugiej opcji za każdym razem będzie zależała od tego, czy przyjmiemy punkt widzenia Kingi Dunin czy Dominika Zdorta. Dajmy sobie spokój z tymi epitetami!

### Ireneusz Krzemiński:

Ja także, jak mój poprzednik, mam problem z uwagą Zdzisława Krasnodębskiego. W jego wypowiedzi widać, jak następuje pomieszanie różnych porządków: własnych wyborów ideowych i opisu różnych opcji politycznych czy ideologicznych. Sam nigdy nie zidentyfikowałbym się, na przykład, z centrum politycznym, o ile nie określono by, co to konkretnie znaczy. Co innego jest jednak ważniejsze: Zdzisław Krasnodębski identyfikuje mnie ze stanowiskiem, które starałem się opisać – przyznaję, że życzliwie, jednak nie jest to tym samym deklaracją politycznej identyfikacji. Sam ten opis nazywa w dodatku „skrajnym stanowiskiem”, co świadczy o tym, że zaliczył mnie do politycznych przeciwników. Potwierdza to tym samym, że przebieg naszej dyskusji zgodny jest z diagnozą Pawła Śpiewaka o zaniku języka polityki oraz o rozpadzie debaty publicznej. Debata bowiem wymaga przyjęcia choćby minimum wspólnych pojęć oraz kategorii – przy oczywistym zachowaniu zróżnicowania politycznego, czyli, inaczej mówiąc, chodzi o funkcjonowanie wspólnego języka dostatecznie bogatego w kategorie, pojęcia, odczucia i zapewniającego efektywną komunikację, a nie na tyle ograniczonego,



by każdy odmienny od własnego punkt widzenia ujmować w kategoriach przeciwników politycznych. Ale, poza wspólnym językiem, konieczna jest też wola i chęć rozmowy.

Tak się dzisiaj dzieje w Polsce i tak się stało w naszej debacie: nie ma ani troski o wspólny język, ani woli zrozumienia stanowisk bez kwalifikowania ich i oceniania jako deklaracji politycznych. Jakiegokolwiek stanowisko myślowe, ideowe od razu traktuje się jako opowiedzenie się polityczne: z nami czy przeciw nam? Od razu zatem każda wypowiedź i jej autor muszą mieć przylepioną polityczną, wręcz partyjną, łatkę. Dlatego też u nas trwają równoległe monologi, poświęcone różnym aspektom ważnych spraw, są podejmowane indywidualne próby porządkowania rzeczywistości, jednak te wszystkie głosy nie układają się w dialog. Więcej, właściwie przestaliśmy ze sobą rozmawiać, bo rozmowa służy szybkiemu zaklasyfikowaniu rozmówcy: „nasz” czy „nie nasz”, a nie uzgodnieniu jakiegoś, w miarę wspólnego, stanowiska czy choćby poglądu.



# Aleksander Smolar

## Prawica, lewica, centrum...

Charles Péguy, francuski pisarz i filozof, zauważył przed stu laty, że jeżeli ktoś kwestionuje sensowność podziału na lewicę i prawicę, to wiadomo, iż jest człowiekiem prawicy. Timothy Garton Ash z kolei ponad 20 lat temu pisał: gdy ktoś z opozycji demokratycznej w Europie Środkowej twierdzi, że podziały na lewicę i prawicę we współczesnym świecie są anachroniczne, a złożoności współczesnej polityki nie da się opisać pojęciami sprzed ponad 200 lat, to znaczy, iż te słowa wypowiada człowiek lewicy. W obu przypadkach odmowa nazywania była tak naprawdę ucieczką przed stygmatyzowaniem, podejmowaną przez osoby reprezentujące orientację znajdującą się w danym okresie w defensywie.

Jednak problem ucieczki przez nazywaniem nie jest czysto psychologiczny czy też ideologiczny. To oczywiste, że pojęcia lewicy i prawicy zmieniały się w czasie. Jeszcze mniej jednoznaczne było pojęcie centrum. Całe pole zajmowane przez politykę przesuwano się na lewo lub też na prawo. A i odległość między przeciwnymi opcjami wydłużała się lub też ulegała radykalnemu skróceniu.

Można w uproszczeniu powiedzieć, że w demokratycznej Europie od czasu wielkiego kryzysu lat 30. aż po początek lat 70. ubiegłego stulecia polityka była zdominowana przez lewicę. Ta dominacja intelektualna – choć niekoniecznie polityczna – była w dużej mierze wynikiem wielkiego kryzysu

w trzeciej dekadzie XX wieku, efektem zachwiania wiary w samoregulacyjne funkcje rynku, fascynacji Związkiem Sowieckim (w tym – sowieckim planowaniem), popularności myśli Johna Maynarda Keynesa, wreszcie – skutkiem uformowania się nowoczesnego państwa dobrobytu. Do tego doszła kompromitacja wielu partii prawicowych w wyniku ich związków z siłami skrajnymi po prawej stronie i z powodu wysuwanych oskarżeń o kolaborację lub związki ideowe z nazizmem oraz faszyzmem. Miejsce prawicy zajęła w istocie bardziej centrowa chrześcijańska demokracja.

Wraz z końcem trzydziestoletniej powojennej koniunktury, pierwszym kryzysem naftowym, pogłębiającą się nieefektywnością państwa dobrobytu, wzrostem roli klasy średniej i spadkiem wpływów klasy robotniczej weszliśmy w epokę dominacji ideowej prawicy: ekonomicznie neoliberalnej i kulturowo konserwatywnej. Nawet lewica przesunęła się na prawo wraz z polityką gospodarczą prowadzoną przez Ronalda Reagana i Margaret Thatcher oraz z reakcją na kulturową i obyczajową rewoltę lat 60. Istotny wpływ miał także cień, jaki położył na całą lewicę, również w krajach demokratycznego Zachodu, upadek Związku Sowieckiego oraz rozkład partii komunistycznych.

Bardzo różnie ocenia się polityczne skutki obecnego finansowego i ekonomicznego „trzęsienia ziemi”. Jedni szczerze wierzą w głęboką reformę kapitalizmu i gospodarki globalnej. Inni są przekonani, że nie dojdzie do rewolucyjnych zmian, natomiast zostaną wprowadzone silniejsze mechanizmy kontrolne systemu bankowego. Można też spotkać opinie, że zmierzamy ku pewnej syntezie – zarówno ekonomicznej, jak i kulturowej – dwóch faz poprzednich: lewicowej i konserwatywnej; syntezie, która da się odnaleźć w języku prezydenta Baracka Obamy. Ale tak naprawdę o dalszym przebiegu obecnego kryzysu czy o jego konsekwencjach nic jeszcze nie wiemy.

W ostatnich dziesięcioleciach zachodziły istotne zmiany zawartości samych pojęć „lewica” i „prawica”. Trudno też przewidzieć ich dalszą ewolucję. W nieodległej przyszłości wielkie pęknięcie polityczne może przebiegać wzdłuż linii oddzielającej zwolenników otwartości, globalizacji i multilatera-

lizmu od opowiadających się za introwersją, lokalnością, protekcyjnalizmem i unilateralizmem. Zasadnicza linia podziału może być określana przez stosunek do państwa narodowego, przeciwstawiając **kosmopolitów i patriotów**. Po jednej stronie kosmopolici, którzy ze względu na swoje wartości, kompetencje intelektualne i językowe wszędzie czują się dobrze. Bez obaw patrzą na integrację Unii Europejskiej, na procesy globalizacji w świecie, widząc przede wszystkim zalety szerokiego otwarcia na świat okien i drzwi. Ich bazą społeczną jest ta część społeczeństwa, która korzysta na procesach integracji i globalizacji, na więziach z szerokim światem. Z drugiej strony są patrioci, czyli ta część elit, które ze względu na swoje kwalifikacje i wykształcenie, ale też – co ważne – pasje ideowe, jest przywiązana do narodowej formy istnienia wspólnoty politycznej i kulturowej. Ich bazą są grupy społeczne, które można nazwać *glebae adscripti* („przypisanych do ziemi”) – by posłużyć się językiem z innych czasów. Obecnie ową „glebą” są: język narodowy, brak znajomości języków obcych, ograniczenia kompetencji, nienadążanie za innowacjami technologicznymi, odmowa globalnej czy choćby regionalnej konkurencji, wykonywanie zawodów, które wiążą człowieka z konkretnym miejscem, ale również przywiązanie do tradycyjnych norm społecznych. Przy tym podział ten przecinać będzie lewicę i prawicę. Dla kosmopolitycznej lewicy podstawowe problemy to ekologia, rozpowszechnianie broni jądrowej, niesprawiedliwy podział bogactwa i dochodów. Dla kosmopolitów prawicy – będzie to przede wszystkim problem obalenia granic dla wolnego rynku. Patriotci z lewa myślą o emancypacji warstw niższych, nalegają na ochronę pracy przed zagraniczną konkurencją. Patriotci prawicy chcą ochraniać swój kraj przed groźbą obcych potęg oraz innych grup etnicznych, napływających z zagranicy. Patriotci z obu stron utrzymują, że demokracja może istnieć tylko w ramach państwa narodowego. I tylko ona może stanowić zabezpieczenie przed antypolitycznymi zakusami merytokratycznych elit globalnych czy choćby europejskich.

Można też kreślić inne hipotetyczne linie podziałów: między religijnymi i ideologicznymi zelotami a ateistami i moralnymi relatywistami, między indywidualistami a kolektywistami, między tymi, którzy jako priorytet sta-

wiąją problem wolności indywidualnych, a tymi, którzy będą kłaść nacisk przede wszystkim na problemy bezpieczeństwa. A może dominować będzie przeciwstawienie polityki potęgi i rozwoju – „polityce życia”, w której dominujące miejsce zajmą kwestie środowiska, stylów życia, zdrowia, starzenia się, wreszcie tożsamości.

Ostatnie dziesięciolecia były czasem konfrontacji działań zbiorowych i interesów jednostek. Na szeroko pojętym Zachodzie indywidualizm w dużym stopniu zwyciężył. Wola wykorzystywania państwa do przeprowadzania zasadniczych zmian w społeczeństwie zdecydowanie osłabła. Nowe cele utożsamiane z pojęciem równości odwołują się bardziej do praw indywidualnych niż do woli ekonomicznej restrukturalizacji czy solidarności społecznej. Czy obecny kryzys oraz wzrost tendencji protekcjonistycznych mogą oznaczać odwrócenie tej tendencji w konfrontacji wspólnoty i jednostki?

Trudno powiedzieć, jak głębokim zmianom ulegną polityczne tożsamości lewicy i prawicy, które być może przetrną w poprzek dotychczasowe podziały. Pewne istotne zmiany w organizacji przestrzeni politycznej krajów demokratycznych można było zresztą dostrzec od lat 90. XX wieku. Wyrażają się one w zamazaniu ideowych różnic partii odległych od siebie w przeszłości oraz w porzucaniu tradycyjnych, jednoznacznych tożsamości na rzecz „patchworków”, połączeń idei czerpanych z różnych historycznie i politycznie źródeł.

### Dominacja politycznego „patchworku”

Donald Tusk wielokrotnie mówił, że Platforma Obywatelska stanowi swoistą syntezę liberalizmu, konserwatyzmu i troski społecznej. Twierdził on nawet w wywiadzie dla „Polityki”<sup>1</sup>, iż za granicą gratulowano mu pewnej awangardowości tego połączenia w obrębie jednej partii. Można odnosić się sceptycznie do tej ostatniej sugestii. Jeżeli spojrzymy z dzisiejszej perspektywy na wielką debatę w kręgach lewicowych lat 90. i ówczesną modernizację

---

<sup>1</sup> *Nowe exposé* [z Donaldem Tuskiem rozmawiają Jerzy Baczyński i Janina Paradowska], „Polityka”, 04.10.2008.

lewicy pod hasłem „trzeciej drogi” reprezentowanej przez Billa Clintona, Tony’ego Blaira i Gerharda Schrödera, to zobaczymy, że w istocie była to dyskusja o wyjściu poza opłotki tradycyjnych lewicowych identyfikacji oraz o dążeniu do znalezienia nowoczesnej syntezy wartości lewicowych z łaodem liberalnym i elementami wrażliwości konserwatywnej. Wielu obserwatorów zaskakiwał fakt, że mimo klęski komunizmu, rozkładu tradycyjnych form państwa dobrobytu w latach 90. oraz upadku inspirowanej przez lewicę polityki rozwojowej w Trzecim Świecie w wyborach nie zwyciężyła prawica, lecz niemal wszędzie dominowała lewica.

Co spowodowało, że mimo wielkiego sukcesu polityki Margaret Thatcher i Ronalda Reagana to lewica przejęła wiele z ich dziedzictwa, a prawica po 1989 roku sromotnie przegrywała kolejne wybory: w Stanach Zjednoczonych, we Francji, w Niemczech, Wielkiej Brytanii i w większości innych państw europejskich? Na pewno, jak pisała Anne Applebaum w ciekawym tekście *The Paradox of the Fall of the Berlin Wall*, opublikowanym dekadę temu<sup>2</sup>, ważną rolę odegrały kres zimnej wojny i osłabienie siły antykomunizmu jako czynnika mobilizującego i integrującego prawicę. Ważnym czynnikiem było również, jak się wydaje, to, że lewica, przesuwając się ku centrum, skutecznie odbierała przestrzeń zajmowaną dotychczas przez prawicę, spychając tę ostatnią na pozycję, gdzie dominował moralny radykalizm oraz obyczajowy paternalizm.

W ostatnich latach sytuacja zasadniczo się zmieniła. Lewica wszędzie ustępuje pola. Choć być może zwycięstwo Baracka Obamy oraz obecny wielki kryzys zapowiadają początek nowego cyklu. Widzimy w każdym razie zjawisko modernizacji prawicy europejskiej, której styl pod wieloma względami przypomina to, co stało się przed 10 laty z lewicą. Przykładów najbardziej wyrazistych dostarczają Nicolas Sarkozy we Francji i konserwatyści brytyjscy Davida Camerona w Wielkiej Brytanii. Prezydent Francji bez najmniejszych zahamowań sięga do ideowego dziedzictwa, proponowanych polityk, a także po ludzi związanych dotąd z lewicą i centrum. Stara się

<sup>2</sup> Anne Applebaum, *The Paradox of the Fall of the Berlin Wall*, „Intellectualcapital”, 17.12.1998. Autorka przepowiadała długie lata rządów lewicy jako konsekwencję zmian 1989 roku.

wytworzyć nowy rodzaj pragmatycznej politycznej syntezy dla otwartej prawicy. Praktyka rządzenia Sarkozy'ego nie ma ideowej podbudowy, jest wyrazem temperamentu, wycucia jednej w istocie osoby. Trudno więc szukać tutaj wzoru.

Przykład brytyjskich konserwatystów jest pod tym względem bardziej interesujący. Po wielu latach kryzysu zmierzają oni ku władzy z nowymi ideami. Centralna debata polityczna XX wieku dotyczyła roli państwa, wolności indywidualnych, równości... W centrum debaty nowego stulecia znajduje się problem jakości życia. To oznacza, że gospodarka traci centralne miejsce w polityce. Można powiedzieć słowami jednego ze strategów konserwatystów: „Polityka, kiedyś ekonomocentryczna, musi dziś stać się socjocentryczna”. Z kolei David Cameron zaznacza: „wolności indywidualne znaczą niewiele, jeżeli społeczeństwo ulega dezintegracji. Teraz w centrum naszej uwagi jest rodzina, wspólnota sąsiedzka – jednym słowem społeczeństwo”. Obecni brytyjscy konserwatyści nie starają się jednak ani kontrolować, ani też uszlachetniać dusz obywateli. Chcą, aby państwo sprzyjało rozbudowie gęstej sieci więzi społecznych. Pragną, aby widziano w nich partię społeczeństwa, partię zdecentralizowanych, organicznych powiązań, a nie stronnictwo centralizacji państwa, mechaniczycznej odgórnej kontroli. Cameron opisuje nawet nowy ruch globalny, obejmujący partie centrowe w Szwecji, Kanadzie, Australii, Francji, Niemczech, Czechach, Kalifornii i Nowym Jorku (podziwia on politykę Arnolda Schwarzeneggera i Michaela Bloomberga).

### Problemy z naszymi partiami

Nasz system polityczny ma niecałe 20 lat. Trudno nie dostrzec – na tle naszego regionu i całej Europy – nadal jego poważnych anomalii. Jednym z poważnych źródeł słabości naszej polityki była w polskiej historii siła masowego ruchu „Solidarności”. Powstanie w 1989 roku potężnego bloku solidarnościowego umacniało zarazem jego antytezę, czyli wywodzący się z czasów PRL-u blok postkomunistyczny.



Uformowanie się obu bloków nie miało klarownych źródeł ideowych – dzieliły je historia i emocje. W obu formacjach można było odnaleźć liberatów i nacjonalistów, indywidualistów i kolektywistów, socjalistów i konserwatystów (oczywiście różne proporcje tych postaw wśród przedstawicieli „Solidarności” i spadkobierców dawnej władzy komunistycznej). W istocie oba bloki stanowiły przedstawicielstwo dwóch społeczeństw: jeden reprezentował świat opozycji PRL-owskiej i afirmacji nowej Polski, drugi zaś – społeczeństwo PRL-u, nostalgię za odchodzącym światem, strach przed zmianami, ale również obawę przed możliwą dyskryminacją. Choć odczuwane związki z PRL-em nie oznaczały kwestionowania instytucji demokratycznych ani też odzyskanej pełni suwerenności kraju. Te dwa bloki stopniowo murzały, rozpadały się – blok sierpniowy niemal natychmiast, lewica po sprawie Rywina – ale w istocie pozostawały punktami orientacyjnymi aż do wyborów w 2005 roku. Paradoksalnie to Prawo i Sprawiedliwość, eksponując przeciwstawienie Polski liberalnej – Polsce solidarnej oraz zastrzegający się konflikt między PiS-em i PO – czyli między dwiema partiami wywodzącymi się z tradycji posierpniowej – zakwestionowało znaczenie historycznego podziału. Stało się tak mimo znaczenia, jakie Prawo i Sprawiedliwość przywiązywało do walki z pozostałościami PRL-u.

W międzyczasie w ramach dwóch bloków – postsolidarnościowego i postkomunistycznego – powstawały i w szybkim tempie upadały – to kolejna anomalia – liczne partie polityczne: prawicy, centrum, a następnie także lewicy, która przed długi czas wydawała się najbardziej solidną formacją. To pociągało za sobą niezdolność zakorzenienia się, instytucjonalizacji formacji politycznych. Nowe ugrupowania powstawały jako kolejne – by użyć języka bushowskiej strategii kwestionującej trwałe sojusze – *coalitions of willing*, czyli koalicje chcących, zebranych w danej chwili ze względu na konkretną sytuację, konkretny cel, zwołane przez mniej czy bardziej wybitną osobę, otoczoną drużyną wodza. Owych szeryfów, którzy zwoływali obywateli do wykonywania konkretnej roli i celów.

Ostatnią wielką anomalią polskiej polityki jest marginalizacja partii lewicowych. Polityka została zdominowana przez dwie partie, które uważają

się za prawicowe i pod wieloma względami w istocie nimi są. W upadku i rozpadzie lewicy można widzieć konsekwencję ideowego przesunięcia się Polski na prawo, ale też niezdolności lewicy do ostatecznej emigracji z PRL-u do III RP – co zniechęcało zwłaszcza młodych. Można też – jak się to zazwyczaj czyni – przypisywać upadek lewicy aferom, których symbolem stała się sprawa Rywina. Można jednak widzieć przyczyny w polityce rządów Leszka Millera i Marka Belki, które musiały podjąć się zadań, do jakich ich wyborcy nie byli przygotowani: odpowiadać na warunki złej koniunktury i wprowadzić Polskę do Unii Europejskiej. Do tego doszło entuzjastyczne zaangażowanie przywódców lewicy w wojnę w Iraku, czego polski wyborca, zwłaszcza lewicowy, bardzo nie pochwalał.

Obecnie dość często można się spotkać z opinią, że dzisiejsza organizacja przestrzeni politycznej – dominacja dwóch partii prawicy – może być trwałą polską cechą. Warto jednak przypomnieć, że niedawno rozpowszechniony był inny sąd, według którego polski system polityczny został zdeterminowany na trwałe uformowaniem się u początków naszych przemian bloków postkomunistycznego i solidarnościowego. Nie ma zatem powodu, aby sądzić, że obecny układ partii politycznych ma cechy trwałości, choć dziś można wyciągać takie wnioski.

Mówiąc o anomaliach polskiej polityki, trudno nie wspomnieć o miejscu zajmowanym w niej przez populizm. Chociaż na pewno nie jest to dziś polską specyfiką – tak jest on rozpowszechniony w różnych regionach i różnych odmianach demokracji. Tym niemniej, jego głębokie przeniknięcie do głównych partii politycznych wymaga refleksji. Populizm nie jest ruchem antydemokratycznym. Przeciwnie, podejmuje zazwyczaj krytykę istniejącej demokracji w imię demokracji „bardziej prawdziwej”. Populizm wyrasta jednak szczególnie bujnie w społeczeństwach, gdzie słabe są mechanizmy demokratycznej integracji poziomej społeczeństwa obywatelskiego.

Populizm jest formą demokracji dla samotnego, nieobywatelskiego tłumu (przez obywatelskość rozumiem trwałe i ciągłe zaangażowanie się w sprawy publiczne na różnych poziomach aktywności obywatelskiej). Nie trzeba przypominać badań porównawczych, które wskazują na bardzo niski

poziom „uobywatelnienia” Polaków. Są oni entuzjastycznie deklarującymi swą przynależność członkami wspólnoty narodowej, ale nie politycznej czy społecznej. Tutaj ich identyfikacja i aktywność sytuuje się na poziomie minimum.

Model populistyczny demokracji bazuje na bezpośredniej więzi „samotnego tłumy” z charyzmatycznym przywódcą i jego drużyną, niejako poza demokratyczną sferą pośredniczącą – jeżeli nie przeciw niej. Tak rozumianej demokracji sprzyja nie tylko słabość społeczeństwa obywatelskiego, ale również tabloidyżacja polityki, niestychany wzrost wpływow mediów elektronicznych, które ułatwiają bezpośredni kontakt wodzów z pasywnym tłumem widzów i słuchaczy oraz prowadzą do zubożenia i radykalizacji przekazu politycznego. W polskim przypadku nietrudno dostrzec związek niskiego poziomu wzajemnego zaufania Polaków oraz ich niskiego poziomu społecznego zorganizowania – ze wzrostem roli polityki populistycznej w ostatnich latach, w tym w największych partiach. Polityka ta wyrażała się przede wszystkim w tym, co łączy wszystkie partie populistyczne, lewicowe i prawicowe – w eksploataowaniu głębokich nastrojów antysystemowych i antyelitarnych w społeczeństwie. W najbardziej brutalnej wersji populizm manifestował się w dwóch „przystawkach” skonsumowanych przez Prawo i Sprawiedliwość: w Samoobronie i Lidze Polskich Rodzin. W formie złagodzonej, ale społecznie znacznie bardziej znaczącej, populizm ten występował także w dwóch partiach, które od pięciu lat dominują w polskim pejzażu. Fala populizmu, włącznie z jego formą „łagodną” czy „odpowiedzialną” (formuła Donalda Tuska), łączy się bezpośrednio, jak sądzę, z zakończeniem naszej transformacji. I to z dwóch, na pozór przeciwnych, powodów: po pierwsze, była to reakcja na wysokie koszty transformacji, wyrażająca bunt przeciwko elitom, które ten model transformacji aplikowały. Po drugie, partie, które w 2005 roku kolejno przejęły władzę, mogły uzupełnić antysystemowy i antyelitarny język (od którego PO odeszło wraz z zaostrażającym się konfliktem z PiS-em) posttransformacyjną polityką, znacznie bardziej zachowawczą ekonomicznie i społecznie, a więc i mniej bolesną dla obywateli.

Niestabilność polskiej polityki wynikała też z tego, iż w istocie polska polityka po 1989 roku żyła w trzech różnych czasach. Część społeczeństwa i część lewicy żyła w czasach PRL-u; większość społeczeństwa i duża część klasy politycznej żyła w rzeczywistości, zamieszkiwała więc III RP; wreszcie część Polski radykalnego protestu, negocjowania – częściowego przynajmniej – rzeczywistości III RP utożsamiała się z mitem IV RP. Paradoksalnie, w czasie kampanii wyborczej 2005 roku dwie dominujące partie, obie odwołujące się do konserwatyzmu, czerpały swoją legitymację, wbrew fundamentom konserwatywnego myślenia, z pewnej wizji pożądanej przyszłości utożsamianej z ową IV RP. Dzisiaj jesteśmy już od tych czasów bardzo daleko. Platforma Obywatelska porzuciła mrzonki o IV RP, zamieszkała w rzeczywistym świecie. Nawet Prawo i Sprawiedliwość powoli porzuca mit, który zapewnił tej partii sukces. Lewica wraz ze zmianą pokolenia, normalizacją polskiej sytuacji i wzrostem społecznego zadowolenia zrywa swoje więzi z przeszłością czasów PRL-u. Polska integruje się wokół wyzwań teraźniejszości.

### Źródła niestabilności polskiej polityki

Mimo pozorów polski system polityczny z różnych powodów pozostaje niestabilny. Po pierwsze, obecna sytuacja lewicy na pewno nie jest ostateczna. Jej silny powrót może prowadzić do istotnych zmian, zarówno jeżeli chodzi o sferę wpływów Prawa i Sprawiedliwości, jak i Platformy Obywatelskiej. Jedna z dominujących partii może stracić część elektoratu socjalnego i płynnego elektoratu protestu, druga zaś – część elektoratu centrowego o skłonnościach liberalno-lewicowych. Po drugie, PO – jako partia centrowa – skazane jest w istocie na nieuchronną ideową niestabilność. Profil tej partii, poza decyzjami jej głównych aktorów i pewną niekontrolowaną dynamiką, jest w dużym stopniu określony przez wybory i względną siłę dwóch krańców sceny politycznej, wśród których się sytuuje. Można więc sobie wyobrazić dość znaczącą zmianę linii Platformy Obywatelskiej – tak jak ulegała ona zmianie w latach ostatnich, pod wpływem zmiennych okoliczności zewnętrznych.

Trzecią przyczyną niestabilności jest perspektywa możliwego kryzysu wraz z pojawieniem się problemu sukcesji. Czy Prawo i Sprawiedliwość może przetrwać odejście Jarosława Kaczyńskiego? Czy odejście – choćby do pałacu prezydenckiego – Donalda Tuska nie zagrozi jednoci dominującej dziś partii? Czy istotnym źródłem kryzysu lewicy, patrząc z dzisiejszej perspektywy, nie było odejście czołowych postaci tego obozu: Aleksandra Kwaśniewskiego, Leszka Millera, Józefa Oleksego i Włodzimierza Cimoszewicza?

Czy więc, przynajmniej w części, kryzys naszej polityki nie jest następstwem odwrócenia się młodzieży od polityki już na początku lat 90.? Gdy patrzy się na ubiegłe 20 lat, trudno znaleźć wybitne nowe osobowości polityki, wschodzące gwiazdy. A nieliczne osoby, które można było dostrzec w ostatnich dwóch dekadach, szybko spalały się i znikaly w politycznym niebycie.

W ustabilizowanym systemie partyjnym trwałość formacji nie zależy od tego, czy w danej chwili istnieje, czy też nie istnieje wybitny kandydat na przywódcę. Polskie Stronnictwo Ludowe jest przykładem formacji, w której w ostatnich latach względnie pokojowo następowała zmiana przywództwa, zasadniczo nie zagrażając partii. Sam brak wybitnych postaci nie może więc tłumaczyć ewentualnego kryzysu sukcesji.

Wreszcie, w przepowiedni dotyczącej kryzysu przywództwa zawarta jest głęboka, nieintencjonalna ironia. Był to bowiem częsty wśród specjalistów temat dyskusji o przyszłości Związku Radzieckiego i komunistycznych Chin. To, że podobna refleksja może się pojawić w demokratycznej Polsce, gdy rozważane są perspektywy dwóch głównych partii, wskazuje na kolejną istotną anomalię naszego życia politycznego.



# Noty biograficzne

**Ryszard Bugaj** (ur. 1944) – ekonomista, polityk, dr hab. Pracownik Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN. Od 2009 roku doradca społeczny Prezydenta RP do spraw ekonomicznych. Działacz opozycji demokratycznej przed 1989 rokiem. Działacz „Solidarności”. W stanie wojennym internowany. Uczestnik obrad „okrągłego stołu”. W latach 1989–1997 poseł na Sejm RP. W latach 1992–1997 przewodniczący Unii Pracy. Publikował m.in. w „Dzienniku. Polska. Europa. Świat”, „Rzeczpospolitej”. Wydał m.in.: *Dylematy finansów publicznych. Przekształcenia w gospodarce polskiej* (Warszawa 2002), *Komercjalizacja opiekuńczego państwa. Polskie koncepcje i pierwsze doświadczenia* (Ostrowiec Świętokrzyski 2003).

**Andrzej Celiński** (ur. 1950) – polityk, socjolog. Członek Komitetu Obrony Robotników, działacz „Solidarności”. W 1988 roku doradca Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej. Uczestnik obrad „okrągłego stołu”. W latach 1989–1993 senator RP. W latach 1993–1997, 2001–2005 i od 2007 roku poseł na Sejm RP. W latach 2001–2002 minister kultury. W latach 1991–1996 członek Unii Demokratycznej (w latach 1993–1994 jej wiceprzewodniczący) oraz Unii Wolności. Od 1999 do 2004 roku działacz SLD. W 2004 roku współtwórca Socjaldemokracji Polskiej.

**Marek A. Cichocki** (ur. 1966) – germanista, filozof, historyk idei politycznych, publicysta, dr. Od 2001 roku adiunkt w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych UW. W latach 2000–2003 dyrektor programowy Centrum Stosunków Międzynarodowych. Od 2003 roku wydawca i redaktor naczelny rocznika „Teologia Polityczna”. Od 2004 roku dyrektor programowy Centrum Europejskiego Natolin i redaktor naczelny pisma „Nowa Europa. Przegląd Natoliński”. Od 2007 roku

doradca społeczny prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Z Dariuszem Gawinem i Dariuszem Karłowiczem prowadzi program *Trzeci punkt widzenia* w TVP Kultura. Opublikował wybór pism Carla Schmitta. Wydał m.in.: *Ciągłość i zmiana. Czy konserwatyzm może być rewolucyjny* (Warszawa 1999), *Polska–Unia Europejska, w pół drogi* (red., Warszawa 2002), *Porwanie Europy* (Kraków 2004) oraz *Władza i pamięć* (Kraków 2005).

**Ludwik Dorn** (ur. 1954) – polityk, socjolog i publicysta. Działacz Komitetu Obrony Robotników oraz „Solidarności”. Współzałożyciel i od 1992 roku wiceprezes Porozumienia Centrum. Od 1997 roku poseł na Sejm RP. Współzałożyciel i w latach 2001–2007 wiceprezes Prawa i Sprawiedliwości. W latach 2005–2007 wicepremier oraz minister spraw wewnętrznych i administracji. W 2007 roku marszałek Sejmu RP.

**Antoni Dudek** (ur. 1966) – politolog, publicysta, dr hab. Wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz doradca prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. Prowadzi program autorski *Kulisy III Rzeczypospolitej* w kanale tematycznym TVP Historia. Publikował m.in. w „Dzienniku. Polska. Europa. Świat”, „Rzeczpospolitej”, „Wprost”, „Życiu”. Autor ponad 60 artykułów naukowych, redaktor kilku prac zbiorowych oraz edycji źródeł. Wydał m.in.: *Bolesław Piasecki. Próba biografii politycznej* (z Grzegorzem Pytlem, Londyn 1990), *Państwo i Kościół w Polsce 1945–1970* (Kraków 1995), *Pierwsze lata III Rzeczypospolitej* (Kraków 1997, II wyd. 2002), *Centrum władzy. Protokoły posiedzeń kierownictwa PZPR. Wybór z lat 1949–1970* (oprac., z Aleksandrem Kochańskim i Krzysztofem Persakiem, Warszawa 2000), *Ślady PeeReLu. Ludzie, wydarzenia, mechanizmy* (Kraków 2000, II wyd. 2001), *Komuniści i Kościół w Polsce (1945–1989)* (z Ryszardem Gryzem, Kraków 2003, II wyd. 2006), *Reglamentowana rewolucja. Rozkład dyktatury komunistycznej w Polsce 1988–1990* (Kraków 2004), *Historia polityczna Polski 1989–2005* (Kraków 2007), *PRL bez makijażu* (Kraków 2008).

**Leszek Gilejko** (ur. 1932) – socjolog, prof. dr hab. Dziekan Wydziału Socjologii Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusku. Wykładowca w Szkole Głównej Handlowej. Wydał m.in.: *Rok 1982. Robotnicy – związki zawodowe* (z Andrzejem Tudkiem, Warszawa 1988), *Robotnicy i liderzy o związkach zawodowych* (z Andrzejem Stąsiekiem i Wojciechem Widerą, Warszawa 1992), *Spółczesność a gospodarka. Socjologia ekonomiczna* (Warszawa 1994, II wyd. 2002, III wyd. 2005), *Robotnicy i społeczeństwo: 1980–1981, 1989–1990* (Warszawa 1995), *Od konfliktu do kooperacji. Kształtowanie się nowych modeli zbiorowych*



*stosunków pracy* (red., 2000), *Partnerzy społeczni. Konflikty, kompromisy, kooperacja* (z Rafałem Towalskim, Warszawa 2002), *Aktorzy restrukturyzacji. Trudne role i wybory* (red. Warszawa 2006), *Dylematy drugiej dekady polskiej transformacji* (Pułtusk 2008).

**Lena Kolarska-Bobińska** – socjolog, prof. dr hab. Dyrektor Instytutu Spraw Publicznych. W latach 1991–1997 dyrektor Centrum Badania Opinii Społecznej. Członek m.in. Komitetu Socjologii PAN, Rady Naukowej Instytutu Studiów Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego, Rady Rzecznika Praw Obywatelskich. W latach 1992–1995 członek Komitetu Ekonomicznego przy Prezydencie RP. W latach 1998–2001 doradca Pełnomocnika Rządu do Spraw Negocjacji o Członkostwo Polski w Unii Europejskiej. Wydała m.in.: *Centralizacja i decentralizacja. Decyzje, władza, mity* (Wrocław 1984), *Polityka i gospodarka w świadomości społecznej. 1980–1990* (z Andrzejem Rychardem, Warszawa 1990), *Aspirations Values and Interests. Poland 1989–94* (Warsaw 1994), *Cztery reformy. Od koncepcji do realizacji* (red., Warszawa 2000), *Świadomość ekonomiczna społeczeństwa i wizerunek biznesu* (red., Warszawa 2004), *Demokracja w Polsce 2005–2007* (red., z Jackiem Kucharczykiem i Jarosławem Zbierankiem, Warszawa 2007), *Co warto, co należy zmienić? Poprawa jakości demokracji w Polsce* (red., Warszawa 2008), *Nowe metody zarządzania w państwach Unii Europejskiej* (red., Warszawa 2009).

**Zdzisław Krasnodębski** (ur. 1953) – filozof i socjolog, prof. dr hab. Od 1976 do 1991 roku wykładał socjologię teoretyczną i filozofię społeczną na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1995 profesor Uniwersytetu w Bremie. Od 2001 roku wykłada także na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Wydał m.in.: *Rozumienie ludzkiego zachowania* (Warszawa 1986), *Upadek idei postępu* (Warszawa 1991, II wyd. Kraków 2009), *Postmodernistyczne rozterki kultury* (Warszawa 1996), *Max Weber* (Warszawa 1999), *Demokracja peryferii* (Gdańsk 2003, II wyd. 2005), *Drzemka rozsądnych. Zebrane eseje i szkice* (Kraków 2006), *Zmiana klimatu. Zebrane eseje i szkice II* (Kraków 2006). Stale współpracuje z „Rzeczpospolitą” oraz „Wprost”.

**Robert Krasowski** (ur. 1967) – publicysta, dziennikarz. Redaktor naczelny „Dziennika. Polska. Europa. Świat”. W latach 1993–1995 dziennikarz „Życia Warszawy”, od 1996 do 2002 roku szef działu opinii w „Życiu”. Następnie zastępca redaktora naczelnego „Faktu”. Współtwórca „Europa – Tygodnik Idei” (dodatek z „Faktu”, a następnie do „Dziennika”).

**Ireneusz Krzemiński** (ur. 1949) – socjolog, dr hab. Profesor Uniwersytetu Warszawskiego, pracownik Instytutu Socjologii. W latach 1997–1998 wykładowca Uniwersytetu Gdańskiego. W 2001–2002 rektor Wyższej Szkoły Zarządzania Personalem, a następnie Wyższej Szkoły Komunikowania i Mediów Społecznych im. Jerzego Giedroycia. Członek zarządu Polskiego Pen Clubu. Wykładowca Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Członek redakcji „Przeglądu Politycznego”. Publikuje m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Rzeczpospolitej”, „Tygodniku Powszechnym”. Wydał m.in.: *Symboliczny interakcjonizm i socjologia* (Warszawa 1986), *Świat zakorzeniony* (Warszawa 1988), *Co się dzieje między ludźmi?* (Warszawa 1992), *Solidarność. Projekt polskiej demokracji* (Warszawa 1997), *Druga rewolucja w małym mieście. Zmiana ustrojowa w oczach mieszkańców Mławy i Szczecinka* (z Pawłem Śpiewakiem, Warszawa 2001), *Antysemityzm w Polsce i na Ukrainie. Raport z badań* (red., Warszawa 2004), *Polacy – jesień '80* (Warszawa 2005), *Oswajanie wielkiej zmiany. Instytut Socjologii UW o polskiej transformacji* (wybór i oprac., z Jackiem Raciborskim, Warszawa 2007).

**Ewa Kulik-Bielińska** (ur. 1957) – anglistka, tłumaczka. Wicedyrektor Fundacji im. Stefana Batorego. W latach 1977–1980 rzecznik krakowskiego Studenckiego Komitetu Solidarności, współorganizatorka wykładów Uniwersytetu Łatającego. W 1979 roku redaktorka niezależnego pisma studenckiego „Indeks”. W 1980 roku prowadziła Biuro Informacyjne Komitetu Obrony Robotników. Działaczka „Solidarności”. W latach 1980–1981 sekretarz redakcji pisma NSZZ Solidarność Regionu Mazowsze „Niezależność”. Po 13 grudnia 1981 roku działaczka podziemnych struktur „Solidarności”: Regionalnej Komisji Wykonawczej (RKW) NSZZ Solidarność Regionu Mazowsze i Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ Solidarność. Aresztowana w 1986 roku. Zwolniona w tym samym roku na mocy amnestii. Od 1986 roku członkini RKW Mazowsze. W latach 1997–1999 członek Zarządu Pen Clubu. Przetłoczyła m.in. *Diabelskie drzewo* i *Grę* Jerzego Kosińskiego, *Plexus* Henry’ego Millera i *Mr Vertigo* Paula Austera.

**Janusz A. Majcherek** (ur. 1955) – filozof i socjolog kultury, publicysta, dr hab. Wykładowca w Uniwersytecie Pedagogicznym im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie. Publikował m.in. w „Rzeczpospolitej” i „Życiu Warszawy”. Stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego”. Laureat Nagrody Kisiela za 2003 rok. Wydał m.in.: *Relatywizm kulturowy. Uwarunkowania i konsekwencje pewnej doktryny* (Kraków 1995), *Pierwsza dekada III Rzeczypospolitej 1989–1999* (Warszawa 1999), *W poszukiwaniu nowej tożsamości* (Warszawa 2000), *Źródła*

*relatywizmu w nauce i kulturze XX wieku. Od teorii względności do postmodernizmu* (Kraków 2004), *Demokracja, przygodność, relatywizm* (Warszawa 2007).

**Rafał Matyja** (ur. 1967) – politolog i publicysta, dr. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1997–2000 asystent w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. Od 2000 roku pracownik Wyższej Szkoły Biznesu – National-Louis University w Nowym Sączu. W latach 2003–2007 prodziekan Wydziału Studiów Politycznych. W latach 1997–2000 redaktor naczelny „Kwartalnika Konserwatywnego”. Z Rafałem Dutkiewiczem, Janem Rokitą i Kazimierzem Michałem Ujazdowskim twórca portalu internetowego Polska XXI. Publikuje na łamach „Dziennika. Polska. Europa. Świat” i „Nowego Państwa”. Wydał m.in.: *Świat polityki, dyplomacji, idei. Słownik podręczny* (z Robertem Kostro, Warszawa 1992), *Równi równiejsi* (z Kazimierzem Michałem Ujazdowskim, Warszawa 1993), *Państwowość PRL w polskiej refleksji politycznej lat 1956–1980* (Kraków 2007).

**Andrzej Mencwel** (ur. 1940) – historyk i krytyk literatury oraz kultury polskiej, antropolog kultury, eseista, publicysta, prof. dr hab. Wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1992 roku kierownik Katedry Kultury Polskiej UW, od 1998 do 2005 roku dyrektor Instytutu Kultury Polskiej UW, obecnie przewodniczący Rady Instytutu. Członek Komitetu Nauk o Literaturze PAN i Komitetu Nauk o Kulturze PAN. Prezes Polskiego Towarzystwa Kulturoznawczego (od 2005 roku prezes honorowy). W latach 1978–1981 redaktor tygodnika „Literatura”, a w 1981 roku pisma „Meritum”. Wydał m.in.: *Stanisław Brzozowski. Kształtowanie myśli krytycznej* (Warszawa 1976), *Widziane z dołu* (Warszawa 1980), *Spoiwa. Refleksje krytyczne* (Warszawa 1983), *Etos lewicy. Esej o narodzinach kulturalizmu polskiego* (Warszawa 1990), *Przedwiośnie czy potop. Studium postaw polskich w XX wieku* (Warszawa 1997), „No! Io non sono morto...” *Jak czytać „Legendę Młodej Polski”?* (Kraków 2001), *Kaliningrad, moja miłość. Dwa pokrewne eseje podróżne* (Olsztyn 2003), *Wyobraźnia antropologiczna* (Warszawa 2006).

**Zbigniew A. Pełczyński** (ur. 1925) – politolog i filozof polityki, prof. Założyciel i prezes Zarządu Stowarzyszenia Szkoła Liderów. Członek Rady Fundacji im. Stefana Batorego. Żołnierz Armii Krajowej. Uczestnik Powstania Warszawskiego. Po wojnie zamieszkał w Wielkiej Brytanii. Wieloletni wykładowca na Uniwersytecie Oksfordzkim. W latach 90. m.in. doradca Komisji Konstytucyjnej Sejmu RP oraz konsultant EWG i OECD ds. programów reformy władz państwowych i administracji publicznej w Polsce. Przewodniczący Stefan Batory Trust w Oksfordzie oraz członek Rady Powierniczej Polonia Aid Foundation Trust w Londynie.

Wydał m.in.: *Hegel's Political Philosophy – Problems and Perspectives* (Cambridge 1971), *Poland, the Road from Communism* (Oxford 1982), *Conceptions of Liberty in Political Philosophy* (red. z Johnem Grayem, New York 1984), *Wolność, państwo, społeczeństwo. Hegel a problemy współczesnej filozofii politycznej* (Wrocław 1998), *Polska droga od komunizmu. Refleksje nad historią i polityką 1956–2006* (Warszawa 2007).

**Janusz Reykowski** (ur. 1929) – psycholog społeczny, prof. dr hab., absolwent Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1951–1980 pracownik Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1980 do 2002 roku dyrektor Instytutu Psychologii PAN. Od 1996 roku przewodniczący Rady Programowej w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej. Członek-korespondent Polskiej Akademii Nauk. Od 2003 roku prezydent Międzynarodowego Towarzystwa Psychologii Politycznej. Członek Polskiego Towarzystwa Psychologicznego i Polskiego Stowarzyszenia Psychologii Społecznej. W latach 1988–1990 członek Biura Politycznego KC PZPR. Uczestnik obrad „okrągłego stołu” – współprzewodniczący „stołu politycznego” ds. reform politycznych. Wydał m.in.: *Funkcjonowanie osobowości w warunkach stresu psychologicznego* (Warszawa 1966), *Eksperymentalna psychologia emocji* (Warszawa 1968, II wyd. 1974), *Z zagadnień psychologii motywacji* (Warszawa 1970, II wyd. 1975, III wyd. 1980), *Teoria motywacji a zarządzanie* (Warszawa 1975, II wyd. 1979), *Motywacja, postawy prospołeczne a osobowość* (Warszawa 1979, II wyd. 1986), *Logika walki, szkice z psychologii konfliktu społecznego w Polsce* (Warszawa 1984), *Postawy i wartości Polaków a zmiany systemowe* (red. Warszawa 1993), *Potoczne wyobrażenia o demokracji. Psychologiczne uwarunkowania i konsekwencje* (red., Warszawa 1995), *Konflikt i porozumienie. Psychologiczne podstawy demokracji deliberatywnej* (red., Warszawa 2007).

**Nelli Rokita-Arnold** (ur. 1957) – polityk. Posłanka na Sejm RP. Członek Klubu Parlamentarnego Prawo i Sprawiedliwość. Działaczka Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego, a następnie do 2007 roku Platformy Obywatelskiej. W 2007 roku doradca społeczny prezydenta Lecha Kaczyńskiego ds. kobiet.

**Janusz Rolicki** (ur. 1938) – dziennikarz. Publicysta „Faktu”. W latach 1961–1967 reporter „Polityki”, od 1967 do 1972 roku kierownik działu reportażu „Kultury”, a w latach 1972–1973 zastępca redaktora naczelnego. W latach 1974–1977 naczelny redaktor publicystyki kulturalnej Telewizji Polskiej, w latach 1977–1978 dyrektor programowy ds. artystycznych. Od 1978 do 1980 roku dyrektor generalny ds. artystycznych Telewizji Polskiej. Od 1996 do 2001 roku

redaktor naczelny „Trybuny”. Wydał m.in.: *Z życiem pod pachę* (Warszawa 1968), *Nie tylko bratem* (Warszawa 1976), *Edward Gierek – przerwana dekada. Wywiad rzeka* (Warszawa 1990), *Edward Gierek – replika (wywiad rzeka)* (Warszawa 1990), *Zbigniew Bujak – przepraszam za „Solidarność”* (Warszawa 1991), *Edward Gierek. Życie i narodziny legendy* (Warszawa 2002).

**Aleksander Smolar** (ur. 1940) – politolog, publicysta, prezes Zarządu Fundacji im. Stefana Batorego. Zastępca przewodniczącego Rady Naukowej Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu. Pracownik naukowy francuskiego Krajowego Centrum Badań Naukowych (CNRS). Studiował socjologię i ekonomię na Uniwersytecie Warszawskim, stosunki międzynarodowe w John Hopkins University. W latach 1971–1989 na emigracji politycznej we Włoszech, w Wielkiej Brytanii i we Francji. W 1974 współzałożyciel i redaktor naczelny kwartalnika politycznego „Aneks”. W latach 1989–1990 doradca ds. politycznych premiera Tadeusza Mazowieckiego, a w latach 1992–1993 doradca ds. polityki zagranicznej premier Hanny Suchockiej. Opublikował m.in.: *Le rôle des groupes d'opposition la veille de la démocratisation en Pologne et en Hongrie* (red. z Peterem Kende, Wien 1989), *La Grande Secousse. L'Europe de l'Est 1989–1990* (red. z Peterem Kende, Paris 1991), *Globalization, Power and Democracy* (red. z Markiem Plattnerem, Baltimore 2000), *De Kant a Kosovo* (red. z Anne-Marie Le Gloannec, Paris 2003).

**Michał Syska** (ur. 1980) – prawnik, polityk, publicysta. Wiceprzewodniczący Socjaldemokracji Polskiej. Członek zespołu „Krytyki Politycznej”. Wicedyrektor Ośrodka Myśli Społecznej im. F. Lassalle’a we Wrocławiu. Publikował m.in. w „Dzienniku. Polska. Europa. Świat”, „Gazecie Wyborczej”, „Przeglądzie”, „Trybunie”. Wydał *Ile ojczyzn? Ile patriotyzmów?* (red., Warszawa 2007).

**Jerzy Szacki** (ur. 1929) – socjolog i historyk idei, prof. dr hab. Emerytowany profesor Uniwersytetu Warszawskiego, wykładowca Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. Członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk. W latach 1967–1968 prodziekan Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego, a w latach 1981–1983 dziekan Wydziału Filozofii i Socjologii UW. W latach 1968–1999 kierował Zakładem Historii Myśli Społecznej w Instytucie Socjologii UW. Członek Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, w latach 1972–1976 jego przewodniczący. W latach 1978–1982 uczestnik Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”. Wydał m.in.: *Kontrewolucyjne paradoksy. Wizje świata francuskich antagonistów Wielkiej Rewolucji 1789–1815* (Warszawa 1965), *Tradycja. Przegląd problematyki* (Warszawa 1971), *Historia myśli socjologicznej* (Warszawa 1981,

1983, wyd. nowe: 2003, 2006), *Spotkania z utopią* (Warszawa 1980, II wyd. 2000), *Tradycja i nowoczesność* (wybór, z Joanną Kurczewską, Warszawa 1984), *Znanięcki* (Warszawa 1986), *Dylematy historiografii idei oraz inne szkice i studia* (Warszawa 1991), *Liberalizm po komunizmie* (Kraków 1994, przekł. angielski 1995, przekł. bułgarski 1996, przekł. niemiecki 2003), *Sto lat socjologii polskiej. Od Supińskiego do Szczepańskiego. Wybór tekstów* (red., Warszawa 1995).

**Paweł Śpiewak** (ur. 1951) – socjolog, historyk idei, publicysta, dr hab. Profesor Uniwersytetu Warszawskiego, kierownik Zakładu Historii Myśli Społecznej UW. Od 2005 roku poseł na Sejm RP. Związany ze środowiskiem Klubu Inteligencji Katolickiej i „Więzi”. Współzałożyciel kwartalnika „Res Publica”. Członek kolegiów redakcyjnych „Res Publici Nowej” oraz „Przeglądu Politycznego”. Publikował m.in. w „Dzienniku. Polska. Europa. Świat”, „Fakcie”, „Rzeczpospolitej”, „Tygodniku Powszechnym”. Tłumaczył m.in. Isaaca Bashevisa Singera i Erica Voegelina. Wydał m.in.: *Gramsci* (Warszawa 1977), *Ideologie i obywatele* (Warszawa 1991), *W stronę wspólnego dobra* (Warszawa 1998), *Spór o Polskę 1989–99. Wybór tekstów prasowych* (Warszawa 2000), *Druga rewolucja w małym mieście. Zmiana ustrojowa w oczach mieszkańców Mławy i Szczecinka* (z Ireneuszem Krzemińskim, Warszawa 2001), *Obietnice demokracji* (Warszawa 2004), *Miśdasze. Księga nad księgami* (Kraków 2004), *Pamięć po komunizmie* (Gdańsk 2005), *Polska jedna czy wiele?* (z Henrykiem Domańskim i Andrzejem Rychardem, Warszawa 2005).

**Andrzej Wielowieyski** (ur. 1927) – polityk, działacz katolicki. Żołnierz Armii Krajowej. W latach 1945–1948 w Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici”. W latach 1971–1989 sekretarz generalny Klubu Inteligencji Katolickiej. Od 1971 do 1989 roku redaktor „Więzi”. Doradca Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w sierpniu 1980 roku. W 1981 roku kierownik Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych NSZZ Solidarność. Od 1981 do 1985 roku członek Prymasowskiej Rady Społecznej. Doradca Lecha Wałęsy. Uczestnik obrad „okrągłego stołu”. W latach 1989–1991 wicemarszałek Senatu RP. Od 1991 do 2001 roku poseł RP. W latach 2001–2005 senator RP. Od 2008 roku poseł do Parlamentu Europejskiego. W latach 1993–2005 członek Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Działacz Unii Demokratycznej, a następnie Unii Wolności. Obecnie członek Partii Demokratycznej. W latach 1999–2008 prezes Stowarzyszenia Gmin „Metropolia Warszawa”. Od 1993 do 2002 roku przewodniczący Polskiej Rady Ruchu Europejskiego. Wydał m.in.: *Przed trzecim przyspieszeniem. Szkice do zagadnień rozwoju społecznego* (Warszawa 1968), *Przed nami małżeństwo* (Kraków 1972, II wyd. 1974, III wydanie 1988), *Tajemnice i niespodzianki historii* (Warszawa 2004).

**Jacek Zychowicz** (ur. 1963) – filozof, polonista, publicysta, dr. Wykładowca w Akademii Podlaskiej oraz w Akademii Humanistycznej w Pułtusku. Stały współpracownik „Magazynu Obywatel”. Publikował m.in. „Dzienniku. Polska. Europa. Świat”, „Dziś”, „Myśli Socjaldemokratycznej”, „Przeglądzie Tygodniowym”, „Trybunie”, „Wiadomościach Kulturalnych”, „Życiu”. Tłumaczył m.in. Theodora W. Adorno, Michela Foucaulta, Elfriede Jelinek i Wilhelma Reicha. Wydał *Mieszanka wybuchowa. Felietony i powiastki ze świata jednowymiarowego* (Warszawa 2003).

**Jacek Żakowski** (ur. 1957) – dziennikarz. Publicysta „Polityki”. Kierownik Katedry Dziennikarstwa w Collegium Civitas. W latach 1989–1990 rzecznik prasowy Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. W latach 1991–1992 prezes Polskiej Agencji Informacyjnej. W latach 1992–1993 kierował działem publicystyki „Życia Warszawy”. W latach 1993–2002 dziennikarz „Gazety Wyborczej”. Twórca programów telewizyjnych w TVP, m.in. *Tok-Szok* (z Piotrem Najstubem), *Tischner czyta katechizm, Autograf*, oraz programów radiowych, m.in. *Tok-tok* (I RP) i *Rozmowy podstuchiwane* (RMF). Wydał m.in.: *Anatomia smaku czyli o losach „Tygodnika Powszechnego” 1953–1956* (Lublin 1986, II wyd., Warszawa 1988), *Między panem a plebanem* (z Adamem Michnikiem i Józefem Tischnerem, Kraków 1995), *Siedmiolatka czyli Kto ukradł Polskę?* (z Jackiem Kuroniem, Wrocław 1997), *Pół wieku pod włos czyli życie codzienne „Tygodnika Powszechnego” w czasach heroicznych* (Kraków 1999), *Mroczne wnętrza. Uwięziony Prymas prywatnie w oczach współwięźniów i swojej siostry* (Warszawa 2000), *Rewanż pamięci* (Warszawa 2002), *Anty-TINA. Rozmowy o lepszym świecie, myśleniu i życiu* (Warszawa 2005), *Koniec. Rozmowy o tym, co się popsło w nas w Polsce, w Europie i w świecie* (Warszawa 2006), *Nauczka* (Warszawa 2007).





# Lista nazwisk

- Abramowski Edward 26  
Adorno Theodor W. 191  
Applebaum Anne 175  
Auster Paul 186
- Baczyński Jerzy 174  
Balcerowicz Leszek 14, 57, 73, 83, 91  
Belka Marek 110, 178  
Benedykt XVI, papież 155  
Berlin Isaiah 120, 125  
Biernacki Marek 97  
Blair Tony (właśc. Anthony Charles Lynton Blair) 12, 175  
Bloomberg Michael 176  
Bodin Jean 84  
Borowski Marek 30  
Brzozowski Stanisław 38, 187  
Bugaj Ryszard 56, 57–58, 63, 64, 183  
Bujak Zbigniew 189  
Bush George Walker, prezydent 152
- Cameron David 175–176  
Canetti Elias 50  
Carroll Lewis 165
- Celiński Andrzej 57, 58, 63, 104, 111, 165, 168, 183  
Cichocki Marek A. 114, 183  
Cimoszewicz Włodzimierz 30, 60, 72, 181  
Ciotkosz Adam 26, 38  
Ciotkosz Lidia 26, 38  
Clinton Bill (właśc. William Jefferson Clinton), prezydent 175
- Ćwiąkański Zbigniew 97
- Daschle Thomas Andrew 136  
Daszyński Ignacy 26  
Domański Henryk 190  
Dorn Ludwik 70, 97, 103, 107, 108, 112, 184  
Dudek Antoni 104, 184  
Dunin Kinga 168  
Dutkiewicz Rafał 187  
Dworkin Ronald 153  
Dzielski Mirosław 122
- Erbel Joanna 50

- Fiszbach Tadeusz 13  
Foucault Michel 191  
Frank Thomas 13  
Frasyniuk Władysław 60–61  
Friedman Milton 123
- Garton Ash Timothy 171  
Gaulle Charles de, gen. 60  
Gawin Dariusz 184  
Geremek Bronisław 57, 91  
Gierek Edward 65, 189  
Giertych Roman 30, 70, 72, 153  
Gilbert Piotr 136  
Gilejko Leszek 55, 103, 112, 184  
Głowania Małgorzata 147  
Goćłowski Tadeusz, abp 155  
Gowin Jarostaw 98, 155  
Goździk Lechosław 26  
Grabowska Mirosława 59  
Gramsci Antonio 190  
Gray John 188  
Gryz Ryszard 184
- Hayek Friedrich August von 120, 122  
Hegel Georg Wilhelm Friedrich 188
- Jaruzelski Wojciech, prezydent 64  
Jelinek Elfriede 191  
Józko Marcin 147  
Jurek Marek 71, 78, 98, 99
- Kaczyńska Maria 71  
Kaczyński Jarostaw 61, 69–71, 73, 78, 79, 82, 84, 87, 109, 110, 152–153, 181  
Kaczyński Lech, prezydent 16, 61, 71, 79, 84, 134, 140, 162, 184, 188
- Karłowicz Dariusz 184  
Kende Peter 189  
Keynes John Maynard 172  
Kochański Aleksander 184  
Kolarska-Bobińska Lena 108, 113, 154, 185  
Kołakowski Leszek 73  
Kopacz Ewa 155  
Korczak Janusz 34  
Kosiński Jerzy 186  
Kostro Robert 187  
Kowal Paweł 97  
Krasnodębski Zdzisław 104, 110, 162, 165, 166, 168, 185  
Krasowski Robert 107, 108, 115, 185  
Krzemiński Ireneusz 162–163, 168, 186, 190  
Krzywicka Irena 26  
Krzywicki Ludwik 26, 34, 38  
Kucharczyk Jacek 185  
Kulik-Bielińska Ewa 58, 63, 186  
Kurczewska Joanna 190  
Kuroń Jacek 13, 26, 58, 191  
Kwaśniewski Aleksander, prezydent 60, 77, 83, 84, 96, 181
- Le Gloannec Anne-Marie 189  
Lepper Andrzej 153  
Leszczyński Adam 60  
Lewandowski Janusz 145  
Limanowski Bolesław 38  
Lipski Jan Józef 26
- Majcherek Janusz A. 106, 162–163, 168, 186  
Maleszka Lesław 100, 111  
Marcinkiewicz Kazimierz 109  
Markowski Radosław 124

- Marks Karol (Karl Heinrich Marx) 37, 41  
 Matyja Rafał 107, 109, 167, 187  
 Mazowiecki Tadeusz 70, 83, 189  
 Mencwel Andrzej 57, 58, 62, 65, 187  
 Michnik Adam 83, 91, 113, 191  
 Miller Henry 186  
 Miller Leszek 14, 16, 17, 30, 57, 60, 72, 83, 84, 89, 96, 100, 178, 181  
 Mouffe Chantal 50
- Najsztub Piotr 191  
 Natęcz Tomasz 30  
 Nałkowski Wacław 34, 38  
 Napieralski Grzegorz 16, 57  
 Niedziałkowski Mieczysław 38  
 Niesiołowski Stefan 155
- Obama Barack, prezydent 136, 172, 175  
 Olejniczak Wojciech 57  
 Oleksy Józef 181  
 Olszewski Jan 166  
 Onyszkiewicz Janusz 57  
 Orwell George 161
- Palikot Janusz 88  
 Paradowska Janina 174  
 Péguy Charles 171  
 Pełczyński Zbigniew 164, 187  
 Persak Krzysztof 184  
 Piasecki Bolesław 184  
 Piłsudski Józef 64  
 Plattner Marek 189  
 Pytel Grzegorz 184
- Raciborski Jacek 60, 186  
 Radlińska Helena 34
- Rawls John 153  
 Reagan Ronald, prezydent 172, 175  
 Reich Wilhelm 191  
 Retz de (Jean-François Paul de Gondii), kard. 81  
 Reykowski Janusz 56, 61, 62, 106, 111, 166, 188  
 Rokita Jan 72, 87, 97, 98, 113, 187  
 Rokita-Arnold Nelli 58, 188  
 Rolicki Janusz 165, 188  
 Rosati Dariusz 60  
 Royal Ségolène 36  
 Rychard Andrzej 135, 185, 190  
 Rydzyk Tadeusz, ks. 70, 72, 139  
 Rymkiewicz Jarosław Marek 99  
 Rywin Lew 83, 96, 178
- Sadurski Wojciech 121, 153  
 Sarkozy Nicolas, prezydent 175–176  
 Saryusz-Wolski Jacek 72  
 Schmitt Carl 184  
 Schröder Gerhard 12, 175  
 Schwarzenegger Arnold 176  
 Sierakowski Sławomir 30  
 Singer Isaac Bashevis 190  
 Skłodowska-Curie Maria 26  
 Smolar Aleksander 107, 109, 113, 114, 161, 165, 189  
 Stalin Józef (właśc. Iosif Wissarionowicz Dżugaszwili) 108  
 Stąsień Andrzej 184  
 Steinsbergowa Aniela 26  
 Strzelecki Jan 26  
 Suchocka Hanna 189  
 Supiński Józef 190  
 Syrkus Helena 26  
 Syrkus Szymon 26  
 Syska Michał 59, 61, 189

- Szacki Jerzy 120, 122, 141, 144, 162, 189  
Szawiel Tadeusz 147  
Szczepański Jan 190  
Szmajdziński Jerzy 30  
Szomburg Jan 145
- Śpiewak Paweł 166, 167, 168, 186, 190
- Thatcher Margaret, 172, 175  
Tischner Józef, ks. 191  
Towalski Rafał 185  
Tudek Andrzej 184  
Tusk Donald 30, 69, 73–74, 83–84, 97, 101, 162, 165, 174, 179, 181
- Ujazdowski Kazimierz Michał 97, 98, 187
- Voegelin Eric 190
- Walicki Andrzej 121
- Wałęsa Lech, prezydent 134, 143, 190  
Weber Max 185  
Widera Wojciech 184  
Wielowieyski Andrzej 163, 190  
Wójcik Adrian 50
- Yeats William Butler 81, 85, 107
- Zagrodzka Danuta 147  
Zapatero José Luis Rodríguez 36  
Zaremba Piotr 134  
Zawisza Artur 78  
Zbieranek Jarosław 185  
Zdort Dominik 168  
Znaniecki Florian 190  
Zychowicz Jacek 57, 191
- Żakowski Jacek 58–59, 62, 64, 191  
Żeromski Stefan 26  
Żukowski Tomasz 124  
Żyrinowski Władimir Wolfowicz 161

## Fundacja im. Stefana Batorego wydała m.in.:

*Jaka Polska? Czyja Polska? Diagnozy i dyskusje* (2006); publikacja poświęcona zmianom politycznym, jakie zaszły w 2005 roku – od kampanii wyborczej po powstanie pierwszego rządu Prawa i Sprawiedliwości – oraz pierwszemu okresowi – najpierw samodzielnych, a potem koalicyjnych – rządów PiS-u. W tomie znalazły się wystąpienia m.in.: Henryka Domańskiego, Dariusza Gawina, Mirosławy Grabowskiej, Jerzego Hausnera, Antoniego Kamińskiego, Jacka Kochanowicza, Zdzisława Krasnodębskiego, Jacka Kurczewskiego, Ryszarda Legutki, Janusza Lewandowskiego, Bronisława Łagowskiego, Mirosławy Marody, Karola Modzelewskiego, Janusza Reykowskiego, Jacka Rostowskiego, Andrzeja Rycharda, Aleksandra Smolara, Sławomira Sierakowskiego, Jerzego Szackiego, Piotra Winczorka, Artura Wołka i Jacka Żakowskiego.

*Pamięć jako przedmiot władzy* (2008); publikacja poświęcona relacjom pamięci i władzy w ostatnich latach w Polsce. Podejmuje problem polityki historycznej, zakresu ingerencji władzy państwowej w sferę pamięci, roli pamięci historycznej w tworzeniu tożsamości narodowej, a także jej znaczenia w naszych dzisiejszych relacjach z sąsiadami, przede wszystkim z Niemcami i Rosją. W tomie znalazły się wystąpienia Marka A. Cichockiego, Macieja Janowskiego, Zdzisława Krasnodębskiego, Marcina Króla i Joanny Tokarskiej-Bakir oraz obszerne fragmenty dyskusji zorganizowanej przez Fundację im. Stefana Batorego.

*Polska Tuska* (2008); publikacja poświęcona pierwszemu okresowi rządów Donalda Tuska. Jest próbą odpowiedzi na pytania: Jakie cele realizuje ten rząd? Jakie przedstawia wizje przeszłości i przyszłości? Jakie wnioski wyciągnął z różnych etapów rozwoju kraju w latach 1989–2007? Na jakie interesy społeczne i grupowe odpowiada? Czy rządy Platformy Obywatelskiej są czasem stabilizacji czy zmiany, reform czy konserwacji istniejącego stanu? Czy po latach skrajnej ideologizacji naszej polityki nastąpił czas antypolityki, demobilizacji społecznej i politycznej? Jakie jest miejsce populizmu w polskiej polityce? W tomie znalazły się teksty Dariusza Gawina, Sławomira Sierakowskiego i Aleksandra Smolara oraz dyskusja zorganizowana przez Fundację im. Stefana Batorego.



